MORDERSTWO NA RUE MORGUE
I INNE NOWELE

Drukarnia Narodowa w Krakowie.

EDGAR ALLAN POE

MORDERSTWO NA RUE MORGUE

Z ORYGINAŁU PRZEŁOŻYŁ
WOJCIECH SZUKIEWICZ

LWOW
NAKŁADEM KSIĘGARNI POLSKIEJ
B. POŁONIECKIEGO
WARSZAWA E. WENDE I SP.
1902

Spis rzeczy.

EDGAR POE * ŻYCIE JEGO I DZIEŁA

NAPISAŁ

KAROL BAUDELAIRE.

I.

W ostatnich czasach przywiedziono przed nasze trybunały nieszczęśliwego, którego czoło było ozdobione rzadkiem a szczególnem tatuowaniem: »Nie ma szczęścia«. Nosił on tak ponad oczami etykietę swego życia, podobnie jak książka swój tytuł, a badanie go wykazało, że ten dziwaczny napis był okrutnie prawdomowny. W historyi literatury są istnienia analogiczne, rzeczywiście na potępienie skazane — są ludzie noszący słowo *niepowodzenie* wypisane tajemniczemi zgłoskami w krętych fałdach czoła. Ślepy anioł expiacyi owładnął nimi i smaga ich oburącz ku zbudowaniu innych. Naprożno w życiu swojem okazują talent, siłę, wdzięk; społeczność obciąża ich szczególną klątwą, oskarzając o ułomności, które zaszczepiło w nich samo swem prześladowaniem. — Czegóż nie czynił Hoffmann, aby rozbroić przeznaczenie, jakie wysiłki ponosił Balzac, aby zakląć los? Czyżby istniała jakaś szatańska opatrzność, która już od kołyski gotuje ludziom

nieszczęście — która z rozmysłem rzuca natury uduchowione i anielskie we wrogie środowiska, jak męczenników na arenę cyrkową? Czyżby więc istniały dusze poświęcone, przeznaczone służbie ołtarzy, skazane, by kroczyć przez własną ruinę w pochodzie ku śmierci i sławie? Czyż upior ciemności oblęgać będzie wiekuiście te dusze wybrane? Próżno walczą, próżno bronią się, napróżno przystosowują się do świata, do jego przezorności, do jego chytrości; mogą wydoskonalić roztropność, zabarykadować wszystkie wyjścia, obetkać okna przed pociskami losu, a dyabeł wśliźnie się przez dziurkę od klucza, doskonałość stanie się wadą ich pancerza, a najwyższy przymiot będzie zarodkiem ich potępienia. Los ich jest wypisany w całym ich ustroju, błyszczy złowrogim blaskiem w ich spojrzeniach, w ich gestach i krąży w każdej kulce krwi w ich żyłach.

Jeden ze sławnych pisarzy togoczesnych napisał całą książkę, aby wykazać, iż poeta nie mógł czuć się odpowiednio ani w społeczeństwie demokratycznem, ani w arystokratycznem, ani w republice ani w monarchii absolutnej, czy to umiarkowanej. Kto umiał na to odpowiedzieć stanowczo? Na poparcie jego tezy przynoszę dziś nową legendę, przydaję martyrologii nowego świętego. Chcę napisać historyę jednego z tych znakomitych nieszczęśliwców, bogatych nadmiarem poezyi i uczucia, który po tylu innych przeszedł na tym marnym

świecie ciężką szkołę rozwijania swego geniuszu wśród dusz niższych.

Życie Edgara Poe jest opłakaną tragedyą. Śmierć jego straszliwem rozwiązaniem, o grozie spotęgowanej nadto trywialnością. Wszystkie znane mi dokumenta utwierdzają mię w przekonaniu, że Stany Zjednoczone były dla Poe'go tylko obszernem więzieniem, które przebiegał z gorączkowem podnieceniem istoty stworzonej do oddychania powietrzem bardziej wonnem, aniżeli w tej wielkiej barbaryi oświetlonej gazem — i że życie jego wewnętrzne duchowe, czy to poety, czy nawet nałogowca było ciągłym wysiłkiem wyrwania się wpływom tej odrażającej atmosfery. Dyktatura opinii w społeczeństwach demokratycznych jest bezlitosną. Nie spodziewajcie się od niej ani miłosierdzia, ani pobłażania, ani jakiej elastyczności w przystosowaniu jej praw do różnorodnych i złożonych wypadków życia moralnego. Rzec by można że bezbożna miłość wolności wyrodziła nową tyranię, tyranię zwierząt, czyli zookracyę. — Jakiś dobroduszny biograf powie nam poważnie i w najlepszej intencyi, że gdyby Poe chciał był ustatkować swój geniusz i zdolności swoje twórcze przystosować w sposób bardziej właściwy do gruntu amerykańskiego, mógłby był się stać autorem wziętym, *a money making author*. Inny jakiś naiwny cynik, dowiedzie, że jakkolwiek Poe był wielkim geniuszem, byłby on lepiej wyszedł posiadając

tylko talent, tatent eskontujący się zawsze łatwiej aniżeli geniusz. Jeszcze inny, redaktor dzienników i pisarz, przyjaciel poety, wyznaje, że niepodobna go było zużytkować, że musiano mu płacić mniej niż innym, ponieważ pisał stylem zbyt niedostępnym masom. »Quelle odeur de magasin!« jak mówił Józef de Maistre. Niektórzy w śmiałości posunęli się dalej i połączywszy najtępsze niezrozumienie jego geniuszu z okrucieństwem mieszczańskiej hypokryzyi znieważali go na wyścigi, a kiedy nagle zeszedł ze świata surowo napominali jego trupa — szczególnie Rufus Griswold, który — że przypomnę tu mściwe wyrażenie p. George Graham — popełnił wówczas nieśmiertelną podłość. Poe jakby mając przeczucie nagłego końca powierzył Griswoldowi i Willisowi uporządkowanie swoich dzieł, opisanie życia i oczyszczenie swej pamięci. I ten wampir-pedagog spotwarzył szeroko swego przyjaciela w olbrzymim artykule, płaskim i pełnym nienawiści, umieszczonym właśnie na czele pośmiertnego wydania jego dzieł. W Ameryce nie istnieje zatem prawo zakazujące psom wdzierania się na cmentarze? — Co do Willisa to ten przeciwnie dowiódł, że dobroć i przyzwoitość idą zawsze w parze z prawdziwym rozumem i że miłosierdzie dla bliźnich będące obowiązkiem moralnym, było także nakazem dobrego smaku.

Amerykanin, z którym wdasz się w rozmowę o Poem, przyzna mu może geniusz, może nawet

im je dyktuje? — Dodajmy do tego nieomylnego widzenia rzeczywistości prawdziwą nieudolność wśród pewnych okoliczności, wytworną delikatność zmysłów narażonych na tortury każdą fałszywą nutą, subtelność smaku, którą oburzało wszystko, z wyjątkiem doskonałości proporcyi, nienasyconą miłość piękna, która przybrała moc chorobliwej namiętności — wtedy nie zdziwimy się, że dla takiego człowieka życie stało się piekłem i że on źle skończył; owszem będziemy pełni podziwu, że mógł *wytrwać* tak długo.

II.

Rodzina Poego była jedną z najbardziej szanowanych w Baltimore. Jego dziadek macierzysty służył jako *quarter-master-general* w wojnie o niepodległość a la Fayette otaczał go wysokim szacunkiem i przyjaźnią. Po ostatniej swej podróży do Stanów Zjedn. pragnął też zobaczyć wdowę po generale celem oświadczenia jej wdzięczności za usługi oddane mu przez jej męża. Pradziad poślubił córkę angielskiego admirała Mac Bride, spowinowaconego z najlepszymi domami Anglii. Dawid Poe, ojciec Edgara a syn jenerala, zajął się gwałtownie slynną z piękności aktorką angielską, Elżbietą Arnold, umknął z nią i pojął ją za żonę. Potem, aby związać jeszcze bardziej los swój z jej życiem, sam został aktorem i występował wraz z żoną w różnych teatrach główniejszych miast Stanów. Oboje małżonkowie umarli w Richmondzie prawie w tym samym czasie pozostawiając w opuszczeniu i najzupełniejszym niedostatku troje nieletnich dzieci, między niemi i Edgara.

Edgar Poe urodził się w Baltimore w 1813 r.

Podaję tę datę za nim samym — protestował bowiem przeciw twierdzeniu Griswolda umieszczającego datę jego urodzenia w roku 1811. Jeśli kiedykolwiek duch romantyczny — że się posłużę wyrażeniem naszego poety, — duch posępny, burzliwy unosił się nad czyjąś kolebką, to z pewnością nad jego. Poe był prawdziwie dzieckiem namiętności i przygód. Bogaty kupiec Richmondu, Allan zajął się ładnym biedakiem, od natury obdarzonym wdziękiem, a że sam niemiał dzieci, adoptował go. Odtąd tenże nazywał się Edgar Allan Poe. W ten sposób wzrósł on w dobrym bycie i uprawnionej nadziei jednego z tych losów, które nadają charakterowi znamienitą pewność. Przybrani rodzice zabrali go z sobą w podróż do Anglii, Szkocyi i Irlandyi, a powracając do kraju zostawili go u doktora Bransby, który utrzymywał jeden ze znaczniejszych zakładów wychowawczych w Stocke-Newington blisko Londynu. Sam Poe opisał w *Williamie Wilson* ten osobliwy dom zbudowany w stylu z czasów Elżbiety, tudzież swe wrażenia z życja szkolnego.

Do Richmondu powrócił w 1822 r. i kształcił się dalej w Ameryce pod kierunkiem najlepszych nauczycieli miejscowych. W uniwersytecie w Charlottesville, gdzie wstąpił w roku 1825, wyróżniał się nietylko niemal cudowną inteligencyą, lecz także i prawie zgubną wybujałością namiętności — przedwczesnością rozwoju iście amerykańską — co

w końcu stało się powodem jego wykluczenia. Trzeba tu mimochodem zauważyć, że już w Charlottesville, objawił Poe znakomitą zdolność do nauk fizycznych i matematycznych. Później posłuży się nią często w swych osobistych opowieściach i wydobędzie stąd zadziwiające środki. Mam jednak podstawę ku przypuszczeniu, iż nie do tego rodzaju utworów przywiązywał on największą wagę i że — może właśnie z powodu owego przedwczesnego rozwinięcia zdolności — uważał je za łatwe zabawki w porównaniu do dzieł czystej wyobraźni.

Parę nieszczęsnych długów z gry sprowadziło chwilową rozterkę między nim, a ojcem przybranym. Edgar — fakt to ciekawy i świadczący, cokolwiekby o tem mówiono, o pewnej dość silnej dozie rycerskości w jego wrażliwym mózgu — powziął plan wzięcia udziału w greckiej wojnie i wyruszenia do walki przeciw Turkom. Wyjechał tedy do Grecyi. Co się z nim działo na wschodzie? co tam czynił? Czy może studyował klasyczne wybrzeże śródziemnego morza? Dlaczego odnajdujemy go w Petersburgu, bez pasportu, skompromitowanego — i to w jakiego rodzaju sprawie, — zmuszonego potem odwołać się do amerykańskiego ministra, Henryka Middleton, by ujść sprawiedliwości rosyjskiej i wrócić do kraju? Nie wiadomo. Jest to luka w jego życiu, którą chyba on sam tylko mógłby wypełnić. Życie Edgara Poe, jego młodość, przygody w Rosyi i korespondencya jego były oddawna zapo-

wiedziane w dziennikach amerykańskich i nigdy się nie ukazały.

Powróciwszy do Ameryki w r. 1829 objawił chęć wstąpienia do szkoły wojskowej w West-Point. Został tam w istocie przyjęty i jak poprzednio, złożył dowody inteligencyi wspaniale obdarzonej, lecz nie dającej się ująć w karby i po kilku miesiącach wykreślono go stamtąd. W tym samym czasie odbywało się w jego rodzinie przybranej zdarzenie, które miało posiadać konsekwencye bardzo poważne dla całego jego życia. Pani Allan, dla której jak się zdaje żywił on przywiązanie prawdziwie synowskie, umarła i p. Allan zaślubił młodziutką kobietę. Nastąpiło zajście domowe — historya to dziwaczna i ciemna, której nie mogę tu opowiedzieć, bo nie została wyjaśnioną przez żadnego z biografów. W każdym razie nic dziwnego, że ostatecznie rozstał się z Allanem i że tenże mając dzieci z drugiego małżeństwa, wyłączył go w zupełności ze spadku po sobie.

W krótce potem opuściwszy Richmond wydał Poe tomik poezyi; był to zaiste wspaniały rozbłysk wschodzącej jutrzenki. Kto umie odczuwać poezyę angielską, znajdzie tam już ton pozaziemski, spokój malancholii, uroczą powagę, przedwczesną dojrzałość — rzekłbym nawet dojrzałość wrodzoną — które charakteryzują wielkich poetów.

Nędza zmusiła go na czas jakiś do służby wojskowej. Można też przypuszczać, że w wolnych

chwilach od ciężkich zajęć życia garnizonowego przygotował materyały do przyszłych utworów — utworów niezwykłych, które zdają się być stworzone, by nam okazać, że niezwykłość jest jedną z integralnych części piękna. Powróciwszy do życia literackiego — jedynego żywiołu, w którym mogą oddychać istoty wykolejone, zamierał Poe w ostatecznej nędzy, gdy go na nogi postawił szczęśliwy wypadek. Właściciel pewnego pisma ustanowił dwie nagrody, jedną za najlepszą opowieść, drugą za najlepszy poemat. Jeden z charakterów pisma szczególnie ładny zwrócił uwagę p. Konnedy, przewodniczącego komitetu i zachęcił go do przejrzenia rękopismu. I stało się, iż Poe zdobył obie nagrody lecz tylko jedną mu wręczono. Przewodniczący komisyi ciekaw był zobaczyć nieznanego autora. Wydawca dziennika przyprowadził mu człowieka młodego, uderzającej piękności, odzianego w łachmany, zapiętego aż pod szyję, posiadającego przytem wszystkiem minę szlachcica o tyle dumnego ile zgłodniałego. Konnedy postąpił sobie ładnie. Zapoznał Poego z niejakim Tomaszem White, który założył w Richmondzie *Southern Litterary Messenger.* White był człowiekiem przedsiębiorczym, ale bez żadnego talentu literackiego i potrzeba mu było pomocnika. Poe przeto w wieku zupełnie młodym, bo w 22 latach znalazł się na czele przeglądu, którego losy całkowicie na nim spoczywały. Powodzenie pisma on stworzył. Odtąd *Southern Lit-*

terary Messenger uznał, że to temu wyklętemu ekscentrykowi, temu pijakowi niepoprawnemu zawdzięcza swą klientelę i zyskowne rozpowszechnienie. W tem to piśmie pojawiła się po raz pierwszy »*Niezrównana przygoda niejakiego Hansa Pfaala*« i mnóstwo innych opowiadań. Przez przeciąg dwóch lat prawie wprawiał Poe w podziw publiczność szeregiem utworów nowego rodzaju i krytycznymi artykułami, które żywością, jasnością i surową ścisłością rozumowania ściągały uwagę. Artykuły te odnosiły się do książek wszelkiego rodzaju, a gruntowne wykształcenie, które sobie zdobył młody człowiek, nie małe oddawało mu usługi. Dobrze przytem wspomnieć, że ta znaczna praca odbywała się za wynagrodzeniem 500 dol. tj. za 2700 franków rocznie. »*Bezwłocznie*« więc — mówi Griswald, — co ma znaczyć: uważał się więc głupiec za bogacza« — bezwłocznie ożenił się z dziewczyną ładną, pełną wdzięku, usposobienia miłego i natury heroicznej, lecz *nie posiadającą ani jednego sou* — dodaje Griswold z pogardliwym odcieniem w tonie. Była nią panna Virginia Clemm, jego kuzynka.

Mimo usług oddanych dziennikowi pokłócił się White z Poem przy końcu prawie drugiego roku. Powód tego rozstania tkwi bezwątpienia w owych napadach hipochondryi i pijaństwa, okrywających nocą duchowe niebo poety, jak chmury złowieszcze, które nagle nadają najromantyczniejszemu krajobrazowi wygląd melancholijny. Odtąd ujrzymy

tego nieszczęśliwca jak zwija swój namiot koczownika pustyni i przenosi swe szczupłe penaty do główniejszych miast Stanów. Wszędzie redaguje przeglądy, lub też pracuje w nich w sposób zadziwiający. Rozsiewa z olśniewającą szybkością artykuły krytyczne, filozoficzne i swe pełne czaru opowiadania, które ukazują się zebrane razem pod tytułem: *Tales of the Grotesque and the Arabesque*, — tytułem charakterystycznym i obmyślanym, bo ornamenty groteskowe i arabeski uwypuklają postać ludzką — zobaczymy też, iż pod wielu względami literatura Poego jest poza ludzką, lub nad ludzką. Potem dowiadujemy się ze skandalicznych i obrażających wzmianek wtrącanych w dziennikach, iż Poe i żona jego znajdują się oboje niebezpiecznie chorzy w zupełnej nędzy w Fordham. W krótce po śmierci pani Poe uległ poeta pierwszym atakom *delirium tremens*. W jednym z dzienników ukazuje się nagle nowa wzmianka — bardziej niż okrutna — wytykująca mu pogardę i wstręt do świata i wytaczająca mu jeden z tych procesów tendencyjnych opinii, przeciw którym musiał on zawsze się bronić w walce najbardziej jałowej i nużącej jaką tylko znam.

Bez wątpienia zarabiał wtedy a prace literackie mogły mu mniej więcej dawać utrzymanie. Lecz są dowody, iż ustawicznie miał do walczenia z odrażającemi trudnościami. — Marzył jak wielu innych pisarzy o piśmie wyłącznie własnem, chciał

być *u siebie,* a dostatecznie przecierpiał, aby gorąco pragnąć takiego ostatecznego schronienia dla swej myśli. Aby dojść do tego, aby zdobyć wystarczającą sumę pieniędzy wziął w pomoc odczyty. Wiemy o czem są takie odczyty — rodzajem spekulacyi, w której College de France oddana do rozporządzenia wszystkich literatów, autor zaś nie ogłasza drukiem swego odczytu, dopokąd nie wyciągnie z niego wszystkiego dochodu, jaki on dać może. Poe wygłosił już w Nowym Jorku na odczycie swój poemat kosmogoniczny. *Eureka,* który wywołał nawet wielką dyskusyę. Teraz zamyślał urządzić odczyty w swym kraju, w Virginii. Zamierzał, jak pisał o tem Willisowi, objechać Zachód i Południe licząc na napływ literackich przyjaciół jakoteż dawnych znajomych z kolegium i z West-Point Odwiedzał zatem główne miasta Virginii i tym sposobem Richmond znowu ujrzał tego, którego pamiętał dawniej takim młodym, takim biednym i opuszczonym. Wszyscy, którzy Poego nie widzieli od czasu, gdy jeszcze był nieznanym, zbiegli się tłumnie, by popatrzeć na sławnego współziomka. Ukazał się, piękny, wytworny, jak geniusz. Przypuszczam nawet, że posunął wówczas od niejakiego czasu swoją powolność aż do pozwolenia na przyjęcie siebie do jakiego towarzystwa wstrzemięźliwości. Wybrał temat o tyle obszerny ile wzniosły. *O istocie poezyi,* i rozwinął go z tą jasnością, jaka jest jednym z jego darów.

Sądził, sam będąc prawdziwym poetą, iż cel poezyi jest tej samej natury co jej istota, i że nie powinna ona mieć niczego innego na widoku, jak siebie samą.

Piękne przyjęcie, jakie mu zgotowano, zalało jego biedne serce dumą i radością. Był tak wzruszony, iż mówił o stanowczem osiedleniu się w Richmondzie i zakończeniu życia w miejscu, które mu lata dziecięce uczyniły tak drogiem. Tymczasem powołały go sprawy do Nowego Jorku, i 4 października wyjechał, skarżąc się na dreszcze i osłabienie. Czując się ciągle chorym przybył 6-go wieczorem do Baltimore, kazał zanieść swe rzeczy na dworzec, skąd miał się udać w kierunku Filadelfii, a sam wstąpił do tawerny by napić się czegoś podniecającego. Nieszczęśliwem zdarzeniem zastał tam dawnych znajomych i zatrzymał sie dłużej. Nazajutrz rano wśród bladych ciemności zmroku na ulicy znaleziono trupa — nie — ciało jeszcze żyjące, ale na którem śmierć, położyła już swą królewską pieczęć. Przy tem ciele, którego nazwiska nikt nie znał, nieznaleziono ni papierów ni pieniędzy, zaniesiono też je do szpitalu. Tam też Poe zmarł, tego samego wieczora, w niedzielę, 7 października 1849, w wieku 37 lat, pokonany przez *delirium tremens,* tego strasznego gościa, który już raz czy dwa razy nawiedził jego mózg. Tak zeszedł z tego świata jeden z największych bohaterów literatury, człowiek genialny, który napisał w *Czarnym Kocie*

te prorocze słowa: »*Jakaż choroba da się przyrównać do alkoholu!*

Śmierć ta, to prawie samobójstwo — samobójstwo przygotowane oddawna. A przecież spowodowała skandal. Był krzyk wielki, cnota popuściła z rozkoszną swobodą wędzideł swemu emfatycznemu *cant'owi.* Najbardziej wyrozumiałe mowy pogrzebowe nie mogły powstrzymać mieszczańskiej moralności, która nie omieszkała nie pominąć tak wspaniałej sposobności. Griswold spotwarzył go; bardziej przyzwoitym był szczerze strapiony Willis. Niestety, ten który wdarł się na najbardziej strome szczyty estetyki i zanurzał się w najmniej zbadane głębie umysłu ludzkiego, który wśród życia podobnego nieuciszonej burzy znalazł nowe środki, nieznane sposoby, by zadziwiać wyobraźnie, by czarować dusze spragnione piękna, zmarł oto w ciągu kilku godzin na łożu szpitalnem — co za los! I tylu wielkości, tyle nieszczęścia na to aby wzniecić wir frazeologii mieszczańskiej, by stać się żerem i tematem dla cnotliwych dziennikarzy!

Ut declamatio fias!

Widok ten nie jest nowością. Rzadko, by świeża a sławna mogiła nie stała się miejscem schadzki dla skandali. Zresztą społeczeństwo nie lubi tych nieszczęsnych szaleńców, i ma ono, bądź to dla tego że mącą mu jego spokój świąteczny, bądź to, że

uważa ich naiwnie za wyrzuty dla siebie, niezaprzeczenie słuszność.

Któż nie pamięta deklamacyi paryskich po śmierci Balzaka, który przecież umarł w sposób przyzwoity? W obszernem wyliczaniu *praw człowieka,* które mądrość XIX w. tak często i ochotnie ponawia, zapomniano o dwóch dość ważnych: o prawie pozostawania w sprzeczności z samym sobą i prawa odejścia precz. Lecz społeczeństwo patrzy na tego który odchodzi, jak na zuchwalca; ono ukarało by chętnie nie jedne szczątki żałobne podobnie jak ów dotknięty wampiryzmem żołnierz, którego widok trupa doprowadzał do wściekłości. A jednak można powiedzieć, bez emfazy i porzuciwszy grę słów, że pod naporem pewnych okoliczności, po poważnem zbadaniu pewnych niedających się pogodzić przeciwności, przy silnej wierze w pewne dogmaty i metampsychozy, samobójstwo jest niekiedy czynem najbardziej rozsądnym w życiu. — Tak tworzy się liczne już grono duchów, nawiedzające nas przyjaźnie, którego każdy członek przybywa nam zachwalać swój obecny odpoczynek i nas ku niemu nakłaniać.

Należy jednak przyznać, iż ponury koniec autora *Eureki* wywołał także parę pocieszających wyjątków, bez czego trzebaby zrozpaczyć i dalsze wytrwanie stałoby się niemożliwe. Willis, jak rzekłem, mówił uczciwie, a nawet ze wzruszeniem o dobrych stosunkach, jakie go zawsze łączyły z Poem. John

Neal i George Graham przyzwali Griswolda do sromu. Zaś Longfellow — i to było zasługą tem większą po jego stronie, iż Poe obszedł się z nim okrutnie — umiał w sposób godny poety wychwalić jego wzniosłą potęgę jako poety i prozatora. Jakiś nieznajomy napisał, iż literatura amerykańska straciła najtęższą głowę.

Pozostało jednak serce złamane, serce rozdarte, serce przebite siedmioma mieczami: serce pani Clemm. Edgar byl zarazem jej synem i córką. Ciężkie to było istnienie, mówi Willis, od którego zapożyczam te szczgóły prawie dosłownie, nad którem ona czuwała i roztaczała swą opiekę. Bo Poe był człowiekiem kłopotliwym. Prócz tego iż pisał z nieznośną trudnością i stylem zbyt wyniesionym ponad zwykły poziom umysłowy, by go można drogo opłacać, pozostawał nadto wiecznie pogrążony w kłopotach pieniężnych i często tak sam jak i chora jego żona doznawali braku rzeczy najniezbędniejszych do życia. Pewnego dnia ujrzał Willis wchodzącą do swego biura kobietę starą, cichą, poważną. Była to pani Clemm. Szukała zajęcia dla swego drogiego Edgara. Biograf opowiada, iż uderzyła go nietylko znakomita pochwała z jej strony i dokładna ocena talentu syna, ale i cały jej wygląd zewnętrzny, jej głos cichy i smutny, jej obejście piękne i szlachetne. I przez kilka lat, dodaje Willis, widywaliśmy tę niestrudzoną służebnicę geniuszu, ubogo i biednie odzianą, chodzącą

od dziennika do dziennika, by sprzedać jużto jakiś poemat, jużto artykuł, i mówiącą niekiedy, iż *on* jest chory, — jedyne wyjaśnienie, jedyny powód, nieodmienne tłomaczenie, jakie dawała wówczas, kiedy jej syn znachodził się w owych chwilach czasowej bezpłodności, tak znanych nerwowym pisarzom. I nie pozwalala ustom swoim wypowiedzieć ani jednego słowa, któreby moglo być tłomaczone jako zwątpienie, jako osłabienie ufności w geniusz, i wolę swego ukochanego. Po śmierci córki przywiązała się do niego z wzmożoną miłością macierzyńską, prze-bywała z nim, troszczyła się nim i opiekowała, broniącego przed życiem i przed sobą samym. Zaiste, kończy Willis z wzniosłą i bezstronną słusznością, jeśli poświęcenie kobiety zrodzone wraz z pierwszem uczuciem i ożywione ludzką namiętnością przedmiot swój uświęca, to czegoż rzec nie można na korzyść tego, który zdołał natchnąć poświęceniem takiem jak to, czystem, bezinteresownem, świętem jak boska straż? Potwarcy Poego winni zauważyć, że niektóre wpływy potężnie pociągające mogą być tylko cnotami.

Można domyśleć się, jak straszna była wiadomość o jego śmierci dla nieszczęśliwej kobiety. Napisała list do Willisa, z którego oto urywek: »Dowiedziałam się dziś rano o śmierci mego ukochanego Edzia. Czy może mi Pan udzielić jakich szczegółów, jakich bliższych okliczności?... Och! nie opuszczaj swej biednej przyjaciółki w tem gorz-

kiem strapieniu... Powiedz Pan M... by zobaczył się ze mną; muszę wywiązać się względem niego z polecenia danego mi przez mego biednego Edzia... Nie potrzebuję Pana prosić o obwieszczenie jego śmierci i o dobre słowo o nim. Wiem że Pan to uczyni. I powiedz Pan, jakim czułym synem był on dla mnie, dla swej biednej, opuszczonej matki...«

Kobieta ta wydaje mi się w swej wielkości bardziej niż antyczną. Przygnieciona stratą niepowrotną, myśli tylko o dobrem imieniu tego, który stanowił dla niej wszystko; nie dość by mówiono o nim, iż był to geniusz; trzeba aby wiedziano, że był i człowiekiem pełnym przywiązania i poczucia obowiązku. Widoczna, że ta matka będąc zarazem ogniskiem i pochodnią zapaloną promieniem ze szczytu niebios, zesłana była jako przykład dla naszych ras malo troszczących się o poświęcenie, o heroizm i o to wszystko, co przechodzi obowiązek. Poe zachowa zabalsamowane w swej sławie imię kobiety, której tkliwość umiała opatrywać jego rany, a obraz jej unosić się będzie wiecznie nad kartami martyrologii literatury.

III.

Życie Poego, jego zwyczaje, jego istota fizyczna, to wszystko, co stanowi całość jego osobistości, ukazuje się nam jako coś pogrążonego w cieniu a zarazem jaśniejącego. Postać jego była osobliwa, pociągająca i naznaczona podobnie jak jego utwory, nie dającem się określić piętnem melancholii. Wreszcie był on ze wszech miar znakomicie uposażony. W młodości okazywał niezwykłe uzdolnienie do wszelakiego rodzaju ćwiczeń fizycznych, a przy małym wzroście posiadał stopy i dłonie kobiece i całe ciało jego miało cechę delikatności niewieściej, był przytem mocny i zdolny do zadziwiających prób siły. W młodości wygrał w pływaniu zakład, przechodzący miarę zwykłej umiejętności. Rzecby można, że natura zaszczepia energię temperamentu w tych, których przeznacza do wielkich rzeczy, podobnie jak obdarza bujną żywotnością drzewa, symbolizujące żałobę i cierpienie. Ludzie tacy z pozoru niekiedy wątli, są wyciosani na atletów, zdatni do orgii jak i do

będzie nim dumny, lecz nie omieszka zarazem w ironicznym tonie wyższości człowieka pozytywnego rozwodzić się nad rozrzuconem życiem poety, nad zaprawionym alkoholem jego oddechem, który mógł zająć się od płomienia świecy, nad jego nawyknieniem włóczęgowskiem. Powie ci że to była błędna, anormalna istota, planeta wytrącona z orbit, że tułał się ciągle od Baltimore do Nowego Jorku, od Nowego Jorku do Filadelfii, od Filadelfii do Bostonu, od Bostonu do Baltimore, od Baltimore do Richmondu. A jeśli słuchając ze ściśniętem sercem tego wstępu do rozdzierającej historyi, dasz do zrozumienia, że może temu nie samo indywiduum winne i że może trudno myśleć i pisać spokojnie w kraju gdzie władają miliony, w kraju właściwie mówiąc pozbawionym stolicy i arystokracyi — wtedy ujrzysz jak oczy mu się rozszerzą i zaczną ciskać błyskawice, jad zranionego patryotyzmu podejdzie do ust, a Ameryka pocznie przez usta jego rzucać obelgi swej starej matce Europie i filozofii dawnych czasów.

Powtarzam, że co do mnie, mam głębokie przekonanie, iż Edgar Poe i jego ojczyzna nie byli na jednym poziomie. Stany Zjednoczone są krajem olbrzymim a przytem jakby dzieckiem z natury zadrosnem o stary ląd. Nowy ten przybysz w dziejach, dumny swoim rozwojem materyalnym, anormalnym i prawie potwornym, ma naiwną wiarę we wszechpotęgę przemysłu; jest przekonany że

w końcu zdoła ona pożreć samego dyabła. Czas i pieniądz mają tam tak wielką wartość! Ruchliwość w kierunku materyalnym, przesadzona niemal aż do rozmiarów narodowej manii, pozostawia w umysłach bardzo mało miejsca dla rzeczy nie ziemskich.

Poe, który pochodził z dobrego rodu, który zresztą głosił, że wielkiem nieszczęściem jego kraju jest brak rasowej arystokracyi, albowiem w narodzie bez arystokracyi kult piękna musi się spaczyć, zmniejszyć się i w końcu zniknąć — Poe, który wytykał współziomkom nawet w ich zbytku przesadzonym i kosztownym objawy złego smaku, charakteryzujące parweniuszów — taki Poe musiał być tam duszą szczególnie osamotnioną. Wierzył tylko w to, co niewzruszone, nieśmiertelne, w *self-same* a przytem posiadał w pełni, dar okrutny wśród społeczeństwa rozmiłowanego w samem sobie — ten zdrowy zmysł Machiawela, który kroczy przed mędrcem, jak świetlisty słup po przez pustynie dziejów. Coby był pomyślał, coby napisał, gdyby słyszał, jak teologistka uczucia znosi piekło przez przyjaźń dla rodu ludzkiego, jak filozof cyfry proponuje system ubezpieczeń, suskrypcyę jednego sou na głowę celem usunięcia wojny — i zniesienie kary śmierci i ortografii, tych dwóch obłędów w parze idących; — i tylu innych chorych, który poddawszy ucho pod wiatr wypisują fantazye chaotyczne: tak rozwichrzone, jak żywioł który

pracy, pochopni tak do ekscesów jak i do nadzwyczajnej wstrzemięźliwości.

Jest parę rzeczy dotyczących Poego, co do których panuje powszechna zgodność, np. co do jego wielkiej wytworności naturalnej, jego wymowy i piękności z której był wedle tego, co opowiadają, nieco próżny. Jego obejście, złożone w osobliwy sposób z wyniosłości i wyszukanej słodyczy, było pewne siebie. Fizygnomia, chód, ruchy, sposób trzymania głowy, wszystko wskazywało w nim, w dobrych jego czasach, przedewszystkiem istotę wybraną. Cała jego postać tchnęła przenikającą powagą. Był on już przez naturę naznaczony jakiemś piętnem, jak owe niektóre postacie przechodni, co zatrzymują na sobie oko obserwatora i wrażają mu się w pamięć. Nawet pedantyczny i cierpki Griswold wyznaje, że gdy raz odwiedził Poego i zastał go jeszcze chorego i bladego po chorobie i śmierci żony, nadzwyczajnie go uderzyła nietylko wytworność jego obejścia, ale oblicze arystokratyczne i cała atmosfera mieszkania dość skromnie umeblowanego. Griswold nie wie, iż poeta posiada bardziej niż każdy inny człowiek ów cudowny dar przypisywany paryżance i kobietom hiszpańskim, stwarzania ozdób z niczego i że Poe miłujący piękno we wszystkiem, umiałby przekształcić, nawet lepiankę w nowego rodzaju pałac. Czyż nie pisał w sposób bardzo oryginalny

i ciekawy o projektach mebli, o planach domów wiejskich, ogrodach i reformach pejzażu?

Jest zachwycający list pani France Osgood, a przyjaciółki Poego i wybitnej autorki, który udziela nam najciekawszych szczegółów dotyczących jego obyczajów, osoby i jego życia domowego. Pani ta zaprzecza odważnie wszystkim występkom i błędom zarzucanym poecie.

»Być może — pisze ona Griswoldowi, że wobec mężczyzn był on takim, jakim go Pan maluje i jako mężczyzna może Pan mieć słuszność. Twierdzę jednak stanowczo, iż wobec kobiet był on zupełnie innym i że żadna kobieta nie mogła znając Poego nie odczuwać dla niego głębokiego zajęcia. Dla mnie on był zawsze wzorem elegancyi, wytworności i szlachetności.

»Pierwszy raz poznaliśmy się w *Astor-House*. Willis przeczytał mi przy table-d'hôtę [illegible]*ka*, o którego autorze pragnął poznać moją opinię. Tajemnicza i nadprzyrodzona muzyka tego niezwykłego utworu tak mię do głębi przeniknęła, iż skoro dowiedziałem się, że Poe pragnie mi być przedstawiony, doznalam uczucia szczególnego, podobnego do strachu. Zjawił się ze swą dumną głową, z oczami posępnemi, rzucającemi światło niezwykłe, światło uczucia i myśli, z niedającem się oddać połączeniem wyniosłości i słodyczy w ruchach. Powitał mię spokojnie, poważnie, prawie zimno; lecz pod tym chłodem drgała sympatya

tak widoczna, że nie mogłam się wstrzymać przed głębokiem jej wrażeniem. — Od tej chwili począwszy aż do śmierci jego byliśmy przyjaciółmi... i wiem, że w ostatniem jego wspomnieniu miałam swój udział i że zanim umysł jego utracił władzę dał mi najwyższy dowód swej wierności w przyjaźni«.

»Charakter Poego ukazywał mi się w swem najlepszem świetle przedewszystkiem wśród prostego i zarazem poetycznego otoczenia domowego. Swawolny, serdeczny, dowcipny, jużto posłuszny, jużto psotny, jak popsute dziecko, miał zawsze dla młodej, cichej i ubóstwianej żony i dla tych wszystkich, którzy go odwiedzali nawet wśród najgorętszej pracy literackiej, jakieś miłe słowa, życzliwy uśmiech, mnóstwo grzeczności wyszukanych i pełnych powabu. Przepędzał długie godziny przed pulpitem pod portretem swej ukochanej i zmarłej *Lenory*. Zawsze pracowity, zawsze pełen wyrzeczenia się i utrwalał swem wspaniałem pismem świetne fantazye, przechodzące przez jego zadziwiający umysł zawsze rozbudzony. Przypominam sobie, że pewnego ranka ujrzałam go bardziej wesołego i bardziej rozradowanego niż zwykle. Virginia prosiła bym go odwiedziła i niepodobna się było oprzeć jej naleganiom... Znalazłam go przy pracy nad seryą artykułów, ogłoszonych później pod tytułem *The literati of New-York*. »Patrz Pani, odezwał się do mnie rozwijając z tryumfu-

jącym śmiechem liczne małe ruloniki papieru — pokażę pani wedle różnicy długości stopnie mego uznania dla rozmaitych członków waszego literackiego rodzaju. W każdym z tych papierków jest jeden z was do dna obrobiony. Przyjdź Virginio i pomóż mi! I rozwijali jeden rulonik po drugim. W końcu znalazł się jeden, wydający się nieskończonym. Virginia wśród śmiechu trzymając jeden koniec cofnęła się aż w róg pokoju a mąż jej z drugim postąpił do przeciwległego kąta. A któż jest tym szczęśliwcem — zapytałam, — którego uznał pan godnym takich niepominionych względów? — »Słyszycie ją — zawołał, jakby to serduszko jej pełne próżności już jej nie powiedziało, że to ona sama!«

»Kiedy byłam zmuszona dla zdrowia podróżować, utrzymywałam z Poem regularną korespondencyę, poddając się żywym naleganiom żony jego, ufnej, że ja potrafię zachować nad nim wpływ zbawienny... O miłości i zaufaniu wzajemnem ich obojga, przedstawiającem dla mnie rozkoszny obraz mogę mówić tylko z największem przekonaniem i zapałem. Pomijam parę poetycznych epizodów, w jakie go wtrącił jego temperament romantyczny. Sądzę, że ona była jedyną kobietą, którą zawsze prawdziwie kochał...«

W nowelach Poego nie ma mowy o miłości. Przynajmniej *Ligeia, Eleonora* nie są ściśle mówiąc opowieścią miłosną. Główna idea, około której

obraca się dzieło, jest zupełnie inną. Może mniemał, iż proza nie pozostaje na wysokości tego dziwnego i prawie niedającego się oddać uczucia, bo poezye jego w zamian są niem nasycone. Boska namiętność ukazuje się tam wspaniała, świetlista i zawsze przysłonięta nieuleczalną melancholią. W artykułach swych mówi nieraz o miłości i to jako o rzeczy, której nazwa wprawia pióro w drżenie. W *The Domain of Arnhaim* twierdzi, iż są cztery podstawowe warunki szczęścia: życie w swobodzie, *miłość kobiety*, oderwanie się od wszelkiej ambicyi i stworzenie nowego Piękna. I to właśnie popiera zdanie p. Frances Osgood o rycerskim szacunku Poego dla kobiet, że mimo nadzwyczajnego talentu do tego, co groteskowe i straszne, niema w całem jego dziele ustępu, któryby nosił rys lubieżności lub świadczył o pociągu do uciech zmysłowych. Jego portrety kobiece są, że tak powiem, otoczone aureolą, rzucają blask jakby wśród nadziemskiej mgławicy, a malowane są w sposób emfatyczny pełny ubóstwienia. Co się zaś tyczy owych *drobnych epizodów romantycznych* to czy można się dziwić istocie tak nerwowej, w której pragnienie Piękna było może głównym rysem, że niekiedy w zapalności uczuć uprawiała galanteryę — ów wulkaniczny kwiat, dla którego wrzący mózg poetów jest ulubionym gruntem?

Można sobie wytworzyć przybliżone pojęcie jego

osobliwej piękności fizycznej, wspominanej przez licznych biografów, przywołując w pomoc wszystkie nieokreślone, jednak charakterystyczne wyobrażenia zawarte w slowie *romantyczny* — słowie służącem powszechnie do oddania rodzaju piękności, polegającego przedewszystkiem na wyrazie. Poe miał czoło szerokie, przodujące, na którem pewne wypukłości zdradzały odpowiadające im wybitne uzdolnienia: konstrukcyjne, porównawcze i analityczne, na niem rozsiadł się ze spokojną dumą zmysł tego, co idealne — zmysł estetyczny w całem znaczeniu. Jednak mimo tych nadmiernych darów, a może właśnie z ich powodu, głowa ta z profilu nie dawała przyjemnego widoku. Jak wszędzie tam, gdzie wyraz przechodzi miarę, wynikiem obfitości mógłby być brak, uzurpacyi-ubóstwo. Miał oczy wielkie, jednocześnie posępne i pełne światła, koloru nieokreślonego, przechodzącego we fiolet, nos szlachetny i silny, usta delikatne i smutne, jakkolwiek lekko uśmiechnięte, cerę jasno śniadą, twarz zazwyczaj bladą, fizyognomię nieco roztargnioną i naznaczoną niedostrzegalnym rysem zwykłej mu melancholii. Sposób prowadzenia rozmowy jego był niepospolity i dający treścią swą karm dla duszy. Nie był tym okropnym t. z. *beau-parleur'em*, zresztą tak w pisaniu jak i w mowie czuł wstręt do konwencyonalności; jednak rozległa wiedza, jędrne wysłowienie się, gruntowne studya, wrażenia uzbierane z przeróżnych krajów, — wszystko

to razem sprawiało, że ta rozmowa była i pouczeniem. Wymowa w treści swej poetyczna, pełna metody, a krocząca zawsze poza wszelką znaną metodą, arsenał obrazów, zaczerpniętych ze świata mało uczęszczanego przez tłumy, cudowna sztuka wyprowadzania z oczywistych i zupełnie widocznych założeń, postrzeżeń nowych i utajonych, otwierania zadziwiającej perspektywy — słowem sztuka czarowania, pobudzania myśli, marzeń, wyrywania dusz z barłogów rutyny — oto olśniewające jego przymioty, których pamięć zachowało wiele osób. Zdawało się jednak czasem, jak opowiadają, że poeta nagle w kaprysie niszczenia ściągał swych przyjaciół raptem jakimś dotkliwym cynizmem na ziemię, rozwalając brutalnie całe swe dzieło uduchowiania. Wspomnieć tu przytem trzeba, że był mało wybredny w doborze słuchaczy, a mniemam, że czytelnik znajdzie bez trudu w dziejach i inne podobnie wielkie i oryginalne umysły, dla których każde towarzystwo było dobrem. Niektórym duszom osamotnionym wśród tłumu i czerpiącym pokarm tylko w rozmowie z sobą, zbędną jest wszelka wybredność w przedmiocie publiczności. Jest to jakby rodzaj braterstwa opartego na pogardzie.

Trzeba by jednak pomówić o tym nałogu jego, osławionym i wytykanym z taką zaciekłością, iż możnaby przypuścić, jakoby wszyscy pisarze Stanów Zjednoczonych z wyjątkiem Poego, byli anio-

łami trzeźwości. Wiele wersyi jest tu dopuszczalnych, a żadna nie wyklucza innej. Muszę jednak przedtem zaznaczyć, że tak Willis jak i pani Osgood twierdzą oboje, iż najmniejsza ilość wina lub likieru wystarczała do zupełnego zamącenia jego organizmu. Łatwo tedy można przypuścić, że człowiek tak osamotniony, tak do głębi nieszczęsliwy, spozierający może nieraz na cały system społeczny jako na paradoksalne oszukaństwo, człowiek, który udręczany przez los bezlitośnie powtarzał często, że społeczeństwo jest stekiem nędzników (podaje to Griswold, zgorszony tem jak taki, który może myśleć to samo, lecz tego nigdy nie wypowie) — że ten poeta rzucony w dziecięcych jeszcze latach w zgiełk swobodnego życia, mając mózg wciśnięty w obrożę ciągłej i gorzkiej pracy, szukał niekiedy zapomnienia w butelce. Przed zawiściami literackiemi, przed zawrotami idącemi od nieskończoności, przed troskami domowemi, przed upokorzeniami nędzy, przed tem wszystkiem uciekał Poe w ciemnie upojeń, przyspasabiając sobie niejako grób. Jakkolwiek może się wydać dobrem to tłumaczenie, nie jest ono jeszcze dostatecznie szerokie i nie mam ku niemu zaufania z powodu zbytniej jego prostoty.

Wiemy, że nie pijał on nigdy jak smakosz, lecz jak barbarzyniec, z iście amerykańskim pospiechem i zaoszczędzeniem czasu, jakby dokonywał jakiegoś morderczego czynu, jakby musiał w sobie coś za-

bić, *a worm that would not die.* Opowiadają, iż pewnego dnia, gdy miał się poraz wtóry ożenić (zapowiedzi były już ogłoszone, a gdy mu składano życzenia z powodu związku, składającego w jego ręce najlepsze warunki szczęścia i dobrobytu, odrzekł: »Być może, żeście słyszeli zapowiedzi lecz zanotujcie sobie dobrze: ja się nie ożenię«), wyszedł strasznie pijany, aby wywołać zgorszenie sąsiadów tej, która miała zostać jego żoną i w ten sposób przy pomocy swego nałogu wydobyć się z przeniewierstwa względem biednej zmarłej, której obraz zawsze w nim tkwił żywo, i którą w tak cudowny sposób opiewał w swej *Anabel Lee.* Uważam zatem ten niezmiernie cenny fakt poprzedniej rozwagi w wielu wypadkach za stwierdzony. Gdzieindziej zaś, w obszernym artykule *w Southern Literary Messenger,* piśmie, którego pomyślność on rozpoczął — czytam, że straszny ten nałóg nigdy nie mącił czystości i wykończenia jego stylu, jasności myśli ni zapału do pracy, że każda z tych przypadłości poprzedzała lub następowała po ukończeniu większej części jego wybornych utworów, że po ogłoszeniu *Eureki* oddał się nieszczęśliwej swej skłonności i że w Nowym Jorku tego samego rana, kiedy wychodził *Kruk* i imię poety było na ustach wszystkich, on przechodził Broadway straszliwie się zataczając. Słowa: *poprzedzała* lub *następowała* zawierają, iż upicie się mogło być zarówno środkiem podniecającym jak i odpoczynkiem.

Otóż niezbitą jest rzeczą iż — podobnie do tych wrażeń przelotnych a uderzających, tem bardziej uderzających w swych nawrotach im bardziej są one przelotne, jakie towarzyszą niekiedy jakiemuś zdarzeniu zewnętrznemu, pewnemu rodzajowi ostrzeżenia, jak dźwięk dzwonu, ton muzyczny, woń zapomniana, które same bywają poprzedzane zdarzeniem, podobnem do zdarzenia już znanego, zajmującego takie same miejsce w łańcuchu poprzednio objawionym — podobnie do tych szczególnych marzeń periodycznie powracających, jakie nawiedzają sny nasze, istnieje też także w stanach upicia się nietylko powiązanie marzeń, lecz i szereg rozumowań, potrzebujących do powtórnego odtworzenia tego samego tła, które je zrodziło. Jeżeli czytelnik bez niechęci szedł tokiem mej myśli, to już domyśla się wniosku: mniemam iż w wielu razach, oczywiście nie zawsze, pijaństwo Poego było środkiem mnemonicznym, metodą pracy, metodą energiczną i zabójczą, lecz zastosowaną do jego namiętnej natury. Poeta nauczył się pić podobnie, jak staranny literat ćwiczy się w zbieraniu notat. Nie mógł oprzeć się żądzy odnalezienia cudownych lub strasznych wizyi, subtelnych koncepcyi napotkanych w poprzednich chwilach wzburzenia; pociągały go tak stanowczo i rozkazująco rzeczy dawniej poznane i aby powrócić do nich, obierał drogę najbardziej niebezpieczną ale i najprostszą. Wielka część tego, co nam dziś rozkosz sprawia, stanowi to, co go zabiło.

IV.

O dziełach tego niezwykłego geniuszu mało mam do powiedzenia. Przyszłoby mi może trudno, jakkolwiek bynajmniej nie niemożliwie, odsłonić jego metodę, wytłomaczyć jego sposoby, zwłaszcza w tej części jego dzieł, której główny efekt tkwi w oszczędnie użytej analizie. Mogłbym wprowadzić czytelnika w tajniki jego roboty, rozwodzić się szeroko nad tą przymieszką geniuszu amerykańskiego, dozwalającą mu lubować się pokonywaniem trudności, rozwiązywaniem zagadek, udałą próbą siły i wiodącą do obracania się z dziecięcą i nieco rafinowaną rozkoszą w świecie możliwości i domysłów i do stwarzania »kaczek«, którym subtelna jego sztuka nadawała życie uprawdopodobnione. Nikt nie zaprzeczy, że Poe był znakomitym żonglerem, wiem zaś, iż sam cenił inną stronę swych dzieł. Podam tu parę uwag, zresztą krótkich.

Danem mu będzie zdobyć podziw wszystkich ludzi myślących nie owymi materyalnymi dziwami, które mają zresztą swój rozgłos, ale miłością Piękna, znajomością warunków harmonii piękności,

swą poezyą głęboką i żałosną, niemniej wykończoną przejrzyście i poprawnie jak klejnot z kryształu, swoim stylem cudownym, czystym a dziwnym, związanym jak ogniwa zbroi, w którym najlżejszy zamysł służy do poprowadzenia czytelnika niedostrzeżenie ku zamierzonemu celowi, — a w końcu nadewszystko swym geniuszem, zupełnie odrębnym, tym temperamentem jedynym, który dozwalał mu jednocześnie odmalowywać i wyjaśniać w sposób przejmujący i straszliwy *wyjątek w sferze moralnej. Diderot* — aby wziąć jakiś przykład — jest pisarzem sangwinicznym, Poe pisarzem nerwów a i czemś po nadto jeszcze — i to najlepszym, jakiego znam.

U niego każde wejście w treść, pociąga, ale bez gwałtowności, jak wir. Jego ton uroczysty przejmuje i trzyma umysł w rozbudzeniu. Czuje się zaraz z początku, że chodzi tu o coś poważnego. I powoli, krok za krokiem rozsnuwa się historya, której cała waga spoczywa w niedostrzeżonem zboczeniu intelektu, na śmiałej hypotezie, niebacznej przymieszce natury w amalgamacie władz duszy. Czytelnik pochwycony zawrotem, jest zmuszony towarzyszyć autorowi, pociągnięty więzami jego dedukcyi.

Żaden człowiek — powtarzam — nie opowiedział z większym czarem wyjątków życia ludzkiego i natury — żaru ciekawości zdrowia, śmierci pór uginających się pod wysiloną okazałością,

chwil ciepłych, wilgotnych i mglistych, w których wiatr południowy zmiękcza i zwalnia z napięcia nerwy,jak struny instrumentu, a oczy napełniają się łzami, które nie idą z serca — halucynacyi z początku jeszcze otoczonej niedowierzaniem, potem pewnej i rozumującej jak książka — absurdu sadowiącego się w inteligencyi i sterującego nią ze straszliwą logiką — histeryi przywłaszczającej sobie miejsce woli — sprzeczności dzielącej umysły i nerwy człowieka rozstrojonego, aż do wyrażenia cierpienia śmiechem. Analizuje rzeczy najmniej uchwytne, waży to, co się nie da odważyć, opisując w sposób szczegółowy i ścisły, którego działanie straszliwe, całą tę sferę fantazyjną, jaka unosi się wokół człowieka nerwowego i wiedzie go ku złemu.

Zapał, z jakim chwyta się on tego, co groteskowe i straszne przez miłość ku temu, co groteskowe i straszliwe, świadczy mi o szczerości jego dzieła i o zgodzie człowieka z poetą. U wielu ludzi zapał ten bywał wynikiem rozlewnej, wolnej energii żywotnej, niekiedy zaciekłej czystości, a także tłumionej głębokiej wrażliwości. Nadziemska rozkosz, jakiej człowiek doznaje na widok płynącej własnej krwi, ruchy nagle, gwałtowne, bezcelowe, krzyk wyrzucony w powietrze a nie wywołany żadnym rozkazem umysłu, — wszystko są to zjawiska należące do tego samego rzędu.

Wśród tej literatury o powietrzu rozrzedzonem

umysł doznaje tej nieokreślonej trwogi, tego lęku pochopnego do płaczu i tego ściśnięcia serca, jakie się ma na miejscach bezkreśnych a niezwykłych. Lecz najsilniejszem uczuciem jest podziw — a zresztą sztuka jest taką wielką! Tło i akcesorya są tu dostosowane do osób. Zarówno samotność przyrody jak i ruchliwość miast opisane są równie nerwowo i fantastycznie. Podobnie jak Eugeniusz Delacroix, który wyniósł swą sztukę na wyżyny wielkiej poezyi, lubi Poe ustawiać swoje postacie na tle fioletowem i zielonawem, gdzie ukazuje się fosforescencya próchna i czuć woń burzy. Natura t. z. martwa uczestniczy w naturze istot żyjących, podobnie jak tamte, przebiega ją dreszcz nadprzyrodzony, galwaniczny. Przestrzeń pogłębiło opium, nadaje tu sens magiczny wszystkim barwom, wprawia wszystkie odgłosy w wibracyę, odbrzmiewającą bardziej znacząco. Czasem otwierają się nagle w jego pejzażach wspaniałe przestrzenie a w dali ich horyzontów widnieją wschodnie miasta, rozmglone w oddaleniu architektury, na które słońce rzuca deszcz złoty.

Osoby Poego, a raczej jego osoba — człowiek o zaostrzonych władzach, o nerwach rozprężonych, woli gorącej a cierpliwej, rzucającej wyzwanie trudnościom, człowiek o spojrzeniu wytężonem ze sztywnością szpady ku przedmiotom, olbrzymiejącym w miarę jak on na nie patrzy — to Poe sam. I wszystkie kobiety jego, świetlane, chore,

zamierające w dziwnych cierpieniach, mówiąc głosem podobnym do muzyki — to także on sam, a przynajmniej ich pragnienia nie zwyczajne, ich wiedza, ich melancholia nieuleczalna, pochodzą z natury i duszy ich twórcy, zaś jego idealny typ kobiety odsłania się w przeróżnych portretach rozsianych w nielicznych poezyach — portretach, które zbliża i zlewa w całość nieokreśloną mimo to wyraźną nietyle natura autora ale raczej jego sposób odczuwania piękności. Tam żyje bardziej może niż gdzie indziej, owa nieugaszona miłość Piękna, która stanowi jego główny tytuł, tj. zsumowanie wszystkich jego tytułów do miłości i czci wszystkich poetów.

T. S.

MORDERSTWO NA RUE MORGUE

Cechy umysłowe, zwane analitycznemi, są same w sobie nie bardzo analizie podatne. Oceniamy je tylko według ich skutków. Wiemy o nich pomiędzy innemi, że są zawsze dla swego właściciela, gdy je posiada w wysokim stopniu, źródłem najżywszej przyjemności. Jak silny człowiek rozkoszuje się w swej fizycznej sprawności, znajdując urok w ćwiczeniach, wprawiających w czynność jego mięśnie, tak analityk rozkoszuje się w tej moralnej czynności, którą rozplątuje. Czerpie zadowolenie z najbłahszych nawet zajęć, wciągających w grę jego talent. Lubi on zagadki, łamigłówki i hieroglify, rozwiązywanie ich dowodzi takiego stopnia przenikliwości, która zwyczajnemu umysłowi wydaje się nadnaturalną. Wyniki jego, osiągnięte za pomocą metody, mają zaiste cechy intuicyi.

Zdolność analizy rozwija się znacznie pod wpływem studyów matematycznych, a zwłaszcza tej ich najwyższej gałęzi, która niesłusznie i tylko wskutek jej wstecznych operacyi, otrzymała nazwę analizy *par excellence*. Jednak obliczanie jeszcze nie jest

analizowaniem. Szachista, naprzykład, czyni pierwsze, nie usiłując wcale drugiego; wynika z tego, że gra w szachy, w swych skutkach na umysłowe czynności, jest źle pojmowana. Nie piszę obecnie rozprawy, lecz bezładną przedmowę do nieco osobliwej opowieści; skorzystam więc ze sposobności, aby postawić twierdzenie, że najwyższe władze refleksyjnego umysłu są bardziej wystawione na próbę w niepokaźnej grze w warcaby, niżeli w szachach. W tych bowiem, gdy figury mają różne i fantastyczne ruchy o różnych i zmiennych wartościach, to co jest zawiłe, bierze się często za głębokie. Uwaga odgrywa tu potężną rolę. Jeżeli osłabnie na chwilę, popełnia się przegapienie, pociągające za sobą szkodę lub porażkę. Ponieważ możliwe ruchy są nietylko wielorakie ale i zawiłe, przeto łatwość takiego przegapienia się jest wielka; w dziewięciu wypadkach na dziesięć zwycięża gracz nie lepszy, a ten, który umie się skupić. W warcabach, przeciwnie, gdzie ruchy są jedne i nie wiele posiadają odmian, prawdopodobieństwo nieuwagi jest zmniejszone, a ponieważ nadzwyczajna uwaga nie jest wcale zajęta, przewagę zyskuje się właśnie sprytem i przenikliwością. Aby być mniej oderwanym — przypuśćmy grę w warcaby, zredukowaną do czterech królów, a gdzie przegapienia się nie spodziewa, jest rzeczą jasną, że w tym razie o zwycięstwie rozstrzyga (przy równości graczy) jakiś ruch *recherché*, wynik zna-

-cznego wysiłku umysłowego. Pozbawiony zwyczajnych sztuczek analityk wciela się w ducha swego przeciwnika, utożsamia się z nim i nie rzadko widzi w ten sposób od jednego spojrzenia jedyną metodę (czasem zaprawdę nieskończenie prostą), zapomocą której może skłonić go do spełnienia błędu lub do błędnej kalkulacyi.

Whist od dawna jest znany ze swego wpływu na władzę obliczania, wiadomo, że ludzie najwyższych zdolności intelektualnych znajdują niewytłomaczoną pozornie przyjemność w wiście, unikając przytem szachów. Niewątpliwie nic innego nie wymaga tak wielkich zdolności analitycznych. Najlepszy szachista w świecie *może* być nie wiele więcej niż dobrym szachistą; ale powodzenie w wiście zawiera w sobie zdolność do sukcesu w tych wszystkich ważniejszych przedsięwzięciach, w których umysł walczy z umysłem. Gdy mówię powodzenie, to mam na myśli tę doskonałość gry, która obejmuje zrozumienie wszystkich źródeł, z których można ciągnąć uprawnione zyski. Te zaś są nietylko wielorakie ale i różnolite, a znajdują się częstokroć w skrytkach myśli, całkiem niedostępnych zwykłemu objęciu. Obserwować uważnie to znaczy pamiętać wyraźnie; to też skupiający się szachista może mieć powodzenie w wiście; prawa Hoyle'go (oparte na prostym mechanizmie gry) są dostatecznie i powszechnie rozumiane. Tak więc mieć dobrą pamięć i postępować według

przepisów uważa się powszechnie za alfę i omegę dobrej gry. Ale zdolność analityka objawia się właśnie w sprawach, leżących po za granicami zwykłego prawidła. Analityk robi w milczeniu mnóstwo spostrzeżeń i wniosków. Tak, być może, postępują i jego towarzysze; różnica w zakresie informacyi osiągniętej leży nie tyle w słuszności wniosku, ile w jakości spostrzeżenia. Konieczną jest wiadomość tego, co obserwować. Gracz nasz wcale się nie ogranicza; ani też, gdy gra jest celem, nie gardzi on dedukcyami z rzeczy do gry nie należących. Bada on oblicze swego partnera i porównywa starannie z każdym ze swych przeciwników. Rozważa sposób ułożenia kart w każdej ręce; liczy często atuty na podstawie spojrzeń ciskanych przez ich posiadaczy. Notuje każdą zmianę na twarzy, wywołaną podstępem gry, zgromadzając zapas myśli z różnic wyrazów: pewności, zdumienia, tryumfu lub niezadowolenia. Ze sposobu zbierania lewy sądzi, czy zbierający zrobi następnie drugą. Poznaje, co się zagrywa dla zmydlenia oczu, ze sposobu, w jaki karta pada na stół. Przypadkowe lub nieuważne słowo, przypadkowe opuszczenie lub odwrócenie karty, któremu towarzyszy niezadowolenie lub obojętność, zakłopotanie, wahanie się lub drżenie — wszystko dostarcza jego pozornie intuicyjnej percepcyi wskazówek odnośnie do prawdziwego stanu rzeczy. Gdy gra obeszła już dwa lub trzy razy wkoło, posiada on już dokładną znajo-

mość kart w każdej ręce i odtąd wykłada karty z absolutną precyzyą, jakgdyby reszta odkryła swoje.

Władzy analitycznej nie należy mieszać ze zwykłą pomysłowością; bo kiedy analityk jest z konieczności pomysłowy, pomysłowy człowiek jest częstokroć niezdolny do analizy. Władza konstrukcyjna czyli kombinacyjna, przez którą zwykle pomysłowość się objawia, i której frenelogowie (błędnie mojem zdaniem) przypisali osobny organ, spotyka się tak często u tych, których umysłowość graniczy z idyotyzmem, że zwróciła na siebie powszechną uwagę moralistów. Pomiędzy pomysłowością a zdolnością analityczną istnieje zaiste o wiele znaczniejsza różnica, niżeli pomiędzy fantazyą a wyobraźnią, ale charakteru wybitnie analogicznego.

Następujące opowiadanie stanie przed czytelnikiem w świetle komentarza do powyższych twierdzeń.

Mieszkając w Paryżu przez wiosnę i część lata roku 18—, poznałem się z panem C. Auguste Dupin. Młodzieniec ten pochodził z doskonałej — ba, nawet ze znakomitej rodziny, ale wskutek różnych okoliczności doszedł do takiej biedy, że energia jego charakteru ugięła się pod nią, tak, że zaprzestał obracać się w świecie, lub starać się o odzyskanie fortuny. Przez grzeczność swych wierzycieli zatrzymał jeszcze w swem posiadaniu

małą cząstkę ojcowizny; z pobieranego stąd dochodu zdołał przy pomocy skrupulatnej oszczędności dostarczyć sobie rzeczy niezbędnych do życia, nie troszcząc się wcale o zbytki. Książki były bowiem jego jedynym zbytkiem, a te można w Paryżu tanio nabywać.

Pierwsze nasze poznanie się nastąpiło w podrzędnej bibliotece na Rue Montmartre, gdzie zbliżył nas fakt, że obaj szukaliśmy bardzo rzadkiej i bardzo osobliwej książki. Widywaliśmy się wielokrotnie. Zainteresowałem się historyą rodzinną, którą mi opowiedział szczegółowo ze szczerością właściwą Francuzowi, gdy chodzi jedynie o jego własną osobę. Zdumiony byłem jego ogromnem oczytaniem; nadewszystko czułem się przejęty jego zapałem i żywością wyobraźni. Szukając w Paryżu rzeczy, których mi wtedy było potrzeba, sądziłem, że towarzystwo takiego właśnie człowieka byłoby dla mnie nieocenionym skarbem; z myśli tych zwierzyłem się przed nim. Ułożyliśmy się niebawem, że zamieszkamy razem podczas mego pobytu w mieście; a ponieważ moje położenie w świecie było lepsze niż jego, pozwolił mi ponieść koszta wynajęcia i umeblowania w sposób dogadzający fantastycznej ponurości naszych usposobień starego i groteskowego domu, dawno opuszczonego wskutek przesądów, których nie badaliśmy, a znajdującego się w opuszczonej części Faubourg St. Germain.

Gdyby świat znał bieg naszego życia w tej siedzibie, uważanoby nas za szaleńców — chociaż jako szaleńców może nieszkodliwych. Odosobnienie nasze było doskonałe. Nie przyjmowaliśmy gości, miejsce naszego pobytu było trzymane w sekrecie przed mymi poprzednimi towarzyszami; a Dupin przestał być znany w Paryżu oddawna. Istnieliśmy wyłącznie w samych sobie.

Wybrykiem fantazyi mego przyjaciela, (bo jakże to nazwać inaczej) bylo rozmiłowanie się w nocy dla niej samej; z tą jego *bizarrerie*, jak i z innemi chętnie się zgodziłem; tolerowałem jego dzikie fantazye z zupełnem *abandon*. Czarne bóstwo nie chciało przebywać z nami nieustannie; ale umieliśmy podrobić jej obecność. Z pierwszym brzaskiem rannym zamykaliśmy wszystkie masywne okiennice naszego starego budynku; poczem zapaliliśmy kilka świec, które mocno wonią zaprawione rzucały jeno bardzo słabe promienie. Przy pomocy tych świec zajmowaliśmy swoje dusze czytaniem, pisaniem lub rozmową, aż dopóki zegar nie ostrzegł nas o nadejściu prawdziwej ciemności. Wtedy wypadaliśmy na ulice, trzymając się pod ręce, rozprawiając w dalszym ciągu, lub włócząc się daleko aż do późnej godziny, szukając wśród świateł i cieniów tego ludnego miasta tej nieskończoności umysłowego podniecenia, jakiego może dostarczyć spokojna obserwacya.

W takich chwilach nie mogłem nie zauważyć

i nie podziwiać (chociaż powinienem był spodziewać się tego po jego bujnym idealizmie), szczególniejszej zdolności analitycznej Dupin'a. Ćwiczenie tej zdolności zdawało się sprawiać mu znaczną przyjemność, do czego się wprost przyznawał. Chwalił się przedemną, chichocząc po cichu, że wielu ludzi w odniesieniu do niego posiadało okna w piersiach, a twierdzenie to popierał uderzającymi dowodami znajomości mojej osoby. Zachowanie się jego w takich chwilach było sztywne i abstrakcyjne; oczy nie posiadały wyrazu; głos zaś, zwykle dźwięczny tenor, stawał się sopranem, który wyglądałby na kaprys, gdyby nie zupełna wyrazistość enuncyacyi. Obserwując go w takich chwilach, często rozmyślałem nad starą filozofią o dwoistości duszy i bawiłem się ideą o podwójnym panu Dupin — twórczym i analitycznym.

Niechaj nikt z tego, co powiedziałem, nie wnioskuje, że opowiadam jaką tajemnice lub piszę romans. To co opisałem we Francuzie było jedynie wynikiem podnieconej a może i chorobliwej inteligencyi. Ale o charakterze jego uwag w takich chwilach najlepsze pojęcie da przykład.

Pewnej nocy szliśmy brudną ulicą niedaleko *Palais Royal.* Gdyśmy pozornie obaj byli zatopieni w myślach, żaden z nas nie przemówił z piętnaście minut co najmniej. Nagle Dupin przerwał milczenie temi słowy :

— Jest bardzo niskiego wzrostu, to prawda, i nadawałby się lepiej do Theâtre Varietes.

— To nie ulega wątpliwości, — odparłem nieświadomie, nie zauważywszy odrazu (tak bardzo byłem zamyślony) niezwykłego sposobu, w jaki mówiący wpadł w moje rozmyślania. W chwilę potem opamiętałem się, a zdumienie moje było głębokie.

— Dupin, — powiedziałem poważnie, — to przechodzi moje objęcie. Nie waham się powiedzieć, że jestem zdumiony i ledwie mogę wierzyć samemu sobie. Jakimże porządkiem mogłeś wiedzieć, że ja myślałem o — ? — Tu przerwałem, aby zapewnić się ponad wszelką wątpliwość, że istotnie wiedział o kim myślałem.

— O Chantilly, — dopowiedział, — czemu się zatrzymujesz! Mówiłeś sam do siebie, że jego drobna postać nie nadaje się do tragedyi.

To istotnie, było przedmiotem moich rozmyślań. Chantilly był kiedyś szewcem z Rue St. Denis, który zachorowawszy na scenę spróbował roli Xerxesa w tragedyi Crebillona tego samego tytułu, i został wyśmiany za swój trud.

— Powiedzże mi, na Boga, — zawołałem — jaką metodą — jeżeli w tem jest metoda — udało ci się zgłębić mą duszę w tej sprawie. — Byłem więcej zdumiony, niż chciałem przyznać.

— Owocarz, odparł mój przyjaciel, — kazał ci przyjść do wniosku, że szewc nie posiadał dostatecznego wzrostu na Xerxesa *et id genus omne.*

— Owocarz! — zadziwiasz mnie — nie znam żadnego owocarza.

— Człowiek, który wpadł na ciebie, gdyśmy wchodzili w ulicę — tak może kwadrans temu.

Przypomniałem sobie teraz, że istotnie owocarz, niosący na głowie duży kosz jabłek, o mały włos nie obalił mnie przypadkiem, gdyśmy wchodzili z Rue C... — na drogę, na której staliśmy; ale nie mogłem pojąć, coby to miało za związek z Chantilly.

Nie było ani źdźbła szarlataneryi u Dupin'a. — Wyjaśnię ci, — powiedział — abyś zaś mógł lepiej zrozumieć, pójdziemy naprzód wstecz w ślad twych rozmyślań od chwili, kiedy przemówiłem do ciebie, aż do spotkania z owocarzem. Większe ogniwa łańcucha są takie — Chantilly, Orion, Dr. Nichols, Epierdins, Stereotomia, kamienie brukowe, owocarz! —

Mało jest ludzi, którzyby kiedykolwiek nie zabawiali się śledzeniem wstecz stopni, po których doszli do szczególnych wniosków. Zajęcie jest często bardzo interesujące; a kto próbuje go po raz pierwszy doznaje zdziwienia z powodu nieograniczonej napozór przestrzeni i niezgodności pomiędzy punktem wyjścia a końcem. Jakież więc musiało być moje zdumienie, gdy usłyszałem powyższe słowa Francuza, i gdy nie mogłem nie przyznać, że miał racyę.

On ciągnął dalej:

— Mówiliśmy o koniach, jeżeli dobrze sobie przypominam, przed samem opuszczaniem Rue C... To był ostatni przedmiot rozmowy. Gdyśmy wchodzili na tę ulicę, owocarz, z wielkim koszem na głowie, mijając nas szybko, pchnął pana na kupę kamieni brukowych, złożonych na miejscu, gdzie szosa ulega naprawie. Stąpiłeś pan na jeden luźny fragment, potknąłeś się, wytchnąłeś lekko kostkę, mruknąłeś kilka słów z niezadowolenia, zwróciłeś się, aby spojrzeć na kupę kamieni, i potem poszedłeś dalej w milczeniu. Ja nie zwracałem na pana specyalnej uwagi; ale w ostatnich czasach obserwacya stała się u mnie rodzajem konieczności.

— Patrzyłeś pan na ziemię — spoglądając z wyrazem grymasu na dziury i rysy w bruku (z czego wnioskowałem, żeś pan ustawicznie myślał o kamieniach), aż póki nie doszliśmy do małej alei, nazwanej Lamartine, która dla próby była wybrukowana zachodzącymi na siebie blokami. Tu twarz pańska rozjaśniła się. a spostrzegłszy, że usta pańskie poruszają się, nie wątpiłem, że pan szeptałeś słowo, stereotomia, oznaczający ten gatunek bruku. Wiedziałem zaś, że nie mogłeś pan powiedzieć sobie wyrazu — stereotomia — aby nie myśleć o atomach, a więc o teoryach Epikura; a skoro mówiąc o tem bardzo niedawno wspomniałem panu, jak osobliwie, a jednakże z jak małą uwagą, niejasne przypuszczenia tego szla-

chetnego Greka spotkały się z potwierdzeniem w mgławicowej kosmogonii, czułem, że musiałeś pan rzucić okiem na wielką mgławicę Oriona, co się też stało. Stąd rozumiałem, że dokładnie postępowałem za pańskiemi myślami w gorzkiej tyradzie na Chantilly'ego, która pojawiła się we wczorajszej *Musée*, satyryk czyniąc niewdzięczną aluzyę do zmiany nazwiska szewca, przytoczył łaciński wiersz, o którym często rozprawialiśmy. Mam na myśli ten wiersz: Perdit antiquum litera prima donna. Mówiłem ci, że się to odnosiło do Oriona, pisanego dawniej Urion, a z pewnych złośliwości związanych z tem wyjaśnieniem, wnioskowałem, żeś o tem nie zapomniał. Było więc rzeczą jasną, że pan połączysz dwie idee Oriona i Chantilly. Że się tak stało przypuszczałem z uśmiechu, który przebiegł po pańskich ustach.

Dotąd szedłeś pan pochylony, ale nagle wyprostowałeś się pan zupełnie. Wtedy byłem pewny, żeś pan rozmyślał o postawie pana Chantilly. W tej chwili przerwałem pańskie rozmyślania, aby zauważyć, że istotnie jest małego wzrostu, i że nadawałby się lepiej do Théâtre des Variétés.

Wkrótce potem przeglądaliśmy wieczorne wydanie »Gazette des Tribunaux«, w której taki ustęp zwrócił naszą uwagę.

»*Nadzwyczajne morderstwo.* — Dzisiaj około trzeciej godziny rano mieszkańcy z Quartier St.

Roch zostali zbudzeni ze snu strasznymi krzykami, wychodzącymi najwyraźniej z czwartego piętra domu na Rue Morgue, zajmowanego wyłącznie przez Madame L'Espanaye, i jej córkę, Mademoiselle Camille L'Espanaye. Po niejakiej zwłoce, spowodowanej bezowocnem usiłowaniem dostania się do wnętrza zwyczajnym sposobem, brama została wywalona żelazem, a ośmiu czy dziesięciu sąsiadów weszło w towarzystwie dwóch żandarmów. Tymczasem krzyki ustały, ale gdy sąsiedzi wbiegali na pierwsze piętro schodów, można było odróżnić dwa lub więcej szorstkich głosów w sprzeczce, wychodzących z górnej części domu. Po chwili i te dźwięki ucichły, i nastała zupełna cisza, obecni rozproszyli się, przebiegając od pokoju do pokoju. Po przybyciu do wielkiego tylnego pokoju na czwartem piętrze, którego drzwi z wewnątrz zamknięte też zostały wyłamane, przedstawił się oczom widok uderzający nie mniej okropnością jak dziwacznością.

Apartament był w najdzikszym bezładzie, meble połamane i porozrzucane. Stało tylko jedno łóżko, z którego ściągnięta pościel znajdowała się na środku podłogi. Na krześle leżała skrwawiona brzytwa. Na ognisku znaleziono dwa czy trzy długie i grube warkocze siwych włosów ludzkich także krwią zbryzgane i wyraźnie wyrwane z korzeniem. Na podłodze znaleziono cztery napoleony, topazowy kolczyk, trzy wielkie łyżki srebrne, trzy

mniejsze z *metal d'Alger*, i dwa worki, zawierające blisko cztery tysiące franków w złocie. Szuflady biurka, stojącego w rogu, były rozwarte, i wyraźnie splądrowane, chociaż wiele artykułów pozostało w nich. Pod pościelą znaleziono małą szkatułkę żelazną (nie pod łóżkiem). Była otwarta i nie zawierała nic oprócz kilku starych listów i innych papierów małej wartości.

»Nie znaleziono tu śladów Madame L'Espanaye, ale gdy zauważono niezwykłą ilość sadzy na ognisku, zaczęto poszukiwania w kominie i (strasznie powiedzieć!) wyciągnięto z niego trupa córki, głową w dół, tak bowiem została ona wciśniętą w wąski otwór komina. Ciało było zupełnie ciepłe. Po zbadaniu spostrzeżono liczne ekskorjacje, wywołane niezawodnie siłą, z jaką ciało zostało w komin wetknięte i ztamtąd wyciągnięte. Na twarzy były liczne silne podrapania, a na szyi, czarne plamy i głębokie ślady paznokci, jak gdyby zmarła została uduszona.

»Po starannem poszukiwaniu wszystkich części domu, w którym nie zrobiono żadnego dalszego odkrycia, udano się na mały brukowany dziedziniec w tyle budynku, gdzie znajdowało się ciało matki z szyją tak całkowicie poderżniętą, że przy podniesieniu trupa głowa odpadła. Zarówno ciało jak głowa były tak strasznie pokaleczone, że zaledwie zachowały jeszcze ludzkie kształty.

»Zdaje się, że nie znaleziono klucza do zrozumienia tej strasznej zbrodni.

Następnego dnia podano jeszcze takie szczegóły.

»*Tragedya na Rue Morgue.* — Wiele ludzi przesłuchano w sprawie tak niezwykłej i strasznej, ale nie dostarczyło to żadnego wyjaśnienia. Podajemy poniżej cały uzyskany materyał.

»*Pauline Dubourg,* praczka, oświadcza, że znała obie nieboszczki od trzech lat, piorąc im przez ten czas bieliznę. Matka z córką zdawały się być na dobrej stopie — bardzo czulej wzajemnie. Płaciły doskonale. Nie mogła nic powiedzieć o ich sposobie życia lub środkach. Zdaje się jej, że Madame L. utrzymywała się z wróżenia. Wiedziano, że ma złożone pieniądze. Nigdy nikogo nie spotkała w domu podczas swoich wizyt. Wiedziała napewne, że nie miały służącej, Nie było zdaje się mebli w żadnej części z wyjątkiem czwartego piętra.

»*Pierre Moreau,* tabacznik, zeznaje, że sprzedawał małe ilości tytoniu i tabaki Pani L'Espenaye przez ciąg czterech lat. Urodził się w sąsiedztwie, i zawsze tam mieszkał. Zmarła razem z córką mieszkała w zajmowanym przez siebie domu przeszło sześć lat. Poprzednio zajmował go jubiler. Dom był własnością Madame L. Nie była zadowolona z nadużywania domu przez wynajmującego, to też wprowadziła się sama i nie chciała

wynając na dole ani pokoju. Staruszka była dziecinną. Świadek widział córkę pięć czy sześć razy w ciągu sześciu lat. Obie żyły bardzo skromnie. Mówiono, że mają pieniądze. Sąsiedzi mówili, że Madame L. wróży — świadek nie wierzył. Nigdy nie widział nikogo wchodzącego, z wyjątkiem matki i córki, i raz czy dwa ekspresa, doktora zaś ośm czy dziesięć razy.

Wielu innych sąsiadów dało podobne wyjaśnienia. O żadnym gościu w domu nie wspominano. Nie wiedziano, czy żyli jacy krewni Madame L. i jej córki. Okiennice frontowych okien były rzadko roztwarte. Tylne zaś były zawsze zamknięte z wyjątkiem wielkiego pokoju na czwartem piętrze. Dom był dobry i nie bardzo stary.

»*Isidore Muset, gendarme,* zeznaje, że został wezwany do domu około godziny trzeciej rano, i zastał dwadzieścia do trzydziestu osób u drzwi, usiłujących wejść. Sforsował drzwi bagnetem. Nie wiele miał trudności w otworzeniu drzwi, ponieważ składały się z dwóch połów i nie były zaryglowane ani u dołu ani u góry. Krzyki przeciągały się, aż do otworzenia drzwi, potem nagle ustały; zdawały się to być krzyki osoby (lub osób) w wielkiej agonii, głośne i przeciągłe, a nie krótkie i urywane. Świadek poszedł na górę. Po wejściu na pierwsze piętro słyszał dwa głosy w gniewnej kontrowersyi — jeden szorstki, drugi ostry — i bardzo dziwny. Mógł odróżnić kilka słów pier-

wszego, w języku francuskim, mógł pochwycić słowa, sacré i diable. Ostry głos należał do cudzoziemca. Nie był pewny czy to był głos mężczyzny czy kobiety, nie mógł nic zrozumieć, ale zdaje mu się, że obcy mówił po hiszpańsku. Stan pokoju i ciał został przez świadka opisany tak, jak podaliśmy wczoraj.

»*Henry Duval*, sąsiad, złotnik, zeznaje, że był jednym z tych, co pierwsi weszli do domu. Potwierdza ogólnie zeznanie Museta. Jak tylko sforsowali wejście, zamknięto znowu drzwi, dla powstrzymania tłumu, który zbierał się bardzo szybko, pomimo późnej godziny. Świadek sądzi, że ostry głos należy do Włocha. Pewny, że nie do Francuza. Nie mógł powiedzieć, że to głos męski — mógł być kobiecym. Nie zna języka włoskiego. Nie mógł rozróżnić słów, ale z intonacyi wnioskował, że to był włoski język. Znał madame L. i jej córkę. Rozmawiał często z obiema. Zapewniał, że ostry głos nie należał do żadnej ze zmarłych.

»— — *Odenheimer, restaurator.* Ten świadek zgłosił się sam. Nie mówi po francusku, wzięto więc tłómacza. Pochodzi z Amsterdamu; przechodził koło domu podczas krzyków, które trwały przez kilka minut — może dziesięć. Były one głośne i przeciągłe — straszne i przygnębiające. Był jednym z tych, co weszli do domu. Potwierdza poprzednie zaznania, z wyjątkiem jednego punktu. Był pewny, że ostry głos należał do mężczyzny

i Francuza Nie mógł odróżnić słów. Były głośne i szybkie — nierówne — wyduszone, zarówno w obawie jak w gniewie. Glos był szorstki — nie tyle ostry, co szorstki. Nie mógł go nazwać ostrym głosem. Gruby głos wołał kilkakrotnie: »*sacré, diable*«, a raz, »*mon Dieu!*«

»*Jules Mignaud,* piekarz, z firmy Mignaud & Fils, Rue Deloraine. — Jest starszym Mignaud. Madame L'Espanaye posiadała jakąś własność. Otworzyła konto w jego banku na wiosnę roku — (ośm lat przedtem). Składała często drobne kwoty. Nie brała nic, aż dopiero na trzy dni przed śmiercią, kiedy wyjęła osobiście 4.000 frcs. Suma ta wypłacona została w złocie i odesłana przez chłopca.

»*Adolphe Lebon,* subjekt u Mignaud & Fils, zeznaje, że w południe towarzyszył madame L'Espanaye do jej domu z 4.000 frc., w dwóch workach. Gdy drzwi się otworzyły, zjawiła się Mademoiselle L. i wzięła od niego jeden z worków, a matka drugi. Ukłonił się i poszedł sobie. Nie widział w tej chwili nikogo na ulicy. Jest to bardzo pusta, boczna uliczka.

»*William Bird,* krawiec, zeznaje, że był jednym z tych, co weszli do domu. Jest Anglikiem. Mieszka w Paryżu dwa lata. Jeden z pierwszych wbiegł na schody. Słyszał kłócące się głosy. Szorstki glos należał do Francuza. Słyszał słowa, ale nie mógł sobie wszystkich przypomnieć. Słyszał wyraźnie »*sacré*« i »*mon Dieu!*« W danej chwili

słychać było tak, jakby walczyło ze sobą kilka osób. Ostry głos był bardzo głośny — głośniejszy od szorstkiego. Jest pewny, że to nie był głos Anglika. Zdaje mu się, że to był Niemiec. Mógł być kobiecym. Nie rozumie po niemiecku. —

Czterej wyżej wymienieni świadkowie powołani powtórnie zeznali, że drzwi pokoju, w którym znaleziono Mademoiselle L. były zamknięte od wewnątrz. Panowała zupełna cisza — nie było słychać żadnych jęków. Po wyłamaniu drzwi nie widziano nikogo. Okna, zarówno od frontowego, jak i od tylnego pokoju, były mocno od wewnątrz zamknięte. Drzwi między dwoma pokojami były zawarte, ale nie zamknięte. Drzwi, prowadzące z frontowego pokoju do korytarza, były zamknięte na klucz od wewnątrz. Mały pokój na froncie domu, na czwartem piętrze, na końcu korytarza, był otwarty na oścież. Pokój był zawalony staremi łóżkami, skrzyniam i t. d. Wyciągnięto je i przeszukano starannie, nie pominięto przy badaniu ani cala w całym domu. Przez kominy przepuszczano miotły. Dom był czteropiętrowy z poddaszem *(mansardes)*. Drzwi na dach prowadzące były zabite ćwiekami — widać od lat nie otwierane. Świadkowie różnie oznaczali czas, który upłynął od słyszenia spierających się głosów do otwarcia drzwi. Jedni oznaczali go na trzy minuty — drudzy na pięć. Drzwi otwarto z trudem.

»*Alfonzio Garcio,* grabarz, zeznaje, że mieszka

na Rue Morgue. Jest rodowitym Hiszpanem. Był jednym z tych, co weszli do domu. Nie wchodził na schody. Jest nerwowy i obawiał się skutków wzburzenia. Słyszał głosy. Szorstki należał do Francuza. Nie mógł rozpoznać słów. Ostry głos należał do Anglika — pewny tego. Nie rozumie po angielsku — ale sądzi z intonacyi.

»*Alberto Montani*, cukiernik, zeznaje, że jeden z pierwszych wszedł na schody. Słyszał głosy — szorstki należał do Francuza. Odróżnił kilka słów. Mowca zdawał się czynić wyrzuty. Nie mógł rozpoznać słów ostrego głosu; mówił szybko i nierówno. Myśli, że to był Rosyanin. Potwierdza ogólne zeznania. Jest Włochem. Nigdy nie mówił z rodowitym Rosyaninem.

»Kilku świadków, powołanych powtórnie, zeznawało, że kominy wszystkich pokoi na czwartem piętrze były za wązkie na to, aby człowiek mógł przejść. Cylindryczne miotły przeprowadzono przez wszystkie kominy w domu. Nie ma wyjścia tylnego, którem możnaby zniknąć niepostrzeżenie. Ciało Mademoiselle L'Espanaye było tak mocno wklinowane w komin, że trzeba było połączonego wysiłku czterech ludzi dla jej wydobycia.

»*Paul Dumas*, lekarz, zeznaje, że wezwano go do obejrzenia ciał o świcie. Oba trupy leżały na sienniku w pokoju, w którym znaleziono Mademoiselle L. Ciało młodej dziewczyny było potłuczone i podrapane. Stan ten wyjaśniał zupełnie

fakt wpakowania jej w komin. Szyja była mocno otarta. Bezpośrednio pod brodą było kilka głębokich zadraśnień, razem z seryą sinych plam, wyraźnie odcisków palców. Twarz była strasznie zabarwiona, oczy wylazły na wierzch. Język był częściowo przegryziony. Na brzuchu znaleziono wielki siniec, wywołany wyraźnie naciskiem kolana. Według P. Dumas, Mademoiselle L'Espanaye została zaduszona na śmierć przez nieznaną osobę, lub osoby. Ciało matki było strasznie pokaleczone. Wszystkie kości prawej nogi i ręki były mniej lub więcej potrzaskane. Lewa *tibia* mocno popękana, zarówno jak wszystkie żebra po lewej stronie. Ciało strasznie posiniaczone. Nie podobna powiedzieć, jak uszkodzenia zostały zadane. Ciężka pałka drewniana — albo szeroki pręt żelazny — krzesło — każda wielka, ciężka i tępa broń, wywołałaby taki skutek w rękach potężnego mężczyzny. Kobieta nie mogła zadać tych ciosów żadną bronią. Głowa zmarłej, kiedy widziana przez świadka, była całkiem oddzielona od ciała i też mocno strzaskana. Szyja widocznie była cięta nadzwyczaj ostrym instrumentem — zapewno brzytwą.

»*Aleksander Etienne,* chirurg, został wezwany razem z Mr. Dumas do obejrzenia ciał. Potwierdził zeznanie i opinię Mr. Dumas.

»Nie uzyskano nic więcej ważnego, chociaż kilka innych osób zbadano. Morderstwo tak taje-

mnicze i tak zagmatwane w szczegółach, nie było nigdy przedtem w Paryżu wykonane — jeżeli to wogóle było morderstwo. Policya jest zupełnie zmylona wobec tak niezwykłego zdarzenia. Nie ma atoli ani cienia wskazówki co do sprawców.«

Wieczorne wydanie dziennika twierdziło, że największe wzburzenie panowało wciąż w Quartier St. Roch — że dom został powtórnie przetrząśnięty, że zbadano świadków powtórnie, bez żadnego wyniku. Dopisek atoli oznajmił, że Adolphe Lebou został zaaresztowany i uwięziony — chociaż nic, oprócz wyżej wymienionych faktów, nie świadczyło przeciw niemu.

Dupin interesował się bardzo przebiegiem sprawy — tak przynajmniej wnioskowałem z jego zachowania się, bo zresztą nic nie mówił. Dopiero po uwięzieniu Mr. Leboux zapytał, co myślę o morderstwach.

Mogłem się jeno zgodzić z całym Paryżem na to, że były nierozwiązaną zagadką. Nie widziałem sposobu wykrycia mordercy.

— Nie należy sądzić o środkach — rzekł Dupin — z tej łupiny badania. Paryska policya tak podnoszona za przenikliwość, jest tylko sprytna, nic więcej. Nie ma w jej postępowaniu metody, poza metodą, dyktowaną przez chwilę. Paradują oni ze swymi przepisami; ale te nierzadko tak są źle zastosowane do celu, że nam to przypomina

Monsieur Jourdain wołającego o swą *robe-de-chambre — pour mieux entendre la musique.* Osiągnięte przez policyę rezultaty są nierzadko zdumiewające, ale osiąga się je po większej części przez pilność i zapobiegliwość. Gdy tych użyć nie można, pomysły im niedopisują. Vidocq, naprzykład był dobrym zgadywaczem i wytrwałym człowiekiem. Ale bez wykształconej myśli popełniał ustawiczne błędy, wskutek natężenia swych inwestygacyi. Popsuł sobie wzrok, przez bliskie trzymanie przedmiotu przed oczami. Może widzieć jeden lub dwa punkty z niezwykłą jasnością, ale czyniąc tak, stracił z oczu całość. Zatem z tego wynika, że można być za. głębokim. Prawda nie zawsze znajduje się w studni. W istocie, o ile chodzi o poważniejszą wiedzę, wierzę, że jest ona nieodmiennie powierzchowną. Głębokość leży w dolinach, gdzie jej szukamy, a nie na szczytach gór, gdzie ją znajdujemy. Typem takiego źródła błędów jest kontemplacya ciał niebieskich. Patrzeć na gwiazdę krótkiemi spojrzeniami — patrzeć na nią skośnie przez zwrócenie w jej stronę zewnętrznych części siatkówki (wrażliwszych na słabe światło od części wewnętrznych), znaczy widzieć gwiazdę wyraźnie — znaczy módz najlepiej ocenić jej połysk, słabnący w miarę, jak zwracamy na nią pełny wzrok.

Rzeczywiście większa część promieni pada na oko w drugim razie, ale w pierwszym gra rolę

delikatniejsza zdolność pereopcyi. Przez zbytnią głębokość mięszamy i osłabiamy myśl; i nawet Venus można zniewolić do zniknięcia z firmamentu przez za długie, za nadtoześrodkowane, i za bezpośrednie badanie.

— Co do tych morderstw, to zbadajmy je wprzód, nim wydamy odnośną opinię. Roztrząsanie dostarczy nam rozrywki — (myślałem sobie, że słowo to było dziwnie zastosowane, ale nic nie rzekłem) — a przytem Lebou oddał mi raz przysługę, za którą jestem mu wdzięczny. Pójdziemy zobaczyć dom na własne oczy. Znam G..... prefekta policyi i nie będę miał trudności w uzyskaniu potrzebnego pozwolenia.

Pozwolenie zostało wydane, to też poszliśmy niezwłocznie na Rue Morgue. Jestto jedna z tych nędznych dróg, biegnących pomiędzy Rue Richelieu a Rue St. Roch. Było to późnym popołudniem, gdyśmy się tam znaleźli, gdyż daleko tam było od naszej dzielnicy. Dom znaleźliśmy z łatwością; wiele ludzi gapiło się ustawicznie na zamknięte okiennice z bezcelową ciekawością. Był to zwyczajny paryski dom, gdzie po jednej stronie bramy znajdowała się oszklona loża z zasuwaną szybą w oknie, przeznaczoną na *loge du concierge.* Przed wejściem podeszliśmy w górę ulicy, dostaliśmy się w dół zaułka, a potem, skręciwszy znowu, podeszliśmy pod tył budynku — tymczasem zaś Dupin egzaminował całą okolicę, zarówno

jak i dom, z drobiazgowością, której celu pojąć nie mogłem.

Powróciwszy tą samą drogą, znaleźliśmy się znowu na froncie domu zadzwoniliśmy i okazawszy upełnomocnienie weszliśmy do środka, potem w górę do pokoju, w którym znaleziono ciało Mademoiselle L'Espanaye i gdzie obie zmarłe ciągle jeszcze się znajdowały. Jak zwykle, nie usunięto jeszcze bezładu w pokoju. Nie widziałem nic ponadto, co podała »Gazette de Tribunaux.« Dupin badał wszystko — nie wyłączając ciał ofiar. Potem udaliśmy się do innych pokoi, i na podwórzec; *gendarme* ustawicznie nam towarzyszył. Badanie trwało aż do zmroku, poczem poszliśmy sobie. Na drodze powrotnej towarzysz mój wstąpił na chwilę do bióra jednego z pism codziennych.

Powiedziałem, że fantazye mego przyjaciela były różnorakie, i że *je les ménageais* — podobało mu się obecnie odmawiać wszelkiej rozmowy na temat morderstwa, aż do południa następnego dnia. Potem spytał mnie nagle, czy zauważyłem co *osobliwego* na miejscu wypadku.

Było coś takiego w podkreśleniu słowa »osobliwego«, że mimowoli zadrżałem.

— Nie, nic *osobliwego* — odparłem — nic więcej ponad to, cośmy obaj czytali w pismach.

— Ta »Gazette« — odparł — nie zagłębia się, mojem zdaniem, w niezwyczajność zdarzenia.

Ale daj pan pokój niedołężnej opinii drukowanej bibuły. Mnie się wydaje, że tajemnica uważa się za nierozwiązaną dla tego samego właśnie, dla czego należałoby ją uważać za łatwo rozwiązalną — mianowicie z powodu jej charakteru tak na wskroś *outré*. Policyę zmięszał pozorny brak motywu — nie dla popełnionego morderstwa, ale dla jego okrucieństwa. Mięszają też pozorne niepodobieństwo pochodzenia głosów z tym faktem, że nikogo w pokoju nie znaleziono, oprócz zamordowanej Mademoiselle L'Espanaye i że nie było środka wyjścia bez utknięcia na wchodzących. Wielki bezład w pokoju; trup wetknięty do komina głową na dół; straszne pokaleczenie ciała matki; te konsyderacye z innemi, wyżej wspomnianemi i innemi, których wspominać nie potrzebuję, wystarczyły do sparaliżowania i zmieszania sławnej przenikliwości agentów rządowych. Popełnili oni ogromny, ale zwyczajny błąd pomięszania rzeczy niezwykłej z niepojętą. Ale rozum, jedynie przez zboczenie od płaszczyzny rzeczy zwykłych, szuka drogi do poznania prawdy. W badaniach takich, jak obecne, nie tyle powinniśmy pytać co się stało, ile raczej, co się takiego stało, co się nie stało nigdy przedtem! W istocie, łatwość, z jaką osiągnąłem lub osiągnę rozwiązanie tej zagadki, pozostaje w prostym stosunku do jej nierozwiązalności w oczach policyi.

Patrzyłem na mówiącego w niemem zdumieniu.

— Teraz oczekuję — ciągnął dalej, patrząc na drzwi naszego apartamentu, — teraz oczekuję osoby, która chociaż nie jest sprawcą tej rzezi, to jednak musiała być wplątana w jej wykonanie. Prawdopodobnie ten człowiek całkiem nie jest winien najgorszych popełnionych zbrodni. Ufam, że to słuszne przypuszczenie; na niem bowiem buduję rozwiązanie całej zagadki. Czekam na niego tutaj — w tym pokoju — każdej chwili. Prawda, że może nie przyjść, ale wielkie jest prawdopodobieństwo, że przyjdzie. Gdyby przyszedł, musimy go zatrzymać. Oto pistolety; obaj wiemy jak ich używać w razie potrzeby.

Wziąłem pistolety, zaledwie wiedząc co czynię, lub wierząc w to, co słyszę, podczas gdy Dupin ciągnął dalej, jakby sam do siebie. Mówiłem już o jego dziwnem zachowaniu się w takich razach. Dyskurs jego był skierowany do mnie; ale głos jego, chociaż wcale nie głośny, posiadał intonacyę, zwykle używaną przy mówieniu do kogoś z odległości. Oczy o błędnym wyrazie, wlepione były w ścianę.

— Że głosy, spierające się ze sobą — rzekł — które słyszeli ludzie na schodach, nie były głosami samychże kobiet, jest rzeczą dowiedzioną. To uwalnia nas od wszelkich wątpliwości, co do pytania, czy matka mogła naprzód zabić córkę, a potem popełnić samobójstwo. Wspominam o tem tylko dla zaznaczenia metody, gdyż siła Madame

L'Espanaye byłaby całkiem niewystarczającą do wciśnięcia trupa córki tam, gdzie go znaleziono. Przytem charakter jej własnych ran wyklucza ideę samobójstwa. Morderstwo więc zostało popełnione przez kogoś trzeciego — którego głos słyszany był w owym sporze. Niech mi wolno będzie teraz powrócić — nie do całości zeznań, odnośnie do tych głosów — lecz do tego, co jest w zeznaniu szczególnego. Czyś pan zauważył w nim co osobliwego?

— Zauważyłem, że gdy wszyscy świadkowie zgadzali się, iż szorstki głos należał do Francuza, zupełna panowała niezgoda na punkcie ostrego głosu.

— To było samo zeznanie — rzekl Dupin — ale to nie była osobliwość zeznania. Nie zauważyłeś nic uderzającego. A jednak tam *było* coś do zaobserwowania. Świadkowie, jak pan mówisz, zgodzili się na punkcie szorstkiego głosu; tu byli jednomyślni. Ale co się tycze ostrego głosu, osobliwość leży nie w tem — że się nie zgadzają — ale, że gdy Włoch, Anglik, Hiszpan, Irlandczyk i Francuz starali się go opisać, każdy mówił o nim, *jak o głosie cudzoziemca.* Każdy jest pewny, że to nie był jego rodzinny język. Każdy przyrównywa go — nie do głosu osobnika jakiegokolwiek narodu, którego język zna — lecz wprost przeciwnie. Francuz przypuszcza, że to głos Hiszpana, i że »mógłby był rozróżnić niektóre słowa, gdyby

znał hisszpański język.« Holender utrzymuje, że to głos Francuza, ale czytamy, że *»nie znając francuskiego języka, składał zeznanie przez tłómacza.«* Anglik myśli, że to głos Niemca, ale *»nie rozumie po niemiecku.«* Hiszpan »jest pewny«, że to był głos Anglika, ale sądzi wyłącznie »z intonacyi, *gdyż nie posiada znajomości angielszczyzny«*. Włoch myśli, że to głos Rosyanina, ale *»nigdy nie rozmawiał z rodowitym Rosyaninem«*. Drugi Francuz rózni się, co więcej, od pierwszego i jest pewny, że to był głos Włocha, *ale nie znając języka,* opiera się na »intonacyi«. Jak więc dziwnie niezwykłym musiał być ten głos, jeśli takie zeznania o nim mogly być otrzymane! — w którego *tonach* członkowie pięciu wielkich narodów europejskich nie mogli rozpoznać nic sobie znanego! Powiesz pan, że to mógł być głos Azyaty lub Afrykańczyka. Ani Azyatów, ani Afrykańczyków nie ma w Paryżu wielu; ale nie zaprzeczając wniosku, zwrócę pańską uwagę na trzy punkty jedynie. Jeden świadek mówi, że głos był »raczej szorstki, niż ostry«. Dwaj inni powiadają, że był »szybki, *urywany«*. Żaden świadek nie przytoczył słów, lub dźwięków do słów podobnych.

— Nie wiem — ciągnął Dupin — jakie mogłem do tej pory uczynić wrażenie na pańskie rozumienie, ale nie waham się powiedzieć, że uzasadnione dedukcye, nawet z tej części zeznań —

odnoszących się do głosu szorstkiego lub ostrego — wystarczają same w sobie do wzbudzenia podejrzenia, które powinno wskazać drogę do dalszego badania tajemnicy. Powiedziałem, uzasadnione dedukcye, ale to nie wyraża jeszcze zupełnie mojej myśli. Chciałem powiedzieć, że dedukcye te są *jedynie* właściwe, i że podejrzenie wynika z nich jako jedyny *nieunikniony* rezultat. Ale w tej chwili nie powiem jeszcze, jakie jest moje podejrzenie. Pragnę jeno, abyś pan pamiętał, że u mnie wystarczyly one do nadania definitywnej formy — pewnej tendencyi — w moich poszukiwaniach w pokoju.

»Przenieśmy się teraz myślą do tegoż pokoju. Czegóż będziemy tu szukać w pierwszym rzędzie? Oczywiście sposobu ucieczki, użytej przez morderców. Nie zawiele będzie zacząć od zaznaczenia faktu, że żaden z nas nie wierzy w nadprzyrodzone zdarzenia. Madame i Mademoiselle L'Espanaye nie zostały zamordowane przez duchy. Sprawcy byli materyalni i materyalnie umknęli — ale jak? Na szczęście, istnieje tylko jeden sposób rezonowania o rzeczy. Ten *musi* nas doprowadzić do ostatecznej decyzyi. Zbadamy po kolei wszystkie możliwe sposoby ucieczki. Jest rzeczą jasną, że mordercy byli w pokoju, w którym znaleziono ciało Mademoiselle L'Espanaye, albo conajmniej w sąsiednim pokoju, w chwili, gdy ludzie szli po schodach. Zatem musimy szukać wyjścia iedynie

z tych dwóch apartamentów. Policya zerwała podłogi, sufity i ściany we wszystkich kierunkach. Żadne *tajemne* wyjście nie mogło ujść ich czujności... Ale nie wierząc ich oczom, zbadałem własnemi. Zatem istotnie tam *nie było* sekretnych wyjść. Oboje drzwi, prowadzących z pokoju na korytarz, były starannie zamknięte od wnętrza. Chodźmy do kominów. Te, chociaż posiadające zwykłą szerokość ośmiu do dziesięciu stóp ponad ogniskiem nie pomieszczą dalej ciała wielkości kota. Gdy więc ucieczka przez kominy jest absolutnie wykluczoną, jesteśmy ograniczeni do okien. Przez frontowe nie mógł nikt uciec, nie widziany przez tłum na ulicy. Mordercy *musieli* więc ujść przez tylne. Doszedłszy do tego wniosku w sposób tak niedwuznaczy, nie możemy jako rozumujący odrzucać go z powodu pozornego nieprawdopodobieństwa. Pozostaje nam jeno wykazać, że te nieprawdopodobieństwa w istocie niemi nie są.

»W pokoju istnieją dwa okna. Jedno z nich niezasłonięte przez meble jest zupełnie widzialne. Niższa część drugiego jest zakryta przez głowę ciężkiego łóżka, opartego o nie bezpośrednio. Pierwsze znaleziono mocno zamknięte od wnętrza. Oparło się ono najwyższym wysiłkom tych, którzy je chcieli podnieść. Wielka dziura została wywiercona po lewej stronie ramy, a tkwił w niej niemal po głowę gruby ćwiek. Po zbadaniu drugiego okna znaleziono taki sam gwóźdź, tak samo

wsadzony; usiłowanie poruszenia tej ramy, też do niczego nie doprowadziło. Policya więc przyszła całkowicie do przekonania, że wyjście nie nastąpiło tędy. I *dlatego* uważano za rzecz zbyteczną wyciągnięcie ćwieków i otworzenie okien.

»Moje własne badanie było więcej szczegółowe i to z powodu tylko co podanego — ponieważ wiedziałem, że tu właśnie musiała być udowodnioną możliwość.

»Zacząłem rozumować — *a posteriori*. Mordercy *uszli* przez jedno z tych okien. Skoro tak, przeto nie mogli zamknąć ich z wewnątrz tak, jak je znaleziono, co przez swą oczywistość, wstrzymało w tym punkcie badanie policyi. A jednak ramy były zamknięte. *Muszą* więc posiadać moc zamykania się same. Nie można było ominąć tego wniosku. Przystąpiłem do wolnego okna, wyciągnąłem ćwiek z pewną trudnością i usiłowałem otworzyć. Ale to, jak przewidywałem, nie udało mi się. Teraz wiedziałem, że musi być ukryta sprężyna; to współdziałanie mojego pomysłu przekonało mnie, że moje premisy były poprawne, jakkolwiek szczegóły, odnoszące się do gwoździ, były tajemnicą okryte. Staranne poszukiwanie odkryło niebawem przedemną sprężynę. Pocisnąłem ją i zadowolony odkryciem, zaniechałem otworzyć okno.

»Włożyłem z powrotem gwóźdź i przyglądałem mu się uważnie. Osoba wychodząca przez okno,

mogła je za sobą zamknąć i sprężyna byłaby chwyciła; ale ćwiek nie mógł być z powrotem wsadzony. Wniosek był jasny, wskutek czego znowu zmniejszyłem pole mych poszukiwań. Zbrodniarze musieli ujść przez drugie okno. Przypuściwszy, że sprężyny w obydwóch oknach były te same, co było rzeczą prawdopodobną, to *musi* być znaleziona różnica między gwoździmi, albo conajmniej w sposobie ich umieszczenia. Stanąwszy na siennik łóżka, patrzyłem poza głowę na ramę okna. Wsunąwszy rękę za deskę, łatwo znalazłem i pocisnąłem sprężynę, identyczną do pierwszej. Teraz spojrzałem na ćwiek. Był tak duży, jak pierwszy i pozornie tkwił w taki sam sposób, wbity prawie po głowę.

»Pomyślisz pan może, iż byłem zakłopotany; ale jeżeli pan tak myślisz, toś pan nie pojął kierunku indukcyi. Mówiąc po myśliwsku, nie straciłem tropu ani na chwilę. Żadne z ogniw łańcucha nie było pęknięte. Zbadałem sekret do ostatniego wyniku; a tym rezultatem był *ćwiek*. Miał on, jak powiadam, pod każdym względem wejrzenie swego towarzysza w drugim oknie; ale fakt ten był niczem w porównaniu z konsyderacyą, że tu kończył się klucz do rozwiązania zagadki. Musi coś być w tym ćwieku — pomyślałem sobie. Dotknąłem go i głowa z ćwiercią cala nasady została mi w palcach.

»Reszta ćwieka tkwiła w dziurze, w której

się załamał. Złamanie było stare (gdyż brzegi były rdzą zjedzone) i zostało zdaje się spowodowane uderzeniem młotka, który wbił częściowo w ramę główkę ćwieka. Wsadziłem z powrotem główkę w miejsce, z którego ją wyjąłem, a podobieństwo do normalnego ćwieka było zupełne. Zasunąwszy sprężynę, podniosłem ramę delikatnie na kilka cali; głowa podniosła się razem z nią, tkwiąc w niej silnie. Zamknąłem okno, a podobieństwo do całego ćwieka było znowu kompletne.

»Tak dalece zagadka została rozwiązana. Zbrodniarz uciekł przez okno poza łóżkiem. Zamykając się samo (lub rozmyślnie zamknięte) zaskoczyło za sprężynę.

»Następne pytanie odnosi się do sposobu zejścia. Na tym punkcie przyszedłem do wniosku podczas spaceru na tyły domu razem z panem. Około pięć i pół stóp od okna przebiega gromochron. Niepodobna z tego gromochronu dosięgnąć samego okna, a tembardziej wejść w nie. Zauważyłem atoli, że story czwartego piętra były osobliwego gatunku, zwane przez paryskich stolarzy *ferrades* — rodzaj rzadko już dzisiaj używany, ale często spotykany na starych domach w Lyons i Bordeaux. Są one w kształcie zwyczajnych drzwi (pojedynczych, nie o dwóch częściach), z wyjątkiem, że dolna część jest zrobiona z kraty, wskutek czego daje się wybornie ująć w rękę. W danym wypadku, story są trzy i pół stopy szerokie.

Gdyśmy je widzieli od tyłu domu, obie były na wpół otwarte — to znaczy stały pod prostym kątem do ściany. Jest rzeczą prawdopodobną, że policya badała tył domu, tak samo jak ja; jeżeli tak, to rozważając te *ferrades* pod względem ich szerokości (co musieli uczynić) nie zauważyli tejże szerokości, albo w każdym razie nie wzięli jej należycie w rachubę. W istocie, przekonawszy się raz, że niemożliwe było wyjście tą drogą, odbyli w tym kierunku bardzo słabe badanie. Dla mnie atoli było rzeczą jasną, że okiennica, należąca do okna koło łóżka, sięgnęłaby po kompletnem otwarciu aż do gromochronu na odległość dwóch stóp. Było również widocznem, że przy niezwykłej zwinności i odwadze, dałoby się wejść przez okno przy pomocy gromochronu. Dostawszy się na odległość dwóch i pół stóp (przypuszczamy obecnie, że okiennica jest całkowicie otwarta), złodziej mógłby chwycić za część kratowaną. Potem puściwszy gromochron i sparłszy nogę o mur, mógłby skoczywszy, odepchnąć okiennicę aż do jej zamknięcia, a w ten sposób wpaść nawet do pokoju przez otwarte chwilowo okno.

»Zwracam uwagę pańską na to, że mówiłem o *bardzo* niezwyczajnej zwinności, potrzebnej do wykonania tak trudnej i hazardownej sztuczki. Zamiarem moim jest pokazać panu, że, popierwsze rzeczy można było dokonać; po drugie i *to zwłaszcza*, pragnę zwrócić pańską szczególniejszą uwagę na

tę *bardzo niezwyczajną*, prawie że nadnaturalną zwinność, potrzebną do powodzenia w tym razie.

»Powiesz pan niewątpliwie, że powinienbym raczej niedoceniać wymaganej zwinności, niżeli kłaść na nią tak silny nacisk. Taką może być praktyka prawa, ale nie prawa rozumu. Ostatecznym moim celem jest jedynie prawda. Bezpośrednio zaś pragnę skłonić pana do zestawienia tej *bardzo niezwyczajnej* zwinności, o której właśnie mówiłem, z tym *bardzo osobliwym* ostrym i *nierównym* głosem, co do którego narodowości nie mogli się zgodzić nawet dwaj świadkowie i w którym nie można było pochwycić żadnych sylab.«

W tej chwili niejasne i nawpół sformułowane pojęcie znaczenia słów Dupina przebiegło przez mój umysł. Zdawało mi się, że już rozumiem, bez możności atoli ostatecznego zrozumienia, podobnie jak ludzie, którzy są bliscy przypomnienia sobie czegoś, bez możności ostatecznego uczynienia tego. Tymczasem przyjaciel ciągnął dalej.

— Widzisz pan — mówił — że kwestyę wyjścia zamieniłem na kwestyę wejścia. Zamiarem moim było podkreślić myśl, że oba zostały wykonane w ten sam sposób, na tem samem miejscu. A teraz powróćmy do wnętrza pokoju. Zbadajmy tutaj różne okoliczności. Szuflady biórka zostały złupione, chociaż wiele przedmiotów pozostało

w nich jeszcze. Tu wnioskowanie jest bezzasadne. Jest to jedynie domysł — i to bardzo głupi — nic więcej. Skądże wiemy, że znalezione przedmioty nie stanowią całej zawartości szuflad? Madame L'Espanaye i jej córka żyły bardzo skromnie, nie znały towarzystwa — rzadko wychodziły — nie potrzebowały wielu sukien. Znalezione, były właśnie takie, jakich nie mogły potrzebować. Jeżeli złodziej skradł jakie, dlaczego nie wziął wszystkich? Słowem, dlaczego porzucił cztery tysiące franków w złocie, dla zabrania węzełka bielizny? Bo złoto *zostało.* W workach na podłodze znaleziono prawie całą kwotę, wymienioną przez Monsieur Mignaud. Pozbądź się więc pan tej mylnej idei o *motywie,* powstałej w mózgach policyantów pod wpływem zeznania, które mówi o dostarczeniu pieniędzy u drzwi domu. Zbiegi okoliczności dziesięć razy tak uderzające, przytrafiają się co godzina, bez zwrócenia chwilowej nawet uwagi. Wogóle zbiegi okoliczności są przeszkodami na drodze tych myślicieli, którzy nic nie wiedzą o teoryi prawdopodobieństw — teoryi, której najwspanialsze sfery ludzkiego badania zawdzięczają najwspanialsze ilustracye. W obecnym wypadku, gdyby złoto było zniknęło, fakt jego dostarczenia na trzy dni przedtem byłby czemś więcej, niż zbiegiem okoliczności. Zniknięcie złota byłoby poparło ideę motywu. Ale wśród prawdziwych okoliczności zdarzenia, gdybyśmy wzięli złoto za motyw

zbrodni, musielibyśmy uważać też jej sprawcę za tak chwiejnego idyotę, iż porzucił motyw postępku razem ze złotem.

»Mając zatem stale w umyśle punkty, na które zwróciłem pańską uwagę — mianowicie szczególny głos, niezwykłą zwinność, i tak zdumiewający brak pobudki w morderstwie, tak bezprzykładnie okrutnem — rzućmy okiem na zbrodnię samą. Oto kobieta uduszona na śmierć siłą rąk i wpakowana w komin głową na dół. Zwyczajni zbrodniarze nie używają takich sposobów mordowania. Przedewszystkiem, nie w taki sposób ukrywają ciała swych ofiar. Przyznasz pan, że w sposobie wepchnięcia trupa w komin, było coś *niesłychanie outré* — coś nie dającego się pogodzić z naszemi pojęciami o ludzkich czynach, gdybyśmy nawet przyjęli najbardziej zdeprawowanych ludzi. Pomyśl pan przytem, jak wielka musiała być siła, która wepchnęła ciało w wąski otwór tak, że trzeba było połączonych usiłowań kilku ludzi do wydobycia trupa *z powrotem!*

»Zwróćmy się obecnie do innych dowodów użycia wprost zdumiewającej siły. Na ognisku były warkocze — bardzo grube warkocze — siwych włosów ludzkich, wyrwanych z korzeniami. Wiesz pan przecie, jak wielkiej trzeba siły do wyrwania w ten sposób bodaj dwudziestu lub trzydziestu włosów — widziałeś pan warkocze tak dobrze, jak ja. Korzenie ich (wstrętny to widok) były

zlepione cząstkami ciała skalpu — niezawodny objaw zdumiewającej siły, jaka była potrzebna do wyrwania z korzeniem przynajmniej pół miliona włosów równocześnie. Szyja matki nie tylko była podcięta, ale głowa została formalnie odłączona od ciała — a instrumentem była tylko brzytwa. Rozważ pan *brutalną* dzikość tych czynów. Nie mówię o uszkodzeniach na ciele Madame L'Espanaye. Monsieur Dumas i jego szanowny koadjutor Monsieur Etienne oświadczyli, że uszkodzenia zostały zadane tępem narzędziem; zdanie to jest zupełnie słuszne. Tem tępem narzędziem był wyraźnie bruk, na który spadła ofiara z okna przy łóżku. Idea ta jednak, jakkolwiek może się wydawać bardzo prostą, uszła uwagi policyi z tej samej przyczyny, dla której uszła ich uwagi szerokość okiennicy — z powodu gwoździ, percepcya ich została hermetycznie zamknięta przeciwko możliwości otwierania okien wogóle.

»Jeżeli teraz w dodatku do tego wszystkiego rozważyłeś pan dokładnie dziwny bezład w pokoju, doszliśmy do połączenia zdumiewającej zwinności, nadludzkiej siły, brutalnej dzikości, morderstwa bez pobudki, straszliwej *grotesquerie* absolutnie obcej człowieczeństwu i głosu obcego ludzi różnych a wielu narodowości, pozbawionego wyraźnych lub zrozumiałych sylab. Jakiż więc z tego wynik? Jakież uczyniłem wrażenie na pańskiej wyobraźni?

Poczułem mrowie na całem ciele, gdy Dupin postawił to pytanie. — Szaleniec — rzekłem, dopuścił się tego czynu — jakiś obłąkaniec, który zbiegł z sąsiedniego *Maison de Santé.*

— Do pewnego stopnia — odparł — idea pańska jest uzasadniona; ale głosy obłąkanych, nawet w ich najdzikszych paroksyzmach nigdy się nie zgadzają z tym dziwnym głosem, słyszanym na schodach. Szaleńcy należą do jakiegoś narodu, a język ich jakkolwiek niepowiązany w słowach, posiada zawsze wyraźne sylaby. Zresztą włosy obłąkanego nie są podobne do tych, jakie trzymam w ręce. Kosmyk ten wydobyłem z pomiędzy mocno zaciśniętych palców Madame L'Espanaye. Powiedz mi pan, co myślisz o tem?

— Dupin! — rzekłem, całkiem zdenerwowany — włosy te są bardzo niezwyczajne — to nie są *ludzkie* włosy.

— Nie twierdziłem, że są — odparł — ale nim rozstrzygniemy ten punkt, spojrzyj pan na szkic, narysowany na tym papierze. Jestto *facsimile* tego, co zostało opisane przez jednego ze świadków jako, ciemne znaki, i głębokie ślady paznokci, na szyi Mademoiselle L'Espanaye, albo jako szereg sinych plam, wyraźnie odcisków palców.

— Pojmujesz pan — ciągnął mój przyjaciel, rozkładając papier na stole — że rysunek ten daje pojęcie o silnym i stanowczym chwycie. Nic nie zdradza *ośliźnięcia* się. Każdy palec zatrzymał — za-

pewne aż do śmierci ofiary — miejsce, na które padł od początku. Spróbuj pan teraz umieścić równocześnie wszystkie palce w odpowiednich odciskach.

Uczyniłem wysiłek napróżno.

— Zdaje mi się — powiedział — że nie traktujemy rzeczy we właściwy sposób. — Papier jest rozłożony na płaszczyźnie, a szyja ludzka ma przecie kształt walca. Oto polano drzewa, mniej więcej objętości szyi. Owiń rysunek naokoło niego i spróbuj znowu.

Uczyniłem tak; ale trudność była znaczniejsza niż poprzednio. — To — powiedziałem — nie jest ślad ludzkiej ręki.

— A teraz — rzekł Dupin — czytaj ten ustęp z Cuviera.

Był to drobiazgowy anatomiczny i ogólny opis wielkiego rdzawego Orang-Utanga z wysp Wschodnio-Indyjskich. Olbrzymia postawa, zdumiewająca siła i zwinność, nadzwyczajna dzikość i skłonność do małpowania są u tych ssaków dostatecznie znane. W jednej chwili zrozumiałem całą grozę morderstwa.

— Opis palców — rzekłem, skończywszy czytanie — zgadza się ściśle z rysunkiem. Rozumiem teraz, że żadne inne zwierzę, z wyjątkiem Orang-Utanga, gatunku tu wymienionego, nie mogło uczynić tych zagłębień. Ten zaś kosmyk rudawych włosów, jest identyczny z włosami zwierza, opi-

sanego przez Cuviera. Ale mimo to nie mogę pojąć szczegółów tej strasznej tajemnicy. Zresztą wszakże słyszano *dwa* spierające się ze sobą głosy, a jeden z nich należał niewątpliwie do Francuza.

— Prawda, pamiętasz pan, że wszyscy świadkowie przypisali temu głosowi niemal jednozgodnie wyrażenie »*Mon Dieu!*, które jeden ze świadków (Montani, cukiernik) określił jako wyraz wyrzutów. Na tych oto dwóch słowach pokładam głównie moje nadzieje zupełnego rozwiązania zagadki. Francuz jakiś był świadom morderstwa. Jest możliwe — jest nawet więcej niż prawdopodobne — że nie był on wcale winien udziału w krwawem zajściu. Orang-Utang mógł uciec od niego. Mógł iść za nim aż do pokoju; ale wobec różnych okoliczności nie był w stanie pochwycić go; jest więc jeszcze na wolności. Nie będę snuł dalej tych domysłów — bo nie ma prawa nazwać ich czemś więcej — cienie refleksyi, na których się opierają, są zaledwie dość głębokie, abym ja sam je mógł pojąć, to też nie mogłem uczynić ich zrozumiałymi dla kogo innego. Nazwiemy je więc domysłami, i będziemy je jako takie traktować. Jeżeli Francuz jest, jak sądzę, całkiem niewinny w tej sprawie, to anons, który wczoraj wieczorem zostawiłem w biurze pisma »Le Monde« (czytanego przez marynarzy), sprowadzi go do naszego mieszkania.

Podał mi gazetę, z której odczytałem co następuje:

»Schwycony. — W Bois de Boulogne, wczesnym rankiem dnia — bież. mies. (ranek, w którym zostało popełnione morderstwo), *schwytano bardzo wielkiego, rudawego Orang-Utanga z Borneo. Właściciel (który jest żeglarzem z maltańskiego okrętu) może odebrać zwierzę po udowodnieniu praw własności i po zapłaceniu małej kwoty pieniężnej za schwycenie i przechowanie. Zgłosić się pod nr. — Rue, — Faubourg St. Germain — au troisième«.*

— Jakimże sposobem — spytałem — wiesz pan, że to jest żeglarz z maltańskiego okrętu?

— Ja tego *nie wiem,* odparł Dupin. — Nie jestem tego wcale *pewny.* Tu atoli mam kawałek wstążki, która wnioskując z kształtu i zatłuszczenia, musiała być używana do wiązania włosów w długie *queues,* tak przez marynarzy ulubione. Zresztą to węzeł, który mało ludzi oprócz marynarzy umie wiązać, i odznacza Maltańczyków. Znalazłem wstążkę u stóp gromochronu. Jeżeli zaś mylę się w mojej indukcyi na podstawie wstążki, że marynarz pochodzi z okrętu maltańskiego, to jednak nie popełniłem nic złego przez swoje ogłoszenie. Jeżeli jestem w błędzie, pomyśli sobie, że w błąd wprowadziła mnie jakaś drobna okoliczność, nad którą on się nie będzie zastanawiał. Ale jeżeli mam racyę, zyskam na tem wiele. Świadomy, jakkolwiek niewinny morderstwa Francuz będzie się oczywiście wahał z odpowiedzią na anons — to znaczy z odebraniem Orang-Utanga. Będzie on rozumował tak: —

Jestem niewinny: jestem biedny, mój Orang-Utang posiada znaczną wartość — dla człowieka w mojem położeniu jest wprost majątkiem — dlaczegóż więc miałbym go utracić przez próżne obawy niebezpieczeństwa? Oto jest w moich rękach. Znaleziono go w Bois de Boulogne — daleko od widowni mordu. Któżby podejrzywał, że brutalne zwierzę mogło dopuścić się tego czynu? Policya zmylona — nie udało się jej zyskać najsłabszych danych. Gdyby nawet odkryli zwierzę, nie mogliby mi dowieść, że wiem o morderstwie, a tembardziej rozciągnąć na mnie część winy. Nadewszystko zaś, *już jestem znany.* Ogłaszający wskazuje na mnie jako na właściciela zwierzęcia, nie wiem, jak daleko rozciąga się jego wiadomość. Gdybym unikał upominania się o własność tak wielkiej wartości, której jestem wiadomym posiadaczem, to zwierzę popadłoby wtedy co najmniej w podejrzenie. Nie jest mojem zadaniem ściągać uwagę na siebie lub na bydle. Odpowiem na ogłoszenie, odbiorę Orang-Utanga, i będę go trzymał pod kluczem, aż cała sprawa pójdzie w zapomnienie.

W tejże chwili usłyszeliśmy kroki na schodach.

— Bądź pan gotów — rzekl Dupin — z pistoletami, ale nie używaj ich pan, a nawet nie pokazuj bez sygnału z mojej strony.

Frontowe drzwi domu zostaly zostawione otworem, to też gość wszedł bez dzwonienia, i postąpił kilka kroków po schodach. Nagle zdawał się

wahać. Wtem usłyszeliśmy, że schodzi. Dupin podszedł szybko ku drzwiom, gdyśmy posłyszeli, że znowu wchodzi na górę. Nie cofnął się po raz drugi, lecz postąpił zdecydowany, zapukał w drzwi naszego pokoju.

— Proszę — rzekł Dupin wesołym i serdecznym tonem.

Wszedł mężczyzna, wyraźnie marynarz, człowiek wysoki, silnie zbudowany, muskularny, z zuchowatym wyrazem twarzy, wcale miłym. Twarz mocno słońcem spalona więcej niż na poły kryła się w brodzie i wąsiskach. Miał w ręce olbrzymią pałkę dębową, zresztą był bodaj nieuzbrojony. Ukłonił się niezgrabnie, i powiedział »dobry wieczór« francuszczyzną, która, chociaż trąciła Neufchatelem, przecież wskazywała na paryskie pochodzenie.

— Siadaj, mój przyjacielu — rzekł Dupin. — Przyszedłeś pan zapewne w sprawie Orang-Utanga. Doprawdy zazdroszczę go panu; bardzo ładne, i bez wątpienia cenne zwierzę. W jakim może być wieku?

Marynarz westchnął głęboko, z wyrazem człowieka, który się pozbył nieznośnego ciężaru, a potem odparł swobodnym tonem:

— Nie umiem powiedzieć — ale nie może mieć więcej niż cztery do pięciu lat. Czy masz go pan tutaj?

— Oh, nie; nie mamy tutaj klatki. Znajduje się niedaleko na Rue Dubourg. Możesz go pan ode-

brać rano. Oczywiście jesteś pan przygotowany uznać własność za swoją?

— Zapewne, że tak, panie.

— Przykro mi będzie rozstać się z nim — rzekł Dupin.

— Trud pański nie będzie całkiem za darmo — rzekł marynarz. — Nie mogłem się tego spodziewać. Jestem skłonny zapłacić nagrodę za schwytanie zwierzęcia — jeżeli wymaganie nie będzie wygórowane.

— Ba — odparł mój przyjaciel — to wszystko jest w porządku, niewątpliwie. Cóżbym chciał otrzymać w zamian? oh! powiem panu. Nagroda moja będzie taka. Dasz mi pan wszelkie możliwe informacye, odnoszące się do morderstw na Rue Morgue.

Dupin rzekł ostatnie słowa niskim tonem i bardzo spokojnie. Równie spokojnie podszedł ku drzwiom, zamknął je, i włożył klucz do kieszeni. Potem wyciągnął pistolet z zanadrza i położył go z całą flegmą na stole.

Twarz żeglarza poczerwieniała, jak gdyby walczył z dusznością. Zerwał się na nogi i porwał za pałkę; ale wnet potem opadł na krzesło, drżąc gwałtownie i śmiertelnie blady. Nie mówił ani słowa. Współczułem z nim z głębi serca.

— Mój przyjacielu — rzekł Dupin uprzejmym tonem — niepokoisz się całkiem niepotrzebnie. Nie chcemy panu uczynić nic złego, zaręczam słowem uczciwego człowieka i Francuza, że nie zamie-

rzamy cię skrzywdzić. Wiem bardzo dobrze, iż pan nie jesteś winien zajścia na Rue Morgue. Ale nie przyda się na nic zaprzeczać, żeś pan w jakiś sposób wplątany w nie. Z tego, co już powiedziałem, musisz pan wnioskować, że miałem już sposób zasiągnięcia informacyi — sposób, o którym nigdyby się panu nawet nie śniło. Rzecz się ma tak. Nie uczyniłeś pan nic takiego, czego mógłbyś uniknąć — nic takiego, coby pana czyniło winnym. Nie dopuściłeś się pan nawet rabunku, mogąc się go dopuścić bezkarnie. Nie potrzebujesz pan niczego ukrywać. Nie masz pan racyi do ukrywania. Przeciwnie, jesteś pan zniewolony do wyznania wszystkiego według wszelkich zasad honoru. Niewinny człowiek został uwięziony, i obwiniony o morderstwo, którego sprawcę pan możesz nam wskazać.

Żeglarz odzyskał przytomność umysłu w znacznym stopniu podczas przemówienia Dupina; ale pierwotne zuchowate zachowanie się zniknęło.

— Tak mi Boże dopomóż — rzekł po krótkiej pauzie, opowiem panom wszystko, co wiem o tej aferze; — ale nie spodziewam się, abyście panowie uwierzyli połowie tego co powiem — na to trzebaby chyba głupich. Jestem niewinny i powiem wszystko, choćbym miał za to umrzeć.

»Zeznanie jego było takie. W ostatnich czasach odbył podróż do Indyjskiego Archipelagu. Garstka ludzi, do której i on należał, wylądowała na Borneo,

i zapuściła się w głąb wyspy dla odbycia przyjemnego spaceru. On sam wraz z towarzyszem pojmali Orang-Utanga. Ponieważ towarzysz ów umarł, przeto zwierzę stało się jego wyłączną własnością. Po wielu trudach, wynikłych z zachowania się jeńca na powrotnej drodze udało mu się wreszcie umieścić go bezpiecznie we własnem mieszkaniu w Paryżu, gdzie, aby nie ściągać niemiłej ciekawości sąsiadów, trzymał go odosobnionym aż do czasu, w którymby wyzdrowiał z rany w nogę, otrzymanej na okręcie. Ostatecznie zamierzał go sprzedać.

»Wróciwszy pewnej nocy po żeglarskiej pohulance, zastał zwierzę w własnej sypialni, do której włamał się z sąsiedniej komórki, gdzie, jak właściciel myślał, Orang-Utang był bezpiecznie schowany. Małpa z brzytwą w ręce porządnie namydlona siedziała przed lustrem, usilując golić się na wzór swego pana, którego musiała obserwować przez dziurkę od klucza. Przerażony na widok tak niebezpiecznej broni w posiadaniu zwierzęcia tak dzikiego i tak uzdolnionego do użycia jej, żeglarz nie wiedział przez kilka chwil co czynić. Zwykł był atoli uspokajać stworzenie nawet w jego najdzikszych napadach za pomocą pejcza, i teraz też do niego się uciekł. Na ten widok Orang-Utang wyskoczył natychmiast przez drzwi pokoju na schody, a stąd przez okno nieszczęściem otwarte, na ulicę.

»Francuz szedł za zwierzem w rozpaczy: małpa ustawicznie z brzytwą w ręce, zatrzymywała się chwilowo, aby się obejrzeć poza siebie i gestykulować ku swemu prześladowcy, aż póki prawie nie podszedł do niej. Wtedy znowu zmykała. W ten sposób gonitwa trwała długi czas.

»Ulice były całkiem spokojne, gdyż to była dopiero trzecia rano. Przechodząc przez uliczkę z tyłu poza Rue Morgue zbieg zauważył światło, wychodzące z otwartego okna pokoju Madame L'Espanaye, na czwartem piętrze jej domu. Podbiegłszy do domu zauważył gromochron, wdrapał się z niepojętą zwinnością, schwycił za okiennicę, otwartą zupełnie ku ścianie, przy jej pomocy skoczył prosto na łóżko. Cała sprawa nie trwała nawet minuty. Orang-Utang po wejściu do pokoju odkopnął znowu okiennicę ku ścianie.

»Marynarz tymczasem cieszył się równocześnie i kłopotał. Miał silną nadzieję pochwycenia zwierzęcia teraz, gdyż nie mogło uciec z łapki jak tylko za pomocą gromochronu, na którym przy schodzeniu w dół musiało zostać schwytane. Z drugiej strony zachodziła obawa co do zachowania się zbiega w domu. Ta ostatnia refleksya zniewoliła marynarza do dalszego ścigania zbiega. Po gromochronie wejść nie trudno zwłaszcza marynarzowi; ale doszedłszy na wysokość okna, leżące daleko po lewej ręce, zatrzymał się: wszystko co mógł uczynić to zajrzeć do wnętrza pokoju. Kiedy

to uczynił o mało nie spadł z przerażenia. Teraz właśnie powstały te straszne krzyki, które pobudziły mieszkańców Rue Morgue. Madame L'Espanaye i jej córka, ubrane w stroje nocne, były wyraźnie zajęte układaniem jakichś papierów we wspomnianej już skrzynce żelaznej, wytoczonej na środek pokoju. Była ona otwarta a zawartość leżała na podłodze. Ofiary musiały siedzieć plecami do okna; wnioskując z czasu, który upłynął od wdarcia się bestyi do krzyków jest rzeczą prawdopodobną, że nie spostrzeżono jej odrazu. Zatrzaśnięcie okiennicy mogło być przypisane wiatrowi.

»Gdy marynarz zajrzał do środka olbrzymi zwierz chwycił Madame L'Espanaye za włosy (rozpuszczone, gdyż je właśnie czesała) i wymachiwał około jej twarzy, brzytwą naśladując ruchy golarza. Córka leżała rozciągnięta bez ruchu, zemdlała bowiem. Krzyki i wołania matki (podczas których wyrwano jej włosy z głowy) miały ten efekt, że zamieniły pokojowe zapewne zamiary Orang-Utanga na wściekłość. Jednym rzutem muskularnego ramienia oddzielił niemal głowę od ciała. Widok krwi podniecił gniew do siły szału. Zgrzytając zębami i miotając oczami pioruny, cisnął się na ciało dziewczyny, i zatopił swe straszne szpony w jej gardziel, trzymając ją póki nie skonała. Błędne i dzikie spojrzenia zwierza padły w tej chwili na okno, przez które widać było przerażoną twarz marynarza. Furya bestyi, pamiętającej niewątpliwie

pejcz, zmieniła się natychmiast w obawę. Świadomy tego, że zasłużył na karę, Orang-Utang pragnął zdaje się ukryć swe krwawe czyny, to też skakał po pokoju w agonii nerwowego podrażnienia, obalając i łamiąc w swym pochodzie meble i wywlekając pościel z łóżka. W konkluzyi, schwycił naprzód trupa córki i wetknął go w komin, gdzie go znaleziono; potem zaś trupa matki, który natychmiast wyrzucił przez okno.

»Gdy małpa zbliżała się do okna ze swym krwawym ciężarem, marynarz przysunął się przerażony do gromochronu, poczem zsunął się po nim i pospieszył do domu — obawiając się następstw mordu i nie myśląc o losie Orang-Utanga. Słowa słyszane na schodach były ze strony Francuza wykrzyknikami grozy i przestrachu zmieszanym z piekielną paplaniną zwierzęcia.

Nie wiele trzeba dodać dla zakończenia. Orang-Utang musiał uciec z pokoju po gromochronie przed włamaniem się do pokoju. Musiał zamknąć okno przy przechodzeniu przez nie. Potem został schwytany przez samegoż właściciela, który otrzymał za niego znaczną sumę *w Jordin des Plantes.* Lebou został natychmiast wypuszczony po opowiedzeniu przez nas okoliczności (z pewnymi komentarzami ze strony Dupina) w biurze Prefekta Policyi. Funkcyonaryusz ten, jakkolwiek dobrze usposobiony dla mego przyjaciela, nie mógł całkowicie ukryć swego niezadowolenia z powodu obrotu sprawy,

i napomknął coś o tem, aby każdy pilnował lepiej własnych spraw.

— Niech sobie mówi — rzekł Dupin, który nie uważał za stosowne odpowiadać mu.

»Niech sobie mówi, to mu sprowadzi ulgę na sumieniu. Cieszy mnie pobicie go w jego własnym zamku. Mimo to, że mu się nie udało rozwiązać tej tajemnicy, to nie jest jak mu się zdaje, nic tak dziwnego; bo Prefekt jest za sprytny na to, aby być głębokim. W mądrości nie ma on podstawy. Jest tam głowa bez korpusu, jak posągi bogini Laverny. Ale mimoto jest dobrem stworzeniem. Lubię go zwłaszcza za jego frazesy, któremi sobie zyskał opinię pomysłowości. Mam tu na myśli jego zasadę *»de nier ce qui est, et d'expliquer ce qui n'est pas«**).

*) Rousseau. — Nouvelle Héloise.

SKRADZIONY LIST

Pewnego wietrznego wieczoru jesienią roku 18—, używałem w Paryżu podwójnej rozkoszy rozmyślania i palenia fajki piankowej w towarzystwie mego przyjaciela C. Augusta Dupin, w jego małej bibliotece, *au troisième, Nr. 33 Rue Dunôt, Fauborg St. Germain.* Przez godzinę co najmniej zachowywaliśmy głębokie milczenie; patrzący z boku mógłby myśleć, że każdy z nas był mocno zajęty kłębami dymu, zapełniającymi atmosferę pokoju. Co do mnie atoli, to roztrząsałem w myśli pewne przedmioty, które stanowiły substrat do dyskusyi pomiędzy nami o wcześniejszej porze wieczora; mianowicie wypadek na Rue Morgue, i tajemnicę, towarzyszącą zamordowaniu Maryi Roget. Uważałem więc jako zbieg okoliczności fakt, że niebawem drzwi naszego apartamentu otworzyły się i wszedł przez nie nasz stary znajomy, Monsieur G., Prefekt paryskiej policyi.

Powitaliśmy go serdecznie; ponieważ był on dla nas nawpół zajmującym, a na poły obojętnym, nie widzieliśmy go zaś kilka lat.

Siedzieliśmy po ciemku — Dupin powstał właśnie

w celu zapalenia lampy, ale usiadł znowu, zaniechawszy zamiaru, kiedy G. oświadczył, że przyszedł poradzić się nas, albo raczej zapytać o opinię mego przyjaciela w sprawie urzędowej, która mu już wiele przysporzyła kłopotu.

— Jeżeli to wymaga refleksyi — zauważył Dupin, odsuwając zapałkę od knota — zbadamy rzecz lepiej po ciemku.

— To znowu jedno z pańskich dziwacznych przekonań — rzekł Prefekt, który miał zwyczaj nazywania »dziwacznem« wszystkiego, co przechodziło jego objęcie, wskutek czego obracał się w całym legionie »dziwactw«.

— Bardzo słusznie — rzekł Dupin — dając gościowi fajkę i podsuwając ku niemu wygodne krzesło.

— O cóż to teraz chodzi? — spytałem. — Chyba nic nowego w sprawie morderstwa?

— Oh, nie, nic takiego. Faktem jest, że sprawa jest *bardzo prosta* i nie wątpię, że damy sobie z nią radę sami, ale myślałem, że Dupin zechce usłyszeć bliższe szczegóły, które są bardzo dziwaczne.

— Proste i dziwaczne — rzekł Dupin.

— Istotnie tak, właściwie tak i nie. Tracimy głowy z powodu, że sprawa jest prosta, a jednak nie możemy jej załatwić.

— Być może, iż właściwie prostota sprawy w błąd nas wprowadza — rzekł mój przyjaciel.

— Jakie głupstwa pan mówisz! — odparł Prefekt, śmiejąc się serdecznie.

— Może byc, że tajemnica jest *za* widoczna — rzekł Dupin.

— Oh, dobre nieba, któż kiedykolwiek słyszał o takiej idei?

— Nieco *za* wyraźna.

— Ha! ha! ha! — ha! ha! ha! ho! ho! ho! — śmiał się nasz gość, mocno ubawiony. — Oh, Dupin, jeszcze pan się staniesz przyczyną mojej śmierci.

— No ale *o cóż* to ostatecznie chodzi? — spytałem.

— Ba, powiem panu — odparł Prefekt, puściwszy obfity kłąb dymu i gnieżdżąc się wygodnie w swem krześle. — Powiem panom w kilku słowach; ale nim rozpocznę, ostrzegam panów, że jestto sprawa, wymagająca najgłębszej tajemnicy, i że straciłbym prawdopodobnie swoje miejsce, gdyby się dowiedziano, że zwierzyłem się przed kimkolwiek.

— Mów pan — rzekłem ja.

— Albo nie — rzekł Dupin.

— Zatem; otrzymałem osobiste zawiadomienie od wysoko położonej osoby, że pewien bardzo ważny dokument został skradziony z królewskich apartamentów. Wiadomo, kto go skradł i to napewne; widziano go, jak brał. Wiadomo też, iż dokument ustawicznie znajduje się w jego posiadaniu.

— Skądże o tem wiadomo? — spytał Dupin.

— To się wprost wywnioskowało — odparł prefekt — z natury dokumentu i z niewystąpienia pewnych rezultatów, któreby powstały natychmiast po jego wyjściu *z rąk* posiadacza: — to znaczy, z użycia go tak, jak go niezawodnie ostatecznie użyć zamierza.

— Bądź pan nieco jaśniejszy — rzekłem.

— Mogę pójść tak daleko, żeby powiedzieć, że dokument daje swemu posiadaczowi pewną władzę w pewnej sferze, w której władza taka jest bardzo cenna.

Prefekt lubował się w dyplomatycznym języku.

— Mimo to, jeszcze nie zupełnie rozumiem — rzekł Dupin.

— Nie? No; odkrycie dokumentu przed trzecią osobą, której nazwiska nie powiem, zakwestjonowałoby honor bardzo wysoko położonej osobistości; a ten fakt daje posiadaczowi dokumentu wyższość nad tą znakomitą osobistością, której honor i spokój są w ten sposób zagrożone.

— Ale wyższość ta — wtrąciłem — zależałaby od wiedzy złodzieja, że okradziony zna jego osobę. Któżby się ośmielił —

— Złodziejem — rzekł G. — —, jest minister D., który odważa się na wszystko, bez względu na to, czy z tem do twarzy mężczyznie czy nie. Sposób skradzenia był nie mniej pomysłowy, jak zuchwały. Dokument ów — powiedzmy otwarcie

list — otrzymała ograbiona osobistość, gdy się sama znajdowała w królewskim *boudoirze*. Czytanie zostało przerwane wejściem innej wysoko położonej osoby, a na ukryciu listu przed nią zależało szczególniej. Po spiesznem, a nieudałem usiłowaniu wrzucenia go do szuflady, osobistość ona była zmuszona położyć go otwartym na stole. Adres był zwrócony do góry, treść zaś ukryta, wskutek czego list nie zwrócił wcale uwagi. W tejże chwili wchodzi minister D.— — Rysie jego oczy spostrzegają w tej chwili papier, rozpoznają pismo z adresu, obserwują pomięszanie osoby, do której list był adresowany i zgłębiają całą tajemnicę. Po właściwem mu szybkiem załatwieniu kilku spraw, wyciąga list nieco podobny do leżącego na stole, otwiera, niby czyta, a potem kładzie obok pierwszego. Rozmawia znowu z piętnaście minut o sprawach publicznych, wreszcie żegnając się, bierze ze stołu list, do którego nie ma prawa. Prawy właściciel widział manewr, ale nie śmiał oczywiście zwrócić uwagi na rzecz wobec trzeciej osoby, tuż obok stojącej. Minister ulotnil się, zostawiając na stole swój własny list bez znaczenia w wartości.

— Tu więc — rzekł Dupin — masz pan to, czego pan wymagasz dla uczynienia wyższości zupełną — wiedzę złodzieja, że okradziony zna jego osobę.

— Tak — odparł Prefekt — otrzymana w ten sposób władza była przez kilka ubiegłych miesięcy

używana do celów politycznych w bardzo znacznym stopniu. Osobistość okradziona przekonywa się codzień więcej o konieczności odzyskania listu. Doprowadzona w końcu do rozpaczy, powierzyła całą sprawę mnie.

— Nad którego — rzekł Dupin wśród kłębów dymu — nie można by sobie ani życzyć, ani nawet wyobrazić sprytniejszego agenta.

— Pochlebiasz mi pan — odrzekł prefekt — ale jest rzeczą możliwą, że osobą tą kierowała podobna opinia.

— Jest więc rzeczą jasną — rzekłem — że list jest ciągle jeszcze w posiadaniu ministra; gdyż właśnie jego posiadanie, a nie zrobienie z niego użytku daje taką władzę. Z użyciem, władza zniknęłaby.

— Prawda — rzekł G. — na tem przekonaniu opieram się. Pierwszą moją troską było gruntowne przeszukanie pałacu ministra; tu głównym szkopułem było robienie poszukiwań bez jego wiedzy. Przedewszystkiem ostrzeżono mnie o niebezpieczeństwie, jakieby wyniknęło, gdyby przejrzał nasze zamiary.

— Ależ — powiedziałem — jesteś pan całkiem *au fait* w tych poszukiwaniach. Policya paryska dokonywała takich rzeczy poprzednio dosyć często.

— O tak; to też z tego powodu nie rozpaczałem. Zresztą zwyczaje ministra ułatwiły mi zadanie. Częstokroć całe noce spędza poza domem. Służba

wcale nie jest liczna. Sypialnie ich znajdują się daleko od pańskiego apartamentu, a przytem będąc przeważnie Neapolitańczykami łatwo się upijają. Wiadomo panom, że posiadam klucze, którymi mogę otworzyć każdy pokój lub gabinet w Paryżu. W ciągu trzech miesięcy nie było ani jednej nocy, w którejbym nie był zajęty osobiście przetrząsaniem pałacu ministra D. Tu chodzi o mój honor, a przytem, powiem otwarcie, nagroda jest ogromna. To też nie zaniechałem poszukiwania, póki się nie przekonałem, że złodziej jest o wiele sprytniejszy odemnie. Zdaje mi się, że przeszukałem każdą skrytkę, w której list mógłby być schowany.

— Ale czyż nie jest rzeczą prawdopodobną — zapytałem — aby list, chociaż jest w posiadaniu ministra, co nie ulega wątpliwości nie został ukryty gdzie indziej, niż u niego samego?

— To bodaj jest niemożliwe — rzekł Dupin. — Obecne osobliwe stosunki dworskie, a zwłaszcza intrygi, w których D. jest uwikłany, czynią możność natychmiastowego użycia dokumentu równie ważną, jak samo jego posiadanie.

— Możność przedłożenia go? — spytałem.

— To znaczy *zniszczenia* go — rzekł Dupin.

— Istotnie — zauważyłem — list więc musi być w pałacu. Znajdowanie się jego na osobie ministra, może być chyba całkowicie wykluczone.

— Niewątpliwie — rzekł prefekt. — Został on

dwukrotnie napadnięty, jakby przez opryszków, a wtedy osoba jego została sumiennie zrewidowana pod moim osobistym nadzorem.

— Mogłeś pan był oszczędzić sobie tego trudu — rzekł Dupin. — D., jak przypuszczam, nie jest zupełnym głupcem, wskutek czego musiał antycypować te napaści, jako rzecz jasną.

— Nie *zupełnym* głupcem — rzekł G. — ale wszakże jest poetą, co uważam tylko za jeden stopień przed głupcem.

— Prawda — rzekł Dupin, po długiem pykaniu z fajki — chociaż kilka wierszydeł popełniłem sam.

— A możebyś pan — rzekłem — zechciał dać nam szczegóły swego poszukiwania.

— Poświęciliśmy sporo czasu i szukaliśmy *wszędzie*. Mam ogromne doświadczenie w takich sprawach. Objąłem cały budynek pokój za pokojem — poświęciłem każdemu z osobna jedne noc w tygodniu. Naprzód zbadaliśmy meble każdego pokoju. Otwieraliśmy wszelkie możliwe szuflady; a wiesz pan, przypuszczam, że dla odpowiednio trenowanego agenta policyjnego, taka rzecz, jak *ukryta* szuflada nie egzystuje. Głupcem jest każdy, kto pominie ukrytą szufladę przy takiem przeszukiwaniu. Rzecz jest *tak* prosta. W każdej szafce trzeba wziąć pod rozwagę objętość. Tutaj posiadamy dokładne zasady. Pięćdziesiąta część linii nie mogłaby ujść naszej uwagi. Po szafkach przyszła

kolej na krzesła. Poduszki sondowaliśmy przy pomocy długich, delikatnych igieł. Ze stołów zdejmowaliśmy blaty.

— Po co?

— Czasami blat stołu, albo innego, podobnie urządzonego mebla, zostaje usunięty przez osobę, pragnącą ukryć przedmiot, która potem wydrąża nogę, wrzuca dany przedmiot i przykrywa blatem. Różne części łóżka służą na ten sam użytek.

— A czyż nie możnaby zbadać wydrążeń wypukiem? — spytałem.

— Nie wtedy, jeżeli przedmiot ukryty, został owinięty w bawełnę. A zresztą w naszym wypadku trzeba było sprawiać się całkiem cicho.

— Ależ nie mogłeś pan chyba rozebrać w ten sposób *wszystkich* mebli, które mogłyby służyć za kryjówkę. List da się zwinąć spiralnie, i umieścić dajmy na to w szczeblu krzesła. Chyba nie rozbierałeś pan wszystkich krzeseł?

— Zapewne, że nie; ale zrobiliśmy lepiej — badaliśmy bowiem szczeble każdego krzesła i spojenia wszystkich wogóle mebli przy pomocy bardzo silnego mikroskopu. Musielibyśmy w ten sposób odkryć każdy świeży ślad jakiegoś majstrowania. Pylinka, powstała pod wpływem świdrowania, byłaby tak widoczna jak jabłko. Najmniejsza zmiana w sklejeniu byłaby wystarczała do ułatwienia odkrycia.

— Przypuszczam, że obejrzałeś pan lustra, mianowicie pomiędzy deskami a płytami, że wysondowałeś pan materace i pościel, jak również firanki i dywany.

— Oczywiście; po skończeniu w ten sposób z każdym meblem w pałacu, zabraliśmy się do zbadania jego samego. Podzieliliśmy całą powierzchnię na pola, potem ponumerowaliśmy je, aby nie pominąć żadnego; potem zbadaliśmy drobiazgowo każdy cal kwadratowy w całym budynku i to przy pomocy mikroskopu, nie wyłączając dwóch przyległych domów.

— Dwóch przyległych domów? — zawołałem; — musiałeś pan mieć wiele kłopotu z tem.

— Zapewne; ale obiecana nagroda jest ogromna.

— Objąłeś pan też grunt wokoło domów?

— Grunt wyłożony jest brukiem z cegieł. Te dały nam mało trudu. Zbadaliśmy mech pomiędzy cegłami, który był nienaruszony.

— Przetrząsnęliście oczywiście papiery ministra jakoteż wszystkie książki w bibliotece?

— Oczywiście; otworzyliśmy każdy pakiet; nietylko roztwieraliśmy każdę książkę, lecz przewracaliśmy kartkę po kartce w każdym tomie, nie zadowalając się samem wytrząśnieniem, podobnie jak to czynią niektórzy nasi urzędnicy policyjni. Zmierzyliśmy też grubość każdej *okładki*, jak najdokładniejszą miarą, i stosowaliśmy do każdej nasz mikroskop. Gdyby którakolwiek z okładek była

świeżo ruszana, fakt byłby nie mógł absolutnie ujść naszej uwadze. Pięć czy sześć tomów świeżo od introligatora badaliśmy wzdłuż przy pomocy igieł.

— Zbadaliście też podłogi pod dywanami.

— Niewątpliwie. Odsunęliśmy każdy dywan, badając podłogę mikroskopem.

— I obicie pokojowe?

— Tak.

— Zaglądaliście do piwnic?

— Oczywiście.

— Zatem — powiedziałem — przeliczyliście się panowie, i listu nie ma *w pałacu,* jak pan to przypuszcza.

— Obawiam się, że pan masz racyę — rzekł Prefekt. — No a teraz, cóżbyś mi pan radził czynić, panie Dupin.

— Zbadać wszystko dokładnie na nowo.

— To jest całkiem zbyteczne, — odparł G. — Jestem tak pewny tego, że listu nie ma w pałacu, jak śmierci.

— Nie mogę dać panu lepszej rady — rzekł Dupin. — Masz pan oczywiście dokładny opis listu.

— Oh tak! — Mówiąc to Prefekt wyciągnął notatnik i odczytał drobiazgowy opis wewnętrznego a zwłaszcza zewnętrznego wejrzenia listu. Wkrótce po skończeniu czytania tego opisu, wyszedł bardziej przygnębiony, niż był kiedykolwiek przedtem.

W miesiąc potem odwiedził nas znowu znajdując nas przy tem samem, co poprzednio zajęciu.

Przyjął fajkę, usiadł, i zaczął zwyczajną rozmowę. W końcu odezwałem się:

— A jakże tam, panie G. — — co słychać ze skradzionym listem? Zapewne przyszedłeś pan w końcu do przekonania, że ministra w pole wyprowadzić nie można?

— A niech go tam — istotnie; mimoto przeprowadziłem powtórną rewizyę podlug wskazówki pana Dupin — ale to był, jak przypuszczałem, stracony trud.

— A jakaż była wyznaczona nagroda? — spytał Dupin.

— Ba, ogromna — *bardzo* obfita nagroda — nie chcę powiedzieć dokładnie ile; ale jedno *powiem*, że nie wahałbym się dać czeku na pięćdziesiąt tysięcy franków temu, ktoby mi odnalazł list. Rzecz nabiera na ważności z każdym dniem; w ostatniej chwili nagroda została podwojona. Gdyby atoli była nawet potrojona nie móglbym zrobić nic nadto, co uczyniłem.

— O tak, — rzekł Dupin przeciągle, puszczając dym z fajki. — Zdaje mi się panie G — —, że nie wysiliłeś się pan w tej sprawie jak należy. Sądzę, że móglbyś pan zrobić jeszcze troszeczkę?

— Jak? — W jaki sposób?

— Ba — mógłbyś użyć rady w tej potrzebie? Czy pamiętasz pan historyę, opowiadaną o Abernethy?

— Nie, bynajmniej!

— Pewnego razu jakiś bogaty skąpiec wpadł na pomysł wyzyskania tego Abernethy. Zawiązawszy w tym celu zwyczajną rozmowę w towarzystwie poddał temu lekarzowi swoją chorobę jako niedomaganie kogoś niby wymyślonego.

— Przypuśćmy, powiada skąpiec, że objawy są takie a takie; otóż co byś pan, panie doktorze poradził mu w takim wypadku?!

— Co! — rzekł Abernethy — oczywiście poradziłbym mu wezwać doktora.

— Ależ ja — rzekł Prefekt — jestem zupełnie gotów radzić się, i zapłacić za to. Istotnie dałbym pięćdziesiąt tysięcy franków temu, coby mi w tej aferze pomógł.

— Skoro tak — rzekł Dupin, otwierając szufladę i wyjmując czek, — to wypełnij — mi pan czek na tę kwotę, poczem wręczę panu list.

Byłem zdumiony. Prefekt stał jak piorunem rażony. Przez kilka chwil ani mówił, ani poruszał się, patrząc na mego przyjaciela z niedowierzaniem; tak że mu mało oczy na wierzch nie wylazły; potem przyszedłszy nieco do siebie schwycił za pióro i po kilku chwilach wahania wypełnił i podpisał czek na pięćdziesiąt tysięcy franków i podał go przez stół p. Dupin, który zbadał go starannie i schował do kieszeni; potem otworzywszy *escritoire*, wyjął list i podał Prefektowi, który schwycił go z wyrazem najwyższej radości, otworzył drżącą ręką, rzucił pobieżnie okiem na treść,

a potem ciskając się ku drzwiom wypadł bez ceremonii z pokoju i z domu, milcząc cały czas od chwili, gdy Dupin zażądał od niego wypełnienia czeku.

Po jego odejściu przyjaciel mój udzielił mi wyjaśnienia.

— Paryska policya — powiedział, — jest bardzo zdolna w swoim rodzaju. Urzędnicy są wytrwali, sprytni, pomysłowi i gruntownie obznajmieni z tem, czego obowiązki ich głównie wymagają. Toteż kiedy G. — — opowiedział mi szczegółowo sposób przeszukania pałacu ministra D. — — uznałem, że dokonał zadowalniającej rewizyi o ile do tego był zdolny.

— O ile do tego był zdolny? — powiedziałem.

— Tak — odparł Dupin. — Użyte metody były nietylko najlepsze w swoim rodzaju, ale zastosowane doskonale. Gdyby list był w zakresie ich poszukiwań, byliby niewątpliwie znaleźli go.

Uśmiechnąłem się tylko, ale on miał zupełnie poważną minę.

— Metody więc, — ciągnął dalej, — były dobre w swoim rodzaju, i dobrze wykonane, ale bieda w tem, że nie były odpowiednie w danym wypadku. Pewna ilość bardzo pomysłowych sztuczek jest dla Prefekta Prokrustowem łożem, do których gwałtem stosuje swoje plany. Myli się atoli ustawicznie będąc albo za głębokim, albo za płytkim dla danej sprawy, i nie jeden student rozumie rzecz

lepiej od niego. Znam jednego w wieku lat ośmiu, którego powodzenie w grze, para niepara wzbudza powszechny podziw. Gra ta jest prosta i gra się ją kostkami. Jeden gracz trzyma pewną ich ilość w ręce i pyta się, czy liczba ta jest parzysta, czy nieparzysta. Jeżeli gracz zgadł, to wygrywa jeden punkt, w przeciwnym razie przegrywa. Chłopiec, o którym mówię, zawsze wygrywał. Miał oczywiście zasadę w zgadywaniu, polegającą na obserwacyi i zgłębieniu sprytu przeciwnika. Naprzykład, gdy simplicyusz jest przeciwnikiem i pyta się, para niepara?, student odpowiada, niepara i przegrywa, ale za drugim razem wygrywa, gdyż wtedy mówi sobie, simplicyusz miał równą ilość przy pierwszej próbie, a spryt jego pozwala mu tylko na to, aby drugim razem miał ilość nierówną, zatem powiem niepara, mówi niepara i wygrywa. Ze sprytniejszym rozumowałby tak: za pierwszym razem powiedziałem niepara, to też on za pierwszym idąc impulsem zechce dać mi do zgadnięcia nierówną ilość, ponieważ atoli zmiana ta jest za prosta, przeto po namyśle zdecyduje się podać znowu równą ilość. Powiem więc para, zgaduje i wygrywa. Czemże więc jest ostatecznie to rezonowanie studenta, którego nazywają szczęśliwcem?

— Jestto jedynie, — odrzekłem — zidentyfikowanie intellektu rozumującego z intellektem przeciwnika.

— Zapewne — odparł Dupin — a kiedy spy-

tałem go o metodę, na której się jego powodzenie opiera, taką dał mi odpowiedź: »Gdy się pragnę dowiedzieć, czy którykolwiek jest mądrym, głupim, dobrym, lub nikczemnym, układam wyraz mojej twarzy zupełnie podług wyrazu jego twarzy, a potem czekam jakie myśli lub uczucia powstaną w mym umyśle lub sercu, zgodne z wyrazem. Ta odpowiedź jest podstawą całej rzekomej głębokości przypisywanej Rochefaucauld'owi, La Bruyère'owi, Machiavelli'emu, Campanelli.

— Jeżeli pana dobrze rozumiem, to powodzenie polega na dobrem odczuciu swego przeciwnika.

— Dla celów praktycznych — odparł Dupin, istotnie na tem polega, a Prefekt i jego kohorta spotykają się z niepowodzeniem tak często dlatego, że nie mierzą umysłu, z którym mają do czynienia. Biorą pod rozwagę tylko swoje własne *pojęcie* o pomysłowości, szukając czegoś ukrytego, mają na myśli tylko sposoby, w które *oni* by rzecz ukryli. Mają racyę o tyle, że ich własna pomysłowość jest wiernem odbiciem pomysłowości *mas;* lecz gdy spryt przestępcy jest nad ich objęcie, wywodzi ich w pole. Nie poddają zmianie zasad swego badania; w najlepszym razie zewnętrznem zdarzeniem zniewoleni, lub nadzwyczajną zachęceni nagrodą, rozciągają lub przesadzają swoje stare metody nie zmieniając ich istoty. Cóż n. p. w danym wypadku uczyniono dla zmienienia zasady? Czemże jest to świdrowanie, sondowanie,

wypukiwanie i badanie za pomocą mikroskopu, dzielenie budynku na ponumerowane całe kwadratowe, jeżeli nie przesadnem *zastosowaniem* zasady lub zasad rewizyi, opartych na jednem pojmowaniu sprytu ludzkiego, do którego Prefekt w czasie swej długiej karyery przyzwyczaił się? Czyż pan nie widzisz, że on przyjął za pewne, iż wszyscy ludzie starają się ukryć list jeżeli już nie koniecznie w dziurze, wyświdrowanej w nodze od krzesła, to w każdym razie w jakiejś skrytce, nie wiele różniącej się w zasadzie od owej dziury, wyświdrowanej w nodze od krzesła? Czyż pan nie widzisz, że takie skrytki *recherché* są dobre tylko na zwykłe okazye, i że stosują je tylko zwykłe umysły, ponieważ we wszystkich wypadkach ukrycia, schowanie danego przedmiotu w taki sposób *recherché* jest przypuszczalne, to też odkrycie zależy nie od sprytu, lecz w całości od cierpliwości i wytrwałości szukającego, a gdzie jest ważna sprawa, albo gdzie nagroda jest wielka, co w oczach policyi na jedno wychodzi, metoda *nigdy* nie zawiodła. Pojmiesz pan teraz, co zrozumiałem, mówiąc, że gdyby skradziony list znajdował się gdziekolwiek w granicach rewizyi Prefekta — innemi słowy, gdyby zasada jego ukrycia zgadzała się z zasadami Prefekta, wykrycie nie ulegałoby wątpliwości. Funkcyonaryusz ten jednakże został zupełnie zmistyfikowany, a odległe źródło porażki leży w przypuszczeniu, że minister jest głupcem,

ponieważ zyskał sobie rozgłos jako poeta. Wszyscy głupcy są poetami, to Prefekt *czuje,* to też popełnił jeno błąd zwany *non distributio medii,* przypuszczając, że wszyscy poeci są głupcami.

— Czyż to jest istotnie poeta? — spytałem. — Wszakże są dwaj bracia, i obaj zyskali imię w literaturze. Minister napisał, o ile mi się zdaje, rozprawę matematyczną. Jest więc matematykiem a nie poetą.

— Jesteś pan w błędzie, znam go dobrze, jest jednym i drugim. Jako poeta i matematyk rozumował dobrze, jako zwykły matematyk nie rozumowałby wcale, co by go zdało na łaskę Prefekta.

— Zadziwiasz mnie pan — rzekłem, — temi opiniami, którym cały świat zaprzecza. Nie zechcesz pan zaprzeczać przetrawionym ideom wieków. Rozum matematyczny uważany był od dawna jako rozum *par excellence.*

— *Il y a à parier,* — odparł Dupin, przytaczając Chamfort'a, — *que toute idée publique, toute convention reçue, est une sottise, car alle a convenu au plus grand nombre!* Matematycy zapewniam pana, uczynili wszystko, aby rozpowszechnić zwykły błąd, o którym pan mówisz, a który nie przestaje być błędem, choć się go za prawdę ogłasza. Zastosowali oni naprzykład wyraz analiza do algebry. Francuzi są twórcami tego specyalnie złudzenia, ale jeżeli słowo ma jakie znaczenie, jeżeli słowa otrzymują wartość od zastosowalności, to analiza

podsuwa myśl o algebrze tak samo jak w łacinie *ambitio* zawiera ambicyę. *religio* religię, lub *homines honesti* grupę *honorowych* ludzi.

— Wierzę, że będziesz się pan spierał z matematykami Paryża — rzekłem. — Ale mniejsza z tem, jedź pan dalej.

— Zaprzeczam możność zastosowania, a zatem i wartość rozumu, kultywowanego w jakiejkolwiek innej formie niż abstrakcyjnie logicznej. Zaprzeczam szczególniej rozum, wywołany studyami matematycznemi. Matematyka jest nauką o kształcie i liczbie, zatem rozumowanie matematyczne jest tylko logiką, zastosowaną do obserwacyi form i liczb. Wielki błąd leży w przypuszczeniu, że nawet pewniki tak zwanej *czystej* algebry, są prawdami oderwanemi lub ogólnemi. A błąd ten tak jest ogromny, że zdumiewa mnie powszechne jego przyjęcie. Pewniki matematyczne nie są pewnikami ogólnej prawdy. Co się odnosi do *stosunku* — formy i liczby — jest nieraz fałszem w odniesieniu do etyki, w której częstokroć jest nieprawdą, że dodane części równają się całości. Pewnik ten nie ma również zastosowania w chemii, nie ma też zastosowania przy roztrząsaniu motywu, ponieważ dwa motywa, z których każdy posiada określoną wartość, dodane nie dają wartości, równej sumie wartości składowych. Są też liczne inne prawdy matematyczne, zastosowalne jedynie w granicach *stosunku*. Ale matematyk przez przyzwyczajenie

rozumuje na podstawie swych *ostatecznych prawd,* jak gdyby dały się ogólnie zastosować, co sobie świat istotnie wyobraża. Bryant w swej bardzo uczonej *Mitologii* wspomina o analogicznem źródle błędu, gdy mówi, że chociaż nie wierzy się w bajki pogan, to jednak zapominamy się nieustannie i wyciągamy z nich wnioski; jakby z rzeczy realnych. Algebrarze atoli, którzy sami są poganami, wierzą w te pogańskie bajki, a wnioski czyni się nietyle wskutek niedopisania pamięci, jak wskutek zamieszania w mózgu. Słowem nie spotkałem jeszcze matematyka, któremu możnaby zaufać poza pierwiastkami, albo któryby nie wierzył skrycie, że x^2+px jest absolutnie i bezwarunkowo równe q. Powiedz jednemu z tych panów, że zdaje ci się, iż w pewnych razach x^2+px nie jest zupełnie równe q, a lepiej będzie, jeżeli usuniesz mu się z drogi, bo cię inaczej powali na ziemię.

— Chciałem powiedzieć — ciągnął Dupin, kiedy ja uśmiechałem się na jego ostatnie zdanie, — że gdyby minister nie był niczem innem jak tylko matematykiem, Prefekt nie byłby zmuszony dawać mi tego czeku. Ja jednak znałem go jako matematyka i poetę, toteż moja metoda została zastosowana do jego zdolności z uwzględnieniem stosunków, wśród których się znajduje. Znałem go jako dworaka i jako zuchwałego *intryganta.* Zdawało mi się, że taki człowiek nie mógł być nieświadom praktyk policyjnych. Nie mógł nie prze-

widzieć — a wypadki dowiodły, że istotnie przewidział — napaści, którym podległ. Musiał przewidzieć tajne rewizye swego pałacu. Częsta jego nocna nieobecność w domu, którą Prefekt uważał za pewną pomoc do powodzenia, ja uważałem tylko jako figiel dla dania policyi sposobności do gruntownej rewizyi, i do tem szybszego wpojenia w nich przekonania, do którego G. — — istotnie, ostatecznie doszedł, mianowicie że listu nie ma w pałacu. Czułem, że taki sposób rozumowania, jaki starałem się panu szczegołowo przedstawić, odnośnie do niezmiennej zasady policyjnego poszukiwania ukrytych przedmiotów, musiał koniecznie przejść przez mózg ministra. Rozumowanie to musiało go doprowadzić do wzgardzenia wszystkimi zwykłymi sposobami ukrycia listu. On nie mógł być taki głupi, aby nie zrozumieć, że jego najtajniejsza skrytka byłaby tak pewna jak zwykła komórka, dla oczu, sond, świdrów i mikroskopów Prefekta. Toteż rozumiałem, że z konieczności ucieknie się do prostoty. Pamiętasz pan może, jak bardzo Prefekt się śmiał, gdym powiedział, że tajemnica sprawiała mu tyle kłopotu swoją wielką prostotą.

— Oczywiście — rzekłem — przypominam sobie dobrze, jak się tem ubawił. Myślałem przecie, że dostanie konwulsyi.

— Świat materyalny — ciągnął Dupin — obfituje w ścisłe analogie do niemateryalnego; w ten

sposób pozory prawdy nadano retorycznemu dogmatowi, że metafora może tak samo wzmocnić argument jak i upiększyć opis. Zasada *vis inertiae* na przykład zdaje się być identyczna w fizyce i metafizyce. Tak samo w pierwszej prawdą jest, że wielkie ciało wprawia się w ruch z większą trudnością niż małe, i że jego *momentum* jest współmierne z tą trudnością, jak i w drugiej, że potężniejsze umysły, o ile są silniejsze, stalsze i skuteczniejsze w swych ruchach od słabszych, o tyle trudniej je w ruch wprowadzić, o tyle więcej się wahają w pierwszych krokach swego pochodu. Czyś pan zauważył, które z szyldów ulicznych największą zwracają uwagę?

— Nigdy się nad tem nie zastanawiałem — odparłem.

— Istnieje łamigłówka — ciągnął — do której używa się mapy. Jedna z osób prosi drugą, aby znalazła dane słowo — nazwę miasta, rzeki, państwa — jakiekolwiek zresztą słowo, znajdujące się na pstrej mapie. Nowicyusz w zabawie stara się zwykle zaambarasować swych kompanów przez wyszukiwanie najdrobniejszych nazw, ale wtajemniczony wybiera takie słowa, które rozciągają się wielkim drukiem od jednego końca karty ku drugiemu. Te, podobnie jak zbyt wielkiemi literami wydrukowane plakaty uliczne, uchodzą uwagi ponieważ są za widoczne; tutaj fizyczne przeoczenie jest ściśle analogiczne do moralnej nieuwagi, wsku-

tek której umysł pomija te konsyderacye, które się zanadto swą jasnością narzucają, ale to zdaje się być rzeczą powyżej albo też poniżej objęcia Prefekta. On nigdy nie uważał za prawdopodobne lub możliwe, aby minister złożył list bezpośrednio pod nosem całego świata, aby w ten sposób uniknąć uwagi tego świata.

— Czem więcej myślałem nad zuchwałą i rozumną pomysłowością ministra, nad tem, że dokument musiał być zawsze pod ręką, jeżeli miał zamiar użyć go dobrze; i nad stanowczym dowodem, osiągniętym przez Prefekta, że list nie został ukryty w sposób, dla tego dygnitarza dostępny — tem więcej byłem przekonania, że aby go ukryć minister uciekł się do zrozumiałego i rozumnego środka nie ukrywania go wcale.

— Pelen tych myśli sprawilem sobie parę zielonych okularów, i poszedłem pewnego pięknego poranka, całkiem przypadkiem, do palacu ministra. Znalazłem D. w domu ziewającego, przeciągającego się i udającego jak zwykle najwyższy stopień znudzenia. Tymczasem jest on człowiekiem bardzo energicznym — ale to jeno wtedy, kiedy go nikt nie widzi.

— Aby dorównać mu, zacząłem narzekać na bolące oczy, skarżyłem się na konieczność noszenia okularów, pod przykryciem których ostrożnie lecz dokładnie badałem cały apartament, zajęty pozornie konwersacyą mego gospodarza.

— Szczególniejszą uwagę zwróciłem na wielkie biurko, przy którem siedział, a na którem leżały w nieładzie różne listy i papiery z instrumentami muzycznymi i książkami. Tu atoli po długiem i bardzo starannem szukaniu nie ujrzałem nic podejrzanego.

— W końcu oczy moje, biegnąc wokół pokoju, padły na kartonowe pudło do biletów wizytowych zawieszone na brudnej wstążce niebieskiej w środku kominka, w tem pudle, mającem trzy lub cztery przedziałki, było kilka biletów i jeden list, mocno pogięty i poplamiony. Był on przedarty niemal napoły przez środek, jak gdyby zamiar podarcia go jako bezwartościowego został zaniechany. Na liście była wielka czarna pieczęć z literą D. bardzo wyraźną, zresztą był on zaadresowany drobną ręką kobiecą do samego ministra. Tkwił on niedbale w jednej z górnych przegródek.

— Jak tylko oko moje padło na ten list, byłem pewny, że to ten, którego właśnie szukałem. Co prawda, był radykalnie różny od tego, którego drobiazgowy opis Prefekt nam odczytał. Tu pieczęć była wielka i czarna z literą D.; tam była mała i czerwona z książęcym herbem rodziny S. Tu adres do ministra był mały, kobiecą ręką napisany, tam adres pewnej królewskiej osobistości był wyraźnie śmiały i wielki, jedynie wielkość się zgadzała. Ale *radykalność* różnic, tak nadzwyczajna. powalanie i podarcie papieru, tak niezgodne ze

zwyczajami ministra, i tak wyglądające na chęć wmówienia w patrzącego, że nie ma wartości; te rzeczy razem z rzucającem się w oczy umieszczeniem dokumentu, tak zgodnem z memi konkluzyami, mocno popierały podejrzenie w tym, co przyszedł w zamiarze podejrzywania.

Przedłużałem swą wizytę jak mogłem najdłużej, i podczas najbardziej ożywionej dyskusyi z ministrem o przedmiocie, który go zawsze interesował, obserwowałem nieustannie list, i zapisałem sobie w pamięci jego zewnętrzne wejrzenie i pozycyę w pudle; w końcu uczyniłem odkrycie, które rozwiało wszelkie wątpliwości, jakie mogłem jeszcze żywić. Badając brzegi listu spostrzegłem, że były więcej podrapane, niż potrzeba. Przedstawiły taki widok, jak sztywny papier, który złożony raz zostanie rozwinięty i złożony na drugą stronę w te same składy. To odkrycie wystarczało. Było dla mnie rzeczą jasną, że list został wywrócony jak rękawiczka, złożony i zapieczętowany. Pożegnałem ministra i wyszedłem, zostawiając na stole złotą tabakierkę.

»Na drugi dzień przyszedłem po tabakierkę, i wtedy podjęliśmy dalszy ciąg wczorajszej konwersacyi. W trakcie rozmowy dał się słyszeć strzał jakby pistoletu i to bezpośrednio pod oknami pałacu, poczem nastąpiły straszne krzyki przerażonego tłumu. D. skoczył ku oknu, otworzył je i wyjrzał. Ja tymczasem podszedłem do pudełka

z biletami, wziąłem list, włożyłem go w kieszeń, i zastąpiłem go przez *facsimile* (o ile odnosi się to do zewnętrznego wejrzenia), które przygotowałem starannie — naśladując łatwo literę D. za pomocą pieczątki z chleba.

»Zamieszanie na ulicy zostało wywołane szalonem zachowaniem się mężczyzny z muszkietem, który zaczął strzelać w kobiety i dzieci. Ponieważ muszkiet nie był nabity kulą, przeto strzelającego puszczono wolno jako waryata albo pijaka. Kiedy sobie poszedł, D. wrócił od okna, dokąd pospieszyłem natychmiast po zrobieniu swego. Wkrótce potem pożegnałem go. Mniemany obłąkaniec był przezemnie zapłacony.

— Ale jakiż cel miałeś pan w zastąpieniu listu przez *facsimile*? — spytałem.

— D. — —, — odparł Dupin — jest energicznym człowiekiem. Pałac nie wolny też jest od powolnej mu służby. Gdybym uczynił, jak pan proponujesz, nie wyszedłbym z pałacu żywy. Dobrzy Paryżanie byliby o mnie już więcej nigdy nie słyszeli. Ale niezależnie od tego miałem jeszcze inny cel na oku. Znasz pan moje polityczne sympatye. W tej sprawie działałem jako stronnik interesowanej damy. Przez ośmnaście miesięcy minister miał ją w swojej mocy. Teraz atoli ona ma go w swojej — bo nie wiedząc, że list już nie jest w jego posiadaniu, będzie brnął dalej w przekonaniu, że go ma. W ten sposób sprowadzi nieuniknienie swój poli-

tyczny upadek, który niemniej będzie gwałtowny, jak niezgrabny. Łatwo mówić o *facilis descensus Averni,* ale we wszystkich gatunkach drapania się, jak Catałani powiedział o śpiewie, łatwiej wyleść niż zejść. W danym wypadku nie sympatyzuję z tym, który zejdzie. On jest tem *monstrum horrendum,* którego myśli chciałbym znać w chwili, gdy wyzwany do boju przez stronę interesowaną zajrzy do zostawionego mu przezemnie listu.

— Jakto? Czyżeś pan napisał co szczególnego?

— Nie zdawało mi się rzeczą właściwą zostawiać wnętrze *in blanco,* to by było ubliżeniem.

»D.— — podstawił mi raz nogę w Wiedniu, co przyrzekłem mu pamiętać. Ponieważ wiedziałem, że zapragnie znać człowieka, który go wywiódł w pole, dałem mu wskazówkę. Zna on dobrze moje pismo, toteż przepisałem na środku arkusza słowa:

»*Un dessein si funeste*
S'il n'est digne d'altrée est digne de Thyeste«.

Można te słowa znaleść w Crébillon'a, Atrée.«

W SPRAWIE WYPADKU PANA VALDEMARA.

Wcale oczywiście nie uważam za rzecz dziwną, że nadzwyczajny wypadek p. Valdemara dał pole do dyskusyi. Dziwniej byłoby gdyby się tak nie stało, zwłaszcza wśród szczególnych okoliczności. Wskutek dążności ze strony wszystkich interesowanych do ukrycia sprawy przed ogółem, przynajmniej na razie, albo nim nie zyskamy nowej sposobności do dalszych badań — wskutek naszych usiłowań osiągnięcia tego — przekręcone i przesadzone przedstawienie rzeczy rozeszło się wśród ludzi i dało powód do wielu niemiłych przekręceń, jakoteż do silnej bardzo niewiary.

Obecnie stało się rzeczą potrzebną podanie faktów, o tyle o ile sam je rozumiem. Rzecz w krótkości tak się przedstawia:

W ciągu ostatnich trzech lat zajmowałem się kilkakrotnie mesmeryzmem; dziewięć miesięcy temu przyszło mi nagle na myśl, że w seryi doświadczeń, do tej pory wykonanych, istniała osobliwa i niewytłumaczona luka: — nikt nie był jeszcze mesmeryzowany *in articulo mortis*. Należało więc zobaczyć, po pierwsze, czy w takich warunkach,

pacient zdradzał wogóle wrażliwość na wpływy magnetyczne; po drugie, jeżeli wrażliwość istniała, to czy zmniejszona lub zwiększona; po trzecie, do jakiego stopnia, albo też na jak długi przeciąg czasu możnaby zatrzymać w ten sposób postęp śmierci. Należało jeszcze zbadać inne punkty, ale te najbardziej podniecały moją ciekawość — szczególniej ostatni, a to z powodu ogromnej ich doniosłości.

Szukając dokoła medium, za pomocą którego mógłbym sprawdzić te szczegóły, zacząłem myśleć o swym przyjacielu, p. Erneście Valdemarze, znanym dobrze kompilatorze dzieła »Bibliotheca Forensica«, jakoteż autorze (pod *nom de plume* »Issachara Marxa«) polskich wersyi »Wallensteina« i »Gargantuy«. Pan Valdemar, który od r. 1839 głównie mieszkał w Harlem, (stan New York) odznaczał się ogromną szczupłością — nogi podobne były do nóg Johna Randolpha; znany był też z jasnych bokobrodów, odbijających od czarnych włosów — które też często uważano za perukę. Posiadał on wybitnie nerwowy temperament, czyniący z niego dobry przedmiot mesmerycznych eksperymentów. Kilkakrotnie uśpiłem go bez wielkich trudności, lecz zawiodłem się w innych wynikach, których oczywiście spodziewałem się po jego osobliwej konstytucyi. Wola jego nigdy pozytywnie i całkowicie nie podlegała mej kontroli, a co się tycze jasnowidzenia *(clair voyance)*, nie mogłem

mu w niczem ufać. Niepowodzenie swoje na tych punktach przypisywałem zawsze złemu stanowi jego zdrowia. Na kilka miesięcy przed naszem poznaniem się lekarz rozpoznał u niego suchoty. Zwykł był mówić spokojnie o zbliżającej się śmierci, jako o rzeczy, której nie można było uniknąć, a nie należało żałować.

Gdy idee, o których wspomniałem wyżej przyszły mi do głowy, zaraz pomyślałem sobie o panu Valdemarze. Za dobrze znałem jego stałość filozoficzną, aby obawiać się jakichś skrupułów z jego strony; nie miał zaś w Ameryce krewnych, któryby mogli protestować. Rozmówiłem się z nim całkiem otwarcie, i spotrzegłem ku memu zdziwieniu, że się sam sprawą przejął. Powiadam, że zdziwiłem się; bo chociaż zawsze poddawał się chętnie moim doświadczeniom, nigdy przedtem nie interesował się tem, co robiłem. Choroba jego była tego rodzaju, że można było dokładnie obliczyć, kiedy musiała nastąpić śmierć; toteż postanowiliśmy pomiędzy sobą, że poszle po mnie na dwadzieścia cztery godziny przed czasem naznaczonym mu przez lekarza na zgon.

Obecnie upłynęło nieco nad siedm miesięcy od dnia, w którym otrzymałem od p. Valdemara taki list.

Mój Drogi P—!

»Musisz przyjść *obecnie*. D. — i Fr. — zgodzili się na to, że nie przeżyję jutrzejszej północy: zdaje mi się, że się nie mylą. *Valdemar*«.

Otrzymałem list w pół godziny po jego napisaniu, a w pietnaście minut potem byłem już w izbie umierającego. Nie widziałem go dziesięć dni, to też przełąkłem się strasznej zmiany, jaka w nim zaszła przez tak krótki czas. Twarz miała ołowianą cerę; oczy były bez połysku; a tak wychudł, że kości policzkowe wystawały niemal z pod skóry. Ekspektoracya była obfita. Puls ledwie dał się wyczuć. Mimoto zachował w bardzo osobliwy sposób zarówno władze umysłowe, jak i pewien stopień siły fizycznej. Mówił wyraźnie — zażył jakieś środki łagodzące bez pomocy — a gdy wszedłem do izby, zajęty był spisywaniem jakichś notatek. Siedział na łóżku podparty poduszkami. Doktorzy D.—, F. — byli obecni.

Uścisnąwszy Valdemara za rękę odprowadziłem tych panów na bok i otrzymałem od nich drobiazgowy opis stanu pacyenta. Lewe płuco było od ośmiu miesięcy w połowicznym stanie skostnienia czy schrząstkowacenia i straciło dla życia wszelkie znaczenie. Prawe zaś było też częściowo skostniałe, podczas gdy dolna okolica przedstawiała jeno masę ropnych tuberkułów, zlewających się ze sobą. Istniało też kilka rozległych perforacyi, a w jednem miejscu wytworzył się stały przyrost do żeber. Zjawiska te w prawym płacie były względnie świeżej daty. Kostnienie czyniło niezwykle szybkie postępy; ani śladu nie można było odkryć przed miesiącem, a przyrost powstał w ciągu osta-

tnich trzech dni. Niezależnie od suchot podejrzywano pacyenta o anewryzm aorty; lecz objawy ossyfikacyi nie pozwalały przeprowadzić dokładnej diagnozy. Obaj lekarze zaopiniowali, że p. Valdemar umrze kolo północy następnego dnia (Niedziela). A była to siódma w sobotę wieczorem.

Opuszczając łoże chorego dla odbycia ze mną konferencyi, lekarze D. — i F. — pożegnali się z nim po raz ostatni. Nie mieli wcale zamiaru powracać: ale na moją prośbę zgodzili się odwiedzić pacyenta o dziesiątej następnego wieczora.

Gdy sobie wreszcie poszli, rozmówiłem się otwarcie z p. Valdemarem na temat jego zbliżającego się zgonu, jakoteż (i to szczegółowo) o zamierzonem doświadczeniu. On znowu oświadczył zupełną gotowość a nawet chęć jego dokonania i zachęcał mnie do natychmiastowego zaczęcia. Dwoje służących pielęgnowało chorego; ale ja nie czułem się wcale skłonny do podjęcia takiego zadania pod nieobecność więcej zaufanych świadków, niż tych dwoje mogłoby się w danym razie okazać. Toteż odsunąłem operacyę aż do ósmej następnego dnia, kiedy przybycie studenta medycyny, z którym znałem się nieco (był to Teodor L—l), wybawiło mnie od dalszego kłopotu. Pierwotnie było moim zamiarem czekać na lekarzy; ale do natychmiastowego podjęcia skłoniło mnie z jednej strony naleganie p. Valdemara, a z drugiej przekonanie, że

nie mam ani chwili do stracenia, bo wyraźnie zapadał szybko.

Pan L—l przychlił się do mego życzenia, notowania wszystkiego, co się dziać będzie: i oto z jego to notatek obecne opowiadanie zostało streszczone lub podane *verbatim*.

Brakowało zaledwie pięć minut do ósmej, gdy biorąc pacyenta za rękę poprosiłem go o stwierdzenie jak mógł najwyraźniej wobec p. L—l, że on (p. Valdemar) jest całkiem gotów poddać się doświadczeniu mesmeryzowania go w jego stanie.

Odpowiedział słabo ale wyraźnie — »Tak, życzę sobie być mesmeryzowanym« — i dodał, bezpośrednio potem, — »boję się, że odsunąłeś pan rzecz za daleko.«

Gdy tak mówił, zacząłem pociągnięcia, które pokonywały go najprędzej. Pierwsze uderzenie boczne wywarło na niego wyraźny skutek (poprowadziłem je w poprzek czoła); ale chociaż użyłem wszystkich sił nie mogłem wywołać żadnego dalszego widocznego rezultatu aż dopiero w kilka minut po dziesiątej, gdy doktorowie D.— i F.— zjawili się stosownie do umowy. Wyjaśniłem im w kilku słowach mój zamiar, a gdy oni się wcale nie sprzeciwiali, mówiąc, że pacyent znajduje się już w śmiertelnej agonii, przystąpiłem do rzeczy bez wahania — zamieniając atoli, boczne pociągnięcia na dolne i wlepiając mój wzrok całkowicie w prawe oko cierpiącego.

W tym czasie puls jego był ledwie wyczuwalny a oddech chrapliwy i w odstępach pólminutowych.

Stan prawie się nie zmienił przez kwadrans cały. Po upływie tego czasu, atoli, naturalne chociaż bardzo głębokie westchnienie wyszło z piersi umierającego, a chrapliwy oddech ustał — to jest chrapliwość już całkiem zniknęła; odstępy nie zmniejszyły się. Kończyny pacyenta były lodowo zimne.

Na pięć minut przed jedenastą zauważyłem nieomylne objawy mesmerycznego wpływu. Szklane białko oka przybrało ten wyraz niespokojnego wewnętrznego badania siebie, które widzi się tylko w śnie hypnotycznym, i co do którego pomyłka jest niemożliwa. Przez kilka szybkich pociągnięć bocznych wprawiłem powieki w drżenie, jak w poczynającym się śnie, a przez kilka innych zamknąłem je zupełnie. Nie zadowoliłem się tem atoli, lecz prowadziłem dalej moje manipulacye energicznie, i z całym wysiłkiem woli, aż członki śpiącego calkiem zesztywniały w nadanej im łatwej pozycyi. Nogi były wyciągnięte, tak samo prawie ramiona, spoczywające na łóżku w niejakiej odległości od bioder. Głowę uniosłem nieco.

Gdym tego dokonał wybiła północ, i wtedy poprosiłem obecnych panów o zbadanie stanu pana Valdemara. Po kilku doświadczeniach oznajmili, że znajduje się w niezwykle doskonałym stanie snu mesmerycznego. Ciekawość obydwóch lekarzy była mocno podniecona. Dr. D. — postanowił natych-

miast zostać u pacyenta całą noc, Dr. F. — pożegnał się i przyrzekł wrócić o świcie. Pan L—l i służba zostali.

Zostawiliśmy p. Valdemara w spokoju aż do trzeciej rano, kiedy to zbliżyłem się ku niemu i znalazłem w dokładnie tym samym stanie w jakim go dr. F. — opuścił — to znaczy, że leżał w tej samej pozycyi; puls był niewyczuwalny; oddech słaby, zaledwie można było go skonstatować zapomocą lusterka; oczy były zamknięte naturalnie, a członki były sztywne i zimne jak marmur. Mimo to ogólne wejrzenie nie zdradzało zaiste śmierci.

Zbliżając się do p. Valdemara uczyniłem rodzaj wysiłku dla zniewolenia jego prawego ramienia do posuwania się za mojem, które przesuwałem łagodnie ponad jego ciałem. W takich doświadczeniach nigdy poprzednio nie miałem z pacyentem zupełnego powodzenia, i nie myślałem, aby mi się rzecz teraz udała; ale ku memu zdziwieniu ramię jego chętnie choć słabo szło w każdym kierunku jaki mu naznaczyłem. Postanowiłem zaryzykować kilka słów rozmowy.

— Panie Valdemar — spytałem — czy pan śpi?

Nie dał odpowiedzi, lecz zauważyłem drżenie w okolicy ust, co mnie skłoniło do powtórzenia pytania kilkakrotnie. Za trzecim razem całe ciało zadrżało lekko; powieki rozwarły się same tak, że było widać nieco białka; usta poruszały się leniwo,

a z pośród nich, zaledwie dosłyszalnym szeptem, wyszły słowa:

— Tak; — śpię teraz. Nie budź mnie! — pozwól mi umrzeć w ten sposób.

W tej chwili pomacałem członki, które zupełnie były sztywne. Prawe ramię, jak poprzednio słuchało kierunku mej dłoni. Spytałem śpiącego znowu:

— Czy pan czujesz ciągle jeszcze ból w piersiach, p. Valdemar?

Teraz odpowiedź nastąpiła natychmiast, ale jeszcze słabsza niż poprzednio:

— Żadnego bólu — umieram.

Nie uważałem za stosowne niepokoić go jeszcze dalej w tej chwili, i nic nie mówiliśmy, nic nie czyniliśmy, póki nie zjawił się Dr. F. —, który nadszedł nieco przed wschodem słońca, i wyraził nieograniczone zdziwienie znajdując pacyenta żywym. Po wymacaniu pulsu i zastosowaniu lusterka prosił mnie o przemówienie do śpiącego powtórnie. Uczyniłem to, mówiąc:

— Panie Valdemar, czy pan ciągle jeszcze śpi?

Jak poprzednio kilka chwil upłynęło nim nastąpiła odpowiedź; w przerwie umierający zdawał się zbierać siły. Przy czwartem powtórzeniu pytania, powiedział bardzo słabo, niemal, że niesłyszalnie:

— Tak, ciągle jeszcze śpię — umieram.

Teraz według zdania lekarzy należało zostawić p. Valdemara spokojnie w obecnym pozornie spo-

kojnym stanie, aż by śmierć nastąpiła; na to według ogolnej zgody nie trzeba było czekać dłużej nad kilka minut. Postanowiłem atoli przemówić do niego raz jeszcze i powtórzyłem tylko pierwotne pytanie.

Gdy mówiłem, wyraźna zmiana wystąpiła na twarzy śpiącego. Oczy rozwarły się zwolna, a źrenice zniknęły w górze; cała skóra przybrała trupie zabarwienie nie tyle podobne do pergaminu co do białego papieru; a koliste plamy hektyczne, wyraźne do tej pory na środku policzków, *zgasły* natychmiast. Używam tego wyrażenia, gdyż chyżość ich zniknięcia przypomniała mi zupełnie zdmuchnięcie świecy. Górna warga odsłoniła równocześnie zęby, które pokrywała zupełnie; dolna szczęka opadła gwałtownie zostawiając rozwarte szeroko usta, i odsłaniając nabrzmiały, zczerniały język. Zdaje mi się, że żaden z obecnych nie był nieprzywykły do widoku śmierci spokojnej; ale wejrzenie p. Valdemara było tak niewypowiedzianie straszne, że nastąpiło ogólne cofnięcie się od łóżka.

Czuję, że doszedłem do tego punktu opowiadania, przy którym każdy czytelnik poczuje się skłonnym do niewiary. Ale zadaniem mojem jest ciągnąć rzecz dalej.

Pan Valdemar nie zdradzał najsłabszych śladów żywotności, uważając go za zmarłego, chcieliśmy go powierzyć opiece służby, gdy język zdradzał silne drżenie, trwające może minutę. Po tym czasie

wyszedł z pomiędzy rozwartych i nieruchomych szczęk głos, — który chcieć opisać byłoby szaleństwem. Są dwa lub trzy epitety, które możnaby zastosować do niego częściowo; mógłbym naprzykład powiedzieć, że dźwięk był szorstki, złamany i pusty; ale przerażającej całości opisać niepodobna, z tej prostej przyczyny, że nie ma jej z czem porównać. Były atoli dwa szczegóły, które jak mi się wtedy zdawało i jak mi się teraz zdaje, możnaby skonstatować jako cechy określające tę nieziemską właściwość głosu. Po pierwsze głos zdawał się dochodzić z wielkiej odległości albo z jakiejś jaskini gdzieś głęboko w ziemi. Po drugie zaś, zrobił na mnie takie wrażenie (boję się, że nie zdołam tłómaczyć się jasno) jakie czynią na dotyk ciała żelatynowe i klejowate.

Mówiłem zarówno o »dźwięku« jak o »głosie«. Rozumiem przez to, że dźwięk posiadał zdumiewająco wyraźne sylaby. Pan Valdemar *mówił* — wyraźnie w odpowiedzi na pytanie postawione mu przezemnie przed kilku minutami. Wreszcie przemówił:

— Tak; — nie; — *spałem* — a teraz — teraz — *już nie żyję.*

Nikt z obecnych nie usiłował zaprzeczyć lub pokonać niewypowiedziane przerażenie, które tych kilka słów wywołało.

Pan L — l (student) zemdlał. Służba natychmiast opuściła pokój i nie chciała absolutnie powrócić.

Nie usiluję wyjaśnić czytelnikowi mego własnego wrażenia. Blisko przez godzinę usiłowaliśmy w milczeniu ocucić pana L — l. Gdy wreszcie przyszedł do siebie, znowu zwróciliśmy się do zbadania stanu p. Valdemara.

Był on taki pod każdym względem jak go ostatnio opisałem z wyjątkiem, że lustro nie zdradzało więcej już objawów respiracji. Próba puszczenia krwi nie udała się. Należy też wspomnieć, że zdumienie podlegało już mei woli Jedynym dowodem wpływu mesmerycznego było drzenie języka, ilekroć razy skierowałem do spiącego pytanie. Zdawał się usiłować odpowiedzieć, ale nie miał dosyć siły. Na pytania, stawiane mu przez innych był całkiem nie wrażliwy — chociaż starałem się każdego obecnego wprowadzić w mesmeryczny z nim stosunek. Zdaje mi się, że teraz opowiedziałem już to wszystko, co jest potrzebne do zrozumienia stanu p. Valdemara w tej epoce. Inna służba została najęta; o dziesiątej opuszczalem dom w towarzystwie dwóch lekarzy i pana L — l.

Po południu przyszliśmy znowu wszyscy dla zobaczenia pacjenta. Stan jego był dokładnie ten sam. Rozprawialiśmy teraz nieco, o możności i potrzebie obudzenia go; przyszliśmy do przekonania, że nie przyniesiemy mu w ten sposób żadnej przysługi. Było to rzeczą jasną, że jak dotąd, to śmierć (albo to co śmiercią nazywamy) została

powstrzymana przez proces mesmeryczny. Zdawalo się, że obudzenie p. Valdemara równalo się sprowadzeniu natychmiastowej lub szybkiej śmierci.

Od tego czasu, aż pod koniec ostatniego tygodnia — *przeciąg to blisko siedmiu miesięcy* — odwiedzaliśmy p. Valdemara co dzień bez przerwy, czasami nawet w towarzystwie lekarzy lub innych znajomych. Cały ten czas spiący pozostawał w dokładnie tym samym stanie, służba nie odstępowała go.

Wreszcie zeszłego piątku postanowiliśmy zbudzić go, lub usiłować zbudzić go; może tylko niefortunny wynik tego usiłowania dał powód do tylu rozpraw prywatnych — do tego, co muszę nazwać nieuzasadnionym popolarnym sentymentem.

W celu uwolnienia p. Valdemara od snu mesmerycznego użyłem zwyczajnych pociągnięć, które z początku nie wywierały skutku. Pierwszym objawem odżycia bylo częściowe obsunięcie się tęczówki. Zauważyliśmy jako rzecz szczególniej osobliwą, że obniżeniu się tęczówki towarzyszył obfity wypływ żółtawego płynu z pod powiek woni przykrej i bardzo ostrej.

Zaproponowano mi próbę z ramieniem pacjenta. Próba nie udała się. Dr. F.— poddał więc myśl postawienia pytania.

— Panie Valdemar, — spytałem, — czy możesz nam wyjaśnić swoje obecne uczucie lub życzenie?

Hektyczne krążki powróciły na policzki i język zadrżał, albo raczej zaczął ruszać się gwałtownie w jamie ust (chociaż szczęki i wargi zostały nieruchome jak poprzednio; w końcu usłyszeliśmy ten sam straszny głos, który poprzednio opisałem:

— Na miłość Boską! — prędko! — prędko! - uspij mnie — albo, prędko — obudź mnie, — spiesz się! — *powiadam ci, że nie żyję!*

Przez chwilę pomięszania nie widziałem co robić. Naprzód zrobiłem wysiłek w celu uspokojenia pacjenta, ale gdy z braku woli to mi się nie udało, starałem się obudzić go. Wkrótce spostrzegłem, że mi się to uda — albo zdawało mi się przynajmniej, że powodzenie moje będzie kompletne; wszyscy obecnie spodziewali się, że pacjent obudzi się.

Ale nikt nie mógł być przygotowany na to, co istotnie nastąpiło.

Gdym robił szybkie mesmeryczne pociągnięcia wśród wykrzyków — nieżywy! nieżywy! — całe jego ciało w ciągu minuty nagle ściągnęło się, — rozsypało — poprostu zgniło pod memi rękami. Na łóżku przed oczami obecnych, leżała masa prawie płynnej odrażającej zgnilizny.

ZEJŚCIE w MAELSTRÖM.

Weszliśmy na szczyt najwynioślejszej skały. Przez kilka minut staruszek był za nadto wyczerpany, aby módz mówić.

— Nie dawno temu, — odezwał się w końcu, — mógłbym był pana poprowadzić tą rutą równie dobrze jak najmlodszy z mych synów; ale prawie trzy lata temu zdarzył mi się taki wypadek, jaki się przed tem nie zdarzył żadnemu śmiertelnikowi — albo przynajmniej taki, jakiego nikt nie przeżył, — a sześć podzin śmiertelnego strachu, jakiego wtedy doświadczyłem złamały mnie na duszy i ciele. Przypuszczasz pan, że jestem *bardzo* stary, — ale tak nie jest. Mniej niż jeden dzień czasu zmienił te krucze włosy w siwiznę, osłabił me członki i tak mnie zdenerwował, że drżę przy najlżejszym wysiłku i obawiam się cienia. Czy pan uwierzy; że nie mogę prawie patrzeć poza tę małę skałę bez uczucia zawrotu?

Ta — »mała skała«, — na krawędzi, której ułożył się niedbale na spoczynek tak, że cięższa część ciała zwisała w dół, gdy on opierał się

jedynie łokciem na zewnętrznej, oślizłej krawędzi ta — »mała skała« wznosiła się w postaci prostopadłej czarnej błyszczącej skały na jakie tysiąc pięćset stóp, ze świata skał pod naszemi stopami. Nic by mnie nie skusiło na pół tuzina yardów od brzegu. Prawdę mówiąc, tak mocno byłem wzruszony niebezpiecznem położeniem mego towarzysza, że upadłem na ziemię jak długi, chwyciłem się najbliższych krzaków i nawet nie śmiałem podnieść oczu ku niebu, równocześnie usiłowałem uwolnić się od myśli, że szalony wicher zagraża wprost fundamentom skały. Wiele czasu upłynęło zanim wyrozumowałem sobie nieco odwagi, zanim mogłem usiąść i spojrzeć w dal.

— Musisz pan pokonać te fantazje — powiedział przewodnik, gdyż ja pana poto tu przyprowadziłem, abyś pan uzyskał najlepszy widok sceny tego wypadku, o którym wspomniałem — i aby opowiedzieć panu całą historję, że tak się wyrażę ilustrowaną.

— Znajdujemy się teraz, — ciągnął we właściwy sobie sposób, — blisko brzegów Norwegii na sześćdziesiątym ósmym stopniu szerokości w wielkiej prowincji Norlandu — w ponurym dystrykcie Lofoden. Góra, na której szczycie siedzimy, to Helseggen, Chmura. Teraz podnieś się pan nieco wyżej — trzymaj się pan trawy, jeżeli doznajesz zawrotu — tak — i patrz po za pas mgły pod nami ku morzu.

Patrzyłem i widziałem wielką przestrzeń oceanu, którego wody miały odcień tak atramentowy, że w tej chwili przypomniał mi się opis simbijskiego geografa o *Mare Tenebrarum*. Żadna wyobraźnia ludzka nie jest w stanie pojąć bardziej opłakanej panoramy. Na prawo i na lewo, jak daleko oko mogło zasięgnąć, rozciągały się jakby okopy świata, linje strasznie czarnych i zwisających skał, których ponurość podnosiły spienione fale, wznoszące wysoko swe białe grzbiety, ryczące i piszczące bez ustanku. Na przeciwko przylądka, na którego szczycie siedzieliśmy, w odległości pięciu do sześciu mil na morzu, widniała mała, pusta wysepka; ściślej mówiąc położenie jej oznaczały otaczające ją zewsząd wściekłe fale. Na dwie mile blisko ku lądowi wznosiła się długa jeszcze mniejsza, przerażliwie skalista i pusta, otoczona w różnych odstępach grupami ciasnych skał.

Wejrzenie oceanu pomiędzy bardziej odległą wyspą, a oceanem miało w sobie coś bardzo niezwykłego. Chociaż wtedy dął ku lądowi tak silny wicher, że jakiś okręt na pełnem morzu zanurzał się ustawicznie ginąć z oczu, to jednak nie było widać regularnego wzburzenia, lecz tylko krótkie, szybkie kołyszące się ruchy wody we wszystkich kierunkach, tak dobrze pod wiatr jak i przeciwnie. Piany było mało chyba w bezpośredniem sąsiedztwie skały.

— Odległą wyspę, — ciągnął starzec, — nazy-

wają Norwegczycy Vurrgh. Ta druga to Moskoe. Ta na milę ku północy to Cimbaarem. Reszta zaś to Islesen, Hotholm, Keidlhelm, Suarvem i Buckholm. Jeszcze dalej — pomiędzy Moskoe i Vurrgh leżą Otterholm, Flimen, Sandflesen i Stockholm. Oto są prawdziwe nazwy miejsc — ale dla czego uznano za stosowne nazywać je wogóle nie wiem. Słyszysz pan cokolwiek? Czy pan widzisz jaką zmianę we wodzie?

Znajdowaliśmy się blisko dziesięć minut na szczycie Helseggen, na który weszliśmy z wnętrza Lofoden tak, że nie widzieliśmy wcale morza, aż póki nie znaleźliśmy się na wierzchołku. Gdy staruszek mówił zauważyłem głośny i stopniowo wzrastający dźwięk podobny do ryku olbrzymiego stada bawołów na amerykańskiej prerji; w tejże samej chwili spostrzegłem, że woda przybiera szybko kierunek ku wschodowi. Prąd w oczach nabierał potwornej chyżości. Każda chwila pomnażała szybkość. W pięć minut całe morze aż do Vurrgh wpadło w niepohamowany szał, lecz główny warchoł szumiał pomiędzy Moskoe, a brzegiem. Tu olbrzymie łożysko wód zmiażdżonc i poorane tysiącami przecinających się kanałów, wpadło nagle w opętane konwulsje — wznosząc się, gotując, sycząc, — kręcąc się w niezliczonych olbrzymich wirach. Kołując i pomykając ku wschodowi z szybkością, jakiej woda nigdy nie osięga, chyba zlewając się w przepaść.

W kilka minut scena uległa radykalnej przemianie. Ogólnie powierzchnia wygładziła się nieco, a wiry zniknęły jeden po drugim, podczas gdy dziwne smugi piany pojawiły się tam, gdzie ich nie bylo widać poprzednio. Smugi te w końcu rozlewając się na znacznej przestrzeni i tworząc różne kombinacje, przejęły wirujący ruch znikających lejków wodnych i dały początek nowemu większemu jeszcze. Nagle — bardzo nagle powstał ten nowy wir wśród koła, mającego milę w średnicy Krawędź wiru tworzył szeroki pas błyszczącej i rozpryskującej się wody, — której ani kropla nie padła w otwór strasznego lejka, bo wnętrze jego, o ile oko mogło dojrzeć, było gładkie, połyskujące, dżetowo czarne, pochylone do horyzontu pod kątem jakichś czterdziestu pięciu stopni i wirowało zapamiętale posyłając na wolę wiarów przerażający głos, na wpół pisk, na wpół ryk, jakiego nawet Niagara nigdy nie wyrzuca pod niebo.

Góra drżała aż do samej podstawy, a skała chwiała się. Upadłem na twarz i chwyciłem się lichej trawki w nadmiarze wzburzenia.

— To, — powiedziałem w końcu do staruszka — nie może być nic innego jak olbrzymi wir Maelströmu.«

— Tak go istotnie czasami nazywają, — odparł — My Norwegczycy nazywamy go Moskoe-Ström, od wyspy Moskoe leżącej w pośrodku.

Zwykłe opisy wiru wcale nie przygotowały mnie na to, co spostrzegłem. Opis Jonasa Ramusa, najlepszy może ze wszystkich, nie może dać najsłabszego pojęcia o wspaniałości lub wielkości zjawiska — lub też o zdumiewającem poczuciu *nowości,* jakie ogarnia widza. Nie wiem skąd Ramus patrzył na wir, albo też w jakim czasie; ale nie mógł to być szczyt Helseggen, zwłaszcza podczas burzy. Mimo to są ustępy jego opisu, które można przytoczyć dla szczegółów, chociaż czynią one wrażenie ogromnie słabe w porównaniu ze zjawiskiem samem.

— Pomiędzy Lofoden i Moskoe, — powiada Ramus, — woda dosięga trzydzieści-pięć do czterdziestu sążni; ale z drugiej strony ku Ver (Vurrgh) głębia tak się zmniejsza, że nie pozwala przepłynąć wygodnie okrętowi bez niebezpieczeństwa rozbicia się o skały, co zdarza się nawet podczas najspokojniejszej pogody. W czasie przypływu prąd rwie się ku lądowi pomiędzy Lofoden i Moskoe z młodzieńczą chyżością, lecz ryk impetycznego odpływu ku morzu zaledwie znajduje sobie podobny u najgłośniejszych i najstraszniejszych wodospadów — bo szum słychać na kilka mil, a wiry takiej są głębokości, że gdy okręt zbliży się ku nim musi być nieuchronnie pochłonięty i porwany na dno, rozmiażdżony o skały, a kiedy woda się uspokoi fragmenty jego pojawiają się spokojnie na powierzchni. Te okresy spokoju panują tylko po-

między przypływem, a odpływem podczas ciszy, trwając tylko kwadrans, poczem gwałtowność ich zwolna znikała. Kiedy prąd jest najsilniejszy a szał jego podniesiony burzą, niebezpiecznie jest zbliżyć się do Norwegii na milę od prądu. Łodzie, yachty i okręty zostały porwane przezeń, gdy się go nie zdołały ustrzedz. Zdarza się także, iż wieloryby podpłyną do prądu, który pochłania je, a wtedy niepodobna opisać ich ryku i wycia, wśród którego starają się wydostać z wiru. Pewnego razu niedźwiedź usiłując przepłynąć z Lofoden do Moskoe, został porwany przez prąd i uniesiony; tak biedak ryczał, że go było słychać na brzegu. Ogromne ilości świerków i sosen pochłoniętych przez prąd wypływają tak połamane i poszarpane, jak gdyby szczeć na nich porosła. To jasno dowodzi, że spód musi się składać z poszarpanych skał, wśród których owe drzewa przejść muszą. Prąd reguluje się według przypływu i odpływu morza. W roku 1645 wczesnym rankiem w niedzielę zwaną Sexagesima, morze tak gwałtownie szalało, że domy kamienne na brzegu rozwaliły się.«

Co się tycze głębokości wody, to nie rozumiem jak można ją zmierzyć w sąsiedztwie wiru. »Czterdzieści sążni« odnosi się zapewne do części kanału tuż przy brzegach Lofoden lub Moskoe. Głębokość na środku Moskoe-Ström musi być nieskończenie większa; i nie trzeba na to lepszego

dowodu jak ten, którego dostarcza spojrzenie w środek wiru z wierzchołka Helseggen. Patrząc ze szczytu na ten ryczący pod stopami Phlegeton, nie mogłem nie śmiać się z naiwności, z jaką Jonas Ramus zapisuje trudne do wiary anegdoty, o wielorybach i niedźwiedziach; zdawało mi się bowiem rzeczą zrozumiałą, że największy nawet okręt mógłby się tyle oprzeć prądowi co piórko huraganowi, to znaczy się musiałby ulec natychmiast.

Próby wyjaśnienia zjawiska, — z których kilka wydało mi się przy czytaniu możliwych — przedstawiały się obecnie bardzo niezadowalająco. Według powszechnie przyjętej tu opinji tak ten jak i trzy inne mniejsze wiry wśród wysp Ferroe »nie mają innej przyczyny, jak tylko kolizja fal podnoszących się i opadających na pasmo skał i ryk ograniczających wodę tak, że przewala się ona jak wodospad; czem wyżej fala się wznosi tem głębiej musi opaść, a naturalnym tego wynikiem jest wir, którego dziwna własność wsysania znana jest z mniejszych eksperymentów«. — Oto słowa «Encyklopedji Brytańskiej.« Kirchner wespół z innymi przypuszcza, że w środku kanału Maelström znajduje się otchłań, w głębi kuli ziemskiej uchodząca gdzieś daleko — w jednym wypadku jako ujście oznaczono zatokę Bothni'a. Opinia ta na niczem nie oparta wydawała się obecnie mej wyobraźni zupełnie nieuzasadniona; wspomniawszy o niej przewodnikowi, dowiedziałem się ze zdu-

mieniem, że jakkolwiek podzielano ją prawie powszechnie w Norwegii, on jej nie aprobował. Co do innych wyżej wymienionych pojęć, to tych nie mógł zrozumieć, na tym punkcie zgodziłem się z nim, — gdyż jakkolwiek rozstrzygające na papierze, stają się niezrozumiałe, a nawet wręcz bezsensowe wśród szumu i łoskotu przepaści.

— Teraz już eś się pan dobrze przyjrzal wirowi, rzekł staruszek, — a jeżeli poczołgasz się pan wokół tej skały, gdzie nam ryk wody nie będzie przeszkadzał, opowiem historję, która pana przekona, że powinienem coś wiedzieć o Maelströmie.

Uczyniłem zadość jego życzeniu, a on zaczął opowiadanie.

— Ja i dwaj moi bracia posiadaliśmy kiedyś łódź rybacką siedmdziesięciu ton objętości, na której zwykliśmy byli łowić pomiędzy wyspami poza Moskoe, w pobliżu Vurrgh. We wszystkich gwałtownych wirach na morzu łowi się dobrze ryby we właściwej porze, jeżeli się ma tylko dosyć odwagi, ale wśród wszystkich mieszkańców Lofoden my trzej byliśmy jedynymi, którzy zapuszczaliśmy się aż ku wyspom. Zwykłe miejsce połowu znajduje się o wiele niżej na południu. Tam można łowić ryby zawsze bez wielkiego ryzyka, i dlatego ludzie idą w te miejsca. Wyborowe atoli miejsca wśród tych oto skał nie tylko dają najlepsze gatunki, ale w znaczniejszej ilości, tak żeśmy częstokroć w jednym dniu mieli to, czego bojaźliwsi nie

mogli zgromadzić w tydzień. W istocie była to desperacka spekulacja — w której ryzyko życia zastępowało pracę, a zuchwalstwo kapitał.

— Trzymaliśmy łódź w zatoce pięć mil powyżej miejsca, w którem obecnie jesteśmy; w piękną pogodę korzystaliśmy z piętnastu minut ciszy, aby przepłynąć główny kanał Moskoe-Strömu powyżej wiru i zarzucić kotwicę, gdzieś blisko Otterholm albo Sandflesen, gdzie wiry nie są tak gwałtowne jak w innych miejscach. Tu czekaliśmy znowu na spokojny czas, kiedy to powtórnie podnieśliśmy kotwicę i puścili się do domu. Nigdyśmy nie wyruszali na tę ekspedycję bez stałego wiatru bocznego w obie strony — co do którego byliśmy pewni, że nie ustanie przed naszym powrotem i rzadko myliliśmy się na tym punkcie. Dwa razy w ciągu sześciu lat byliśmy zniewoleni pozostać całą noc na kotwicy z powodu zupełnej ciszy, która jest tutaj ogromną rzadkością; a raz musieliśmy pozostać blisko tydzień, ginąc z głodu, dzięki wichurze, która zerwała się wkrótce po naszem przybyciu i uniemożliwiła powrót przez kanał. Wtedy bylibyśmy zostali pomimo wszystko wyparci na morze (gdyż wiry ciskały nami wkoło tak gwałtownie, że kotwica się wyrwała) gdyby nie to, że wpadliśmy w labirynt krzyżujących się prądów, które zapędziły nas szczęśliwie do Flimen, gdzieśmy spoczęli.

Nie mógłbym opowiedzieć nawet dwudziestej

części trudów, jakieśmy napotkali, ale mimo to wyzywaliśmy zawsze do walki sam Moskoe-Ström bez wypadku, ; trwoga zdejmowała mnie ile razy znaleźliśmy się na minutę przed lub po ciszy. Czasami wiatr nie był tak silny, jak przypuszczaliśmy ruszając i wtedy posuwaliśmy się wolniej niż trzeba było, podczas gdy prąd nie pozwalał kierować łodzią. Najstarszy mój brat miał ośmnastoletniego syna, a ja miałem dwóch własnych tęgich chłopców. Ci by nam w takich razach mogli oddać wszelkie usługi, jakoteż i podczas samego połowu, lecz pomimo iż narażaliśmy się sami, nie mieliśmy serca ciągnąć młodzież w niebezpieczeństwo, — bo po wszystkiem co powiedziałem rozumiesz pan, że zawsze groziła nam śmierć.

»Blisko trzy lata temu zdarzyło się to, co mam obecnie opowiedzieć. Było to dziesiątego lipca 18,— którego ludzie tej części świata nigdy nie zapomną — ponieważ w dniu tym wiał najstraszliwszy huragan, jaki kiedykolwiek nieba zesłały a jednak cały ranek, a nawet późno popołudniu pociągał tylko łagodny, stały wietrzyk z południowego wschodu, tak że najstarsi żeglarze wśród nas nie mogli przewidzieć tego, co nastąpiło.

»Wszyscy trzej — dwaj moi bracia i ja — przepłynęliśmy ku wyspom około drugiej popołudniu i wkrótce naładowaliśmy łódź rybami, których jak zauważyliśmy, była w tym dniu większa obfitość, niżeli kiedykolwiek przedtem. Była właśnie

siódma na moim zagarku, gdyśmy podnieśli kotwicę i ruszyli do domu, tak aby najgorszą część strony przebyć podczas ciszy, która jak wiedzieliśmy miała wypaść na ósmą.

— Ruszyliśmy ze świeżym wiatrem i przemykaliśmy jakiś czas szybko nie myśląc o niebezpieczeństwie, którego nie mieliśmy racji obawiać się. Nagle wiatr z poza Helseggen cofnął nas wstecz. Była to rzecz niezwykła — to bowiem nigdy się nam poprzednio nie przytrafiło — dlatego też zacząłem czuć niepokój sam nie wiedząc dlaczego. Puściliśmy łódź na wolę wiatrów, ale nie mogliśmy posuwać się naprzód z powodu wirów i już myślałem zaproponować powrót do kotwicy, gdyśmy ujrzeli chmurkę, rosnącą z podziwu godną chyżością.

— Tymczasem wietrzyk, który nas poprzedzał ustał i wtedy zaczęliśmy bujać we wszystkich kierunkach. Ten stan rzeczy atoli, nie trwał dosyć długo, aby dać nam czas do namysłu. Mniej niż w minutę zerwała się burza — w mniej niż dwie cale niebo zasłoniło sie, — wskutek czego tak stało się ciemno, żeśmy nawzajem w łodzi widzieć się nie mogli.

— Byłoby głupotą, usiłować opisać taki huragan. Najstarszy rybak w Norwegii nie doświadczył czegoś podobnego. Opuściliśmy żagle a mimo to, gdy zawiało, obydwa nasze maszty obaliły się jakby odpiłowane — a główny maszt porwał ze

sobą najmłodszego brata, który przywiązał się do niego dla bezpieczeństwa.

— Łódź nasza była ogromnie lekka. Zatonięcie groziło nam mocno, bo kilka razy woda pokryła nas zupełnie. Nie umiem powiedzieć, jak mój starszy brat uniknął destrukcji, gdyż nie miałem sposobności dowiedzenia się. Co do mnie cisnąłem się na brzuch płasko na pokład, opierając się nogami o parapet, rękami zaś chwyciłem za żelazny pierścień w okolicy przedniego masztu. zrobiłem tak przez prosty instynkt, gdyż byłem zanadto wzburzony, aby módz myśleć.

— Przez kilka chwil byliśmy zupełnie zalani, jak mówiłem, a cały ten czas leżałem z zapartym tchem. Gdym już nie mógł dłużej wytrzymać podnosiłem się na kolana, ciągle trzymając się rękami i w ten sposób uwolniłem od wody głowę. Wtedy mała łódź otrząsnęła się jak pies wychodzący z wody i uwolniła się od zalewających ją fal. Starałem się obecnie otrząść z odrętwienia, które mnie opanowało i zebrać myśli tak, aby zastanowić się, co należy zrobić, gdy mnie ktoś wziął za ramię. Był to mój starszy brat, to też serce zadrżało mi z radości, gdyż myślałem, że został spłukany — ale niebawem radość zmieniła się w przerażenie — gdy zbliżył usta do mego ucha i zawołał: »*Moskoe-Ström*.«

— Nikt nie pojmie, jakie mną wtedy uczucie miotało. Drżałem od stóp do głowy, jak gdybym

dostał napadu gorączki. Wiedziałem dobrze, co on chciał mi dać do zrozumienia. Wiatr, który nas obecnie popychał, dął w kierunku Strömu, i nic nas nie mogło ocalić.

— Pojmujesz pan, że w przepływaniu przez kanał *Strömu* posuwaliśmy się daleko po nad wirem, nawet w czas najspokojniejszy, a i wtedy musieliśmy czekać na ciszę, — ale teraz szliśmy prosto na wir i to z chyżością huraganu. Myślałem, że nadpłyniemy właśnie na czas ciszy i w tem czerpałem otuchę, ale w następnej chwili przekląłem swą wielką głupotę, która pozwalała mi jeszcze mieć nadzieję. Wiedziałem przecie, że los nasz był rozstrzygnięty.

— Tymczasem pierwsze natężenie burzy ustało, albo też może nie czuliśmy jej tak bardzo, jak poprzednio, gdyśmy sunęli tak szybko, ale w każdym razie bałwany, które pod wpływem wiatru trzymały się nisko, podniosły się obecnie w pieniące się góry. Dziwna też zmiana zaszła na niebie. Naokół we wszystkich kierunkach panowała jeszcze zupełna czarność, ale nad głową niemal wystąpiła nagle kolista szczelina czystego nieba — czystego i ciemno błękitnego, a przez nią zajaśnial księżyc blaskiem, jakiego poprzednio nigdy nie widziałem. Wszystko wokoł nas zostało bardzo wyraźnie oświecone, ale o Boże, jakąż ujrzeliśmy scenę!

— Chciałem przemówić do brata, ale w niewytłómaczony dla mnie sposób halas tak wzrósł,

że nie mógł usłyszeć ani jednego mego słowa, chociaż wrzeszczałem mu do ucha z całej siły. Nagle wstrząsnął głową, zbladł śmiertelnie i podniósł w górę palec, jakby mówiąc *»słuchaj«*.

— Naprzód nie mogłem go pojąć, — ale wkrótce straszna myśl przeszła mi przez głowę, wyciągnąłem zegarek z kieszonki. Stanął. — Spojrzałem nań przy świetle księżyca, a potem wybuchnąłem płaczem ciskając go daleko w morze. *Stanął o siódmej! Minął czas spokoju, a wir Strömu rozwijał się w całej pełni!*

— Gdy łódź jest dobrze zbudowana i odpowiednio zaopatrzona, a nie bardzo naladowana, to fale przy silnym wietrze zdają się zawsze wsuwać pod okręt — co wydaje się rzeczą dziwną dla nie-żeglarza — i to w języku żeglarskim nazywa się *jazdą*. Otóż jak dotąd jechaliśmy po falach wcale dobrze, ale nagle olbrzym bałwanu porwal nas i poniósł niemal pod niebo. Nie byłbym wierzył, że jala może się wznieść tak wysoko. Potem opadliśmy w dół tak silnie, że doznalem zawrotu, iak gdybym we śnie spadał z jakiejś wysokiej góry. Gdyśmy byli w górze rzuciłem okiem dokoła — i to jedno spojrzenie wystarczyło. Zrozumiałem nasze położenie w jednej chwili. Wir Moskoe-Strömu znajdował się jeszcze o ćwierć mili przed nami, ale niepodobny do zwykłego Moskoe-Strömu. Gdybym nie wiedział, gdzie jesteśmy i czego mieliśmy się spodziewać, nie byłbym wcale

miejsca rozpoznał. W przerażeniu przymknąłem oczy. Powieki zacisnęły się spazmatycznie.

Nie więcej niż w dwie minuty potem uczuliśmy że fale opadają, a piana okryła nas. Łódź uczyniła szybko pół zwrotu, a potem pomknęła w nowym kierunku z szybkością pioruna. W tejże samej chwili ryk wody utonął zupełnie jakby w przeraźliwym pisku podobnym do dźwięku, któryby wydały świstawki tysięcy parowców. Znajdowaliśmy się obecnie w pasie otaczającym wir; sądziłem też, że w następnej chwili stoczymy się w przepaść, — którą w dole mogliśmy widzieć tylko niewyraźnie z powodu nadzwyczajnej chyżości z jaką obracaliśmy się. Łódź nie zdawała się wcale zanurzać w wodę, lecz unosić się jak bańka powietrzna na powierzchni wzburzonych wód. Na zewnątrz łodzi wzniósł się wał wodny pomiędzy nami a horyzontem.

— Może wydać się to rzeczą dziwną, lecz teraz, gdyśmy się znajdowali w paszczy wiru, czułem się spokojniejszym, niż wtedy, kiedyśmy się doń zbliżali. Postanowiwszy nie żywić już więcej nadziei, pozbyłem się znacznej ilości tej trwogi, która pozbawiła mnie równowagi. Przypuszczam, że rozpacz napięła mi nerwy.

— Choć to może wyglądać na przechwałki, ale mówię panu rzetelną prawdę, że zacząłem rozmyślać jak to musi być pięknie zginąć w taki sposób i jaką głupotą z mej strony było myśleć

o tak znikomej rzeczy jak życie indywidualne wobec tak cudownego objawu potęgi Boskiej. Zdaje mi się, że spłonałem wstydem,. gdy ta myśl przeszła mi przez głowę. Po chwili zdjęła mnie najżywsza ciekawość na punkcie samegoż wiru. Stanowczo poczułem życzenie zbadania jego głębin nawet za cenę ofiary z życia; jedynie żałowałem tego, że nie będę w stanie opowiedzieć mym towarzyszom o widzianych cudach. Dziwnie to brzmi, że takie myśli mogły zajmować umysł człowieka w podobnem położeniu, to też często przychodziło mi na myśl, że chyba szybkie obroty łodzi zawróciły nieco mi w głowie

— Była jeszcze inna okoliczność, która zmierzała do przywrócenia mi panowania nad sobą, a mianowicie ustanie wiatru, który nie mógł nas dosięgnać w obecnem położeniu — ponieważ, jak pan sam widziałeś. obwód wiru jest znacznie niższy od powierzchni oceanu, który piętrzył się nad nami jakby wysoki, czarny wał. Jeżeli pan nigdy nie był na morzu w czasie silnego wiatru, nie możesz pan sobie wyobrazić zamieszania umysłu, wywołanego wiatrem i pryskającą wodą razem. Oślepiają one, ogłuszają, duszą i pozbawiają władzy refleksyi i działania. Ale teraz byliśmy w znacznej mierze wolni od tych przykrości — właśnie jak na śmierć skazanym zbrodniarzom pozwala się na rzeczy, których się im wzbrania przed wydaniem wyroku.

— Ile razy obeszliśmy obwód wiru nie podobna powiedzieć, ale posuwaliśmy się w koło przez godzinę, latając raczej niż pływając, dostając się coraz bardziej w środek wzburzonej wody, jakoteż coraz bliżej wewnętrznej krawędzi. Przez cały ten czas nie puszczałem z ręki żelaznego koła. Brat mój był przy sterze, trzymając się małej próżnej beczki do wody, która była mocno przywiązana i dla tego nie została z pokładu zmieciona. Gdyśmy się zbliżyli do brzegu przepaści, puścił beczkę i przyskoczył do pierścienia, od którego w przystępie trwogi usiłował oderwać moje ręce, gdyż za mały był, abyśmy się go mogli uczepić obydwaj. Nigdy nie czułem głębszego bolu jak wtedy, kiedy zajął względem mnie takie stanowisko — chociaż wiedziałem, że czynił to w przystępie obłędu — i przez samę trwogę. Nie chciało mi się atoli walczyć z nim. Wiedziałem, że wszystko jedno, którykolwiek z nas będzie się trzymać pierścienia, to też ustąpiłem mu, a sam udałem się do beczki. Nie miałem wielkiej trudności w dokonaniu tego, gdyż łódź latała wkoło dosyć równo, chwiejąc się jeno pod wpływem olbrzymich ruchów wiru. Zaledwie upewniłem się w mej nowej pozycji gdy łódź zatrzęsła się i wpadła w przepaść. Myśląc, że to koniec, wybełkotałem modlitwę do Boga.

— Czując zawrotny spadek łodzi instynktywnie przytwierdziłem się bardziej do baryłki i przymkną-

łem oczy. Przez kilka sekund nie śmiałem ich otwierać, gdyż oczekiwałem natychmiastowej zagłady i dziwiłem się, że jeszcze nie jestem w śmiertelnych zapasach z wodą. Ale upływała chwila za chwilą, a ja jeszcze żyłem. Uczucie spadania ustało, a ruch łodzi był bardzo podobny do poprzedniego ruchu, zebrałem na odwagę — i znowu spojrzałem dokoła.

— Nigdy nie zapomnę uczucia trwogi, przerażenia i podziwu, z którem patrzyłem. Łódź zdawała się zawieszona, jakby za pomocą czarów, w połowie drogi na wewnętrznej powierzchni lejka olbrzymiego w obwodzie, zdumiewająco głębokiego, którego doskonale gładkie boki można było wziąć za kość słoniową, gdyby nie oszałamiająca szybkość, z jaką wirowały, jakoteż olśniewający połysk, który wydawały gdy promienie księżyca w pełni spływały przez wyżej opisany otwór wpośród chmur po czarnych ścianach, głęboko w dół na samo dno przepaści.

— Z początku byłem zanadto zamieszany, aby obserwować cokolwiek bądź dokładnie. Wszystko czego doznawałem, to ogólne wrażenie strasznej wspaniałości. Gdym atoli przyszedł nieco do siebie wzrok mój skierował się instyktywnie w dół. W tym kierunku mogłem patrzeć bez przesady z powodu sposobu, w jaki łódź wisiała na pochyłej powierzchni lejka. Pokład łodzi biegł całkiem równolegle do powierzchni wody, która pochyliła się pod kątem

czterdziestu pięciu stopni przeszło. Nie mogłem nie zauważyć, że nie wiele trudniej przyszło mi zachować swoje stanowisko w tem położeniu, niż gdybyśmy się znajdowali na płaszczyźnie co, jak przypuszczam, miało źródło w szybkości z jaką wirowaliśmy.

— Promienie księżyca zdawały się muskać samo dno głębokiego lejka, ale mimo to jeszcze nie mogłem zbadać niczego dokładnie wskutek gęstej mgły, obejmującej wszystko, mgły nad którą unosiła się wspaniala tęcza na podobieństwo wąskiego i chwiejącego się mostku, który według muzulmanina jest jedyną ścieżką pomiędzy czasem a wiecznością. Powodem tej mgły albo raczej rozpylonej wody było niewątpliwie zderzenie się olbrzymich ścian lejka, które spotykały się na dnie; nie usiluję nawet opisać ryku, jaki unosił się z pośród tej mgły pod niebo.

— Pierwsze nasze obsunięcie się w przepaść z pierścienia piany w górze zniosło nas bardzo w dół, ale nasze dalsze obsuwanie się wcale nie było proporcjonalne. Kołowaliśmy ustawicznie — nie ruchem jednostajnym — lecz za pomocą bujania się i rzutów, które już to ciskały nas zaledwie o kilkaset yardów dalej, już też czasami przepędzaly wokół całego obwodu wiru. Postęp nasz w dół był powolny, ale wyraźny.

— Patrząc wokół na rozległe pole plynnego hebanu, który nas unosil na sobie, spostrzegłem,

że nasza łódź nie była jedynym przedmiotem w objęciach lejka. Zarówno nad nami jak i pod nami widniały fragmenty okrętów, wielkie masy budulca i pnie drzew, razem z mniejszymi przedmiotami, jak kawałkami mebli, połamanych skrzyń, baryłek i klepek. Opisałem już nienaturalną ciekawość, w jaką się zamieniła pierwotna obawa, rosła ona w miarę mego zbliżania się do strasznego przeznaczenia. Z dziwnem zainteresowaniem zacząłem teraz obserwować rozliczne przedmioty, pływające w naszem towarzystwie. Musiałem chyba mieć gorączkę, ponieważ nawet szukałem rozrywki w rozmyślaniu nad względną chyżością, z jaką się każdy przedmiot obsuwał w dół. Ten świerk, pomyślałem sobie, będzie niezawodnie najbliższym przedmiotem, który zanurzy się i zniknie; poczem doznałem zawodu, bo resztki kupieckiego statku holenderskiego uprzedziły go. W końcu, gdy dokonałem kilka odgadnień tego rodzaju i omyliłem się za każdym razem, zaczęły w mej głowie powstawać myśli, od których me członki zadrżały, a serce silnie bić poczęło.

— Nie nowa obawa wywarła na mnie taki skutek, ale brzask gorączkowej nadziei. Nadzieja ta zrodziła się w części z pamięci, a w części z obecnej obserwacji. Przypomniałem sobie wielką rozmaitość poprzedników zalegających brzeg Lofoden, które zostały naprzód pochłonięte, a potem wyrzucone przez Moskoe Ström. Najwięcej owych

przedmiotów jest potrzaskanych w nadzwyczajny sposób — tak, że wyglądają jakby wysadzone drzazgami, — ale *niektóre* nie były wcale zdefigurowane. Nie mogłem wyjaśnić tej różnicy inaczej jak przez przypuszczenie, że poszarpane fragmenty były jedynie *całkowicie pochłonięte,* — że inne zaś weszły do wiru tak późno, albo z jakiejś innej przyczyny po wejściu opuszczały się tak wolno, że nie dosiągnęły dna przed powrotem, przypływu lub odpływu. Przypuszczałem jako rzecz w obydwóch wypadkach możliwą, że zostały w ten sposób wyrzucone znowu na powierzchnię oceanu bez doświadczenia losu tych, co wpadły wcześniej, lub zostały pochłonięte szybciej. Uczyniłem też trzy ważne spostrzeżenia. Pierwszem było, że w zasadzie większe ciała szybcej opadały na dół; drugiem, że z dwóch ciał tej samej objętości, z których jedno kuliste a drugie jakiejkolwiek innej formy, kuliste spadało prędzej; trzeciem, że z dwóch ciał tej samej wielkości, z których jedno było formy walcowatej, a drugie jakiejkolwiek innej; walcowate opadało wolniej. Od czasu wyratowania się od śmierci rozmawiałem o tem kilka razy z naszym nauczycielem i od niego to nauczyłem się słów »walec« i »kula«. Wyjaśnił mi on — chociaż wyjaśnienia już zapomniałem, — że to co zaobserwowowałem było naturalnym wynikiem kształtów pływających fragmentów i pokazał mi dlaczego walec pływający w wirze opierał się bardziej jego

wsysaniu, wskutek czego opadał wolniej niżeli inne ciało równej objętości, ale odmiennego kształtu.

— Istniała jeszcze jedna okoliczność, która w znacznym stopniu potwierdziła te spostrzeżenia, a mianowicie, że przy każdym obrocie mijaliśmy coś w rodzaju beczki, lub masztu okrętowego, podczas gdy wiele przedmiotów będących na naszej plaszczyźnie, gdym po raz pierwszy otworzył oczy na cudy wiru, były wysoko po nad nami i zdawały się nie wiele posuwać naprzód.

— Nie wahałem się dłużej co czynić. Postanowiłem przywiązać się bezpiecznie do beczki, której ciągle się trzymałem, uwolnić ją i rzucić się z nią do wody. Zwracałem uwagę brata znakami, wskazywałem na pływające baryłki, które zbliżały się do nas i czyniłem wszystko, co było w mojej mocy, aby mu dać zrozumieć to, co zamierzałem uczynić. W końcu myślałem, że zrozumiał moje znaki, ale czy było tak czy nie, potrząsnął głową rozpaczliwie, i nie chciał opuszczać swego stanowiska. Nie mogłem dosięgnąć go, położenie nie dopuszczało zwłoki. Tak więc po gorzkiej walce zostawiłem go jego losowi, przywiązałem się do baryłki i cisnąłem się do wody bezzwłocznie.

— Rezultat był taki, jakiego się spodziewałem. Skoro ja sam panu to opowiadam — i skoro pan widzisz, że istotnie *uszedłem cało* — skoro pan wiesz w jaki sposób się uratowałem, zakończę już moją historję. Upłynęła może godzina po opuszczeniu

łodzi, gdy, obsunąwszy się nisko podemną, łódź owa uczyniła trzy czy cztery dzikie obroty w szybkiem tempie i unosząc ze sobą mego brata, zanurzyła się na zawsze w spienioną wodę. Baryłka zaś ze mną opadła nie wiele dalej jak na połowę przestrzeni pomiędzy dnem a miejscem, na którem skoczyłem do wody, gdy ogromną zmiana zaszła w całym wirze. Stoki lejka stawały się coraz mniej strome. Obroty wiru stawaly się coraz łagodniejsze. Stopniowo piana i tęcza zniknęły, a dno przepaści zaczęło się wznosić powoli. Niebo było jasne, wiatr ustał, a księżyc w pełni ukazywał się na zachodzie, gdym się znalazł na powierzchni oceanu nie daleko brzegów Lofoden i nad miejscem, gdzie *był* Moskoe-Ström. Była to godzina spokoju, ale morze ustawicznie jeszcze burzyło się pod wpływem huraganu. Poplynąłem gwałtownie ku kanałowi Strömu, a w kilka minut znalazłem się przy brzegu na miejscu połowu ryb. Jakaś łódź mnie wyłowiła, wyczerpanego ze znużenia i (skoro niebezpieczeństwo minęło) niemego z przerażenia. Ci co mnie wyratowali, byli mymi codziennymi towarzyszami, ale mimo to nie mogli mnie wcale poznać, jakbym był obcym. Włos mój kruczo czarny zbielał zupełnie. Mówią, że cały wyraz twarzy też się zmienił. Opowiedziałem im moje przejście — nie wierzyli mi. Teraz opowiadam *panu*, chociaż nie mogę się spodziewać, abyś pan mi więcej wierzył, niż weseli rybacy z Lofoden.

WILLIAM WILSON.

Niech mi się wolno będzie nazwać tymczasem Williamem Wilsonem. Biała kartka, która leży obecnie przedemną, nie powinna się splamić mojem prawdziwem nazwiskiem, które było już za wiele przedmiotem szyderstwa, trwogi i pogardy mojej własnej rodziny. Bo czyż wiatry nie zaniosły do najdalszych krańców świata jego niezrównanej niesławy? O wyrzutku ze wszystkich wyrzutków najbardziej opuszczony! czyż nie jesteś dla ziemi umarłym na wieki? dla zaszczytów, jej kwiatów, jej złotych aspiracyi, — a czyż chmura gęsta, czarna, bezbrzeżna, nie rozciąga się wiecznie pomiędzy twemi nadziejami a niebem?

Gdybym nawet mógł dzisiaj to nie spisałbym historji ostatnich lat niewypowiedzianej nędzy i zbrodni nie do przebaczenia. Epoka ta to ostatnie lata — odznaczają się nagłym wzrostem przewrotności, której tylko początek pragnę tutaj opisać. Ze mnie wszelka cnota jak płaszcz spadła w jednej chwili. Od względnie drobnej niegodziwości, przeszedłem krokiem olbrzyma w coś więcej niż zbrodnie Elah-Gabalusa. Jaka okoliczność — jaki

odosobniony wypadek sprowadził ten stan, słuchajcie, a opowiem Wam. Śmierć się zbliża, a cień poprzedzający ją wywarł osłabiający wpływ na mego ducha. Przechodząc przez ciemny padół pragnę sympatyi, bo nie powiem litości, mych bliźnich. Chciałbym wmówić w nich częściowo, że byłem niewolnikiem okoliczności, nad któremi człowiek nie może zapanować. Chciałbym, aby wśród szczegółów, które mam opisać, znaleźli dla mnie dozę *fatalizmu* wśród pustyni pobłądzeń. Chciałbym, aby przyznali, że jakkolwiek przedtem pokusa istniała, to jednak człowiek nigdy nie był tak kuszony, nigdy tak nie upadł. I czyż dlatego nigdy tak nie cierpiał? czyż nie żyłem jak w śnie? I czy nie umieram jako ofiara przerażenia i tajemnicy najdzikszej ze wszystkich wizyi pod słońcem?

Jestem potomkiem rodu, którego imaginacyjny i łatwo pobudliwy temperament odznaczał go po wsze czasy; w najwcześniejszem dzieciństwie zdradzałem objawy zupełnego odziedziczenia tej rodzinnej cechy, która rozwijała się razem z wiekiem będąc z wielu przyczyn źródłem poważnego zaniepokojenia dla moich przyjaciół oraz szkody dla mnie samego. Stawałem się samowolny, oddawałem się najdzikszym kaprysom i podlegałem niepohamowanym namiętnościom. Słabi na umyśle i podlegający konstytucyjnym wadom podobnym do moich, rodzice moi, nie wiele mogli uczynić

dla poskromienia myśli złych skłonności, któremi się odznaczałem. Słabe i źle kierowane wysiłki z ich strony chybiły celu, z czego ja tryumfowałem. Odtąd słowo moje było prawem dla domu a w wieku, w którym nie wiele dzieci zyskuje swobodę, zostawiono mnie mojej własnej woli, i zrobiono we wszystkiem (z wyjątkiem tytułu) panem mych postępków.

Najwcześniejsze wspomnienia życia szkolnego związane są u mnie z wielkim bez planu zbudowanym domem Elżbietańskim, w zawsze mglistej wsi angielskiej, gdzie rosło mnóstwo olbrzymich i sękatych drzew i gdzie wszystkie domy były niesłychanie stare. Czcigodne to stare miasto było jakby ze snu wykrojone. W tej chwili czuję w swej fantazyi odświeżający chłód mocno — cienistych alei, wdycham woń tysiąca krzewów i drżę przejęty nieopisaną rozkoszą na głęboki ton dzwonu kościelnego, przerywający co godzina ciszę mrocznej atmosfery, w której wznosi się senna wieża gotycka.

Drobiazgowe wspomnienia szkoły i jej kosztów dają mi tyle przyjemności, ile jej mogę jeszcze doświadczać. Pogrążony w nędzy — nędzy niestety! tak realnej — spodziewam się przebaczenia za szukanie ulgi choć tak słabej i chwilowej, we wspomnieniu paru bezładnych szczegółów, które ponadto, jakkolwiek stałe, nabierają w mej wyobraźni przypadkowego znaczenia jako po-

łączone z czasem i miejscem, gdzie otrzymałem pierwsze dwuznaczne przestrogi tego przeznaczenia, które mnie potem tak kompletnie złamało. Zatem niech mi wolno będzie pomarzyć.

Dom jak powiedziałem był, stary i nieregularny. Realność była rozległa, a całość otaczał wysoki i solidny mur z cegieł, pokryty warstwą wapna i tłuczonego szkła. Więzienny ten wał stanowił granicę naszego państwa; po za mur wychodziliśmy jeno trzy razy w tygodniu; raz co sobotę popołudniu, kiedy w towarzystwie dwóch starszych pozwolono nam wszystkim razem przejść się nieco po sąsiednich polach; i dwa razy co niedziela, gdyśmy rano i wieczór paradowali w ten sam sposób do wiejskiego kościoła na służbę Bożą. Przełożony nasz był pastorem tego kościoła. Z jakimże głębokiem uczuciem podziwu i pomieszania patrzyłem na niego z naszej odległej ławki na galeryi, gdy wolnym i uroczystym krokiem wchodził na ambonę! Czyż ten szanowny mąż, z twarzą tak bardzo łagodną, sukniach tak połyskujących i poważnie spadających z peruką tak starannie upudrowaną, tak sztywny i uroczysty — czyż mógł być tym samym co tak niedawno ze surowem obliczem, w tabaczkowym kostjumie i z linią w ręce, stosował drakońskie prawa akademji. O potworny paradoksie, za potworny, aby cię rozwiązać!

W kącie ociężałego muru jeżyła się ociężała

brama, wysadzana żelaznymi guzami i obrzeżona najeżonymi kolcami. Jakież to uczucie głębokiego poważania budziła ona! Nie otwierano jej nigdy chyba podczas owych trzech wyjść i wejść, o których wyżej wspomniałem; wtedy w każdem skrzypnięciu jej olbrzymich zawias widzieliśmy obfitość tajemnic, wywołujących uroczyste uwagi lub rozmyślania.

Obszerna zagroda była nieregularnej formy i posiadała wiele obszernych zatok. Trzy czy cztery największe z nich stanowiły pole do zabaw. Było ono płaskie, wysypane delikatnym żwirem. Pamiętam dobrze, iż nie było tam ani drzew ani ławek, ani też nic podobnego. Pole znajdowało się oczywiście w tyle domu. Przed domem był mały ogród kwiatowy, wysadzony bukszpanem oraz innymi krzewami, ale przez ten święty oddział przechodziliśmy przy rzadkich zaiste sposobnościach, jak pierwszy przyjazd do szkoły i ostateczne jej opuszczenie, lub gdy po którego z nas wstąpił rodzic lub przyjaciel, aby wziąć go na święta Bożego Narodzenia lub ferje letnie.

Ale dom! — Jakiż to był dziwaczny stary budynek! dla mnie był to zaczarowany pałac! Istotnie końca nie było jego skrętom i niepojętym podziałom. Trudno było powiedzieć w danej chwili z pewnością, na którem z dwóch pięter człowiek znajdował się. Od jednego pokoju do drugiego prowadziły napewne schodki w górę, albo w dół.

Potem boczne skrzydła były niezliczone, nieregularne i tak poplątane, że nasze pojęcie o całości budynku nie wiele się różniło od idei wieczności. Podczas pięciu lat mego pobytu nigdy nie byłem wstanie sprawdzić z dokładnością, w jakiej odległej części leżała mała sypialnia, przeznaczona dla mnie i dwudziestu innych studentów.

Sala szkolna była największa w całym domu, — mnie się zaś zdawało, że w całym świecie. Była ona bardzo długa, wąska i nadzwyczaj niska, z ostremi gotyckiemi oknami i dębowym sufitem. W odległym i przestrach budzącym zagięciu znajdowało się kwadratowe ogrodzenie, obejmujące *sanctum* naszego przełożonego, Dr. Bransky. Była to solidna struktura o masywnych drzwiach, których otworzyć żaden pod nieobecność przełożonego z nas by się nie poważył. W innych rogach były dwie inne loże, mniej szanowane co prawda, choć także obawę wzbudzały. W jednej rezydował klasyk, w drugiej matematyk. Rozproszone po izbie, krzyżując się w niepojętej nieregularności, stały niezliczone ławy i stoły czarne, stare, zdarte, zawalone dobrze używanemi książkami i tak poorane inicjałami, pełnemi nazwiskami, groteskowemi figurami, jakoteż i innemi dziełami scyzoryka, że straciły zupełnie tę odrobinę orginalnej formy, jaką mogły pierwotnie posiadać. Olbrzymie wiadro z wodą stało w jednym końcu izby, a zdumiewających rozmiarów zegar w drugim.

Ograniczony masywnymi murami tej szacownej akademii spędziłem bez znurzenia, lub niechęci trzecią piątkę lat mego życia. Żywy umysł dziecka nie potrzebuje świata zewnętrznego do zajęcia i rozrywki, a pozornie ponura monotonia szkoły obfitowała w znaczniejszą ilość podniet, niż w dojrzalszym wieku zaczerpnąłem ze zbytku, lub w męskim ze zbrodni. Ale wierzę, że pierwszy mój rozwój umysłowy posiadał wiele niezwykłych cech — nawet wiele *outré*. Na ludzi wogóle wypadki przeżyte w młodości rzadko wywierają wpływ na wiek dojrzały. Wszystko staje się szarym cieniem — słabem i zatartem wspomnieniem — niewyraźnem odświeżeniem słabych przyjemności i fantasmogarycznych bolów. Ze mną jest inaczej. Musiałem w dzieciństwie posiadać uczucie dorosłego mężczyzny, bo wrażenia wyryły się na mej pamięci tak żywo, głęboko i trwale, jak *exergues* na kartagińskich medalach.

A jednak w istocie — w pojęciu świata — jakże mało pozostało do zapamiętania. Ranne budzenie, wieczorne wzywanie do snu; kucie, recytowanie; perjodyczne rekreacje i spacery; pole zabaw z wrzawą, utarczkami, zabawami, intrygami; — to wszystko na mocy umysłowego czarodziejstwa dawno zapomniane, wytworzyło gęstwę sensacji, świat wypadków, obszar zmiennych uczuć i wzruszeń bardzo namiętnych i podbudzających »*O le bon temps, que ce siècle de fer!*«

W istocie zapał, entuzjazm i czelność mego usposobienia, nadały mi w krótce wybitne cechy wśród mych kolegów, a drogą wolnego, ale naturalnego stopniowania zyskałem przewagę nad wszystkimi nie wiele odemnie starszymi — nad wszystkimi z wyjątkiem jednego. Wyjątek ten stanowił student, który chociaż nie krewny, nazywał się zupełnie tak samo jak ja, w czem nie było nic nadzwyczajnego; pomimo szlacheckiego pochodzenia, nazwisko moje było jednem z tych codziennych, które od dawna stały się wspólną własnością gminu. W tem opowiadaniu nazwałem się więc William Wilson, — a fikcyjne to nazwisko nie wiele się różni od prawdziwego. Jedynie mój imiennik z pośród tych, którzy według frazeologii szkolnej stanowili »naszą kaupkę«, współzawodniczył w nauce klasowej — w zabawach i utarczkach — odmawiał prostej wiary w moje twierdzenia i uległości, mojej woli — nawet opierał się mej samowoli w każdym kierunku. Jeżeli jest na ziemi wyższy i nieokiełznany despotyzm, to niezawodnie despotyzm silniejszego umysłu chłopca nad mniej energicznymi duchami towarzyszy.

Rebelja Wilsona była dla mnie źródłem największego zakłopotania; a to tem bardziej, że chociaż publicznie udawałem, iż traktuję z góry i jego i jego pretensje, po cichu czułem, że się go boję i nie mogłem nie myśleć, iż stopień równości ze mną na którym się z taką łatwością utrzymywał, był

dowodem jego rzeczywistej wyższości, gdyż ciągle musiałem walczyć, aby nie zostać pokonanym. Jednak ta wyższość — nawet ta równość — nie była z wyjątkiem mnie samego przez nikogo uznana; nasi towarzysze, wskutek jakiejś niepojętej ślepoty, zdawali się nie podejrzywać jej nawet. Jego współzawodnictwo, jego opór, zwłaszcza jego impertynenckie i uporczywe mieszanie się do moich zamiarów, były zupełnie natury prywatnej. Zdaje się, że zarówno całkowicie był pozbawiony ambicyi jak i namiętnej energii, które popychały mnie i uzdolniały do odznaczenia się. Można było przypuszczać, że pobudką jego rywalizacyi była jedynie kapryśna chęć paraliżowania mnie, zdumiewania i drażnienia; chociaż czasami nie mogłem nie zauważyć z uczuciem zdumienia, poniżenia i gniewu, że do swych krzywd, uraz i oporu dodawał bardzo niewłaściwą i bardzo niepożądaną *uprzejmość* obejścia się. Rozumiałem, że osobliwe to zachowanie się powstało jeno z wyższej zarozumiałości przybierającej wulgarne pozory protekcyi.

Być może, iż ten ostatni właśnie rys w zachowaniu się Wilsona, złączony z identycznością nazw i przypadkiem wejścia do szkoły tego samego dnia, zrodził w wyższych klasach przekonanie, że jesteśmy braćmi. Wyższe klasy zwykle nie znają dokładnie spraw młodszych. Powiedziałem lub powinienem był powiedzieć poprzednio, że Wilson nawet w najdalszym stopniu nie był

z naszą rodziną spokrewniony. Ale jeżeliśmy byli istotnie braćmi, to już chyba bliźniętami; gdyż po opuszczeniu zakładu dowiedziałem się przypadkiem, że mój imiennik zrodził się dziewiętnastego stycznia 1809 roku, — a dziwnym zbiegiem okoliczności ten dzień schodzi się właśnie z dniem moich urodzin.

Może się wydać rzeczą dziwną, że pomimo ustawicznej troski jaką mi sprawiała rywalizacya Wilsona i jego nieznośny duch przeciwieństwa, nie mogłem nienawidzieć go. Mieliśmy sprzeczkę co dnia, a chociaż publicznie ustępował mi pierwszy pierwszeństwa, umiał dać mi jakoś do zrozumienia, że to on na nią właściwie zasłużył, ale poczucie dumy z mojej strony, a prawdziwej godności z jego strony, utrzymywało nas zawsze na stopie towarzyskiej, zwłaszcza, że w usposobieniach naszych było wiele pomysłów silnego pokrewieństwa budzącego we mnie uczucie, które tylko dzięki mojej pozycyi nie mogło zamienić się w przyjaźń. Trudno zaiste zdefiniować albo tylko opisać moje prawdziwe dla niego uczucie. Tworzyły one pstrą i różnorodną mieszaninę; jakaś kapryśna animozja, która nie była jeszcze nienawiścią, trochę szacunku, więcej poważania, jeszcze więcej obawy połączonej z niespokojną ciekawością. Moralistom nie potrzebuję mówić, że Wilson i ja byliśmy nierozłącznymi towarzyszami.

Nienormalny stosunek, panujący między nami skierował niewątpliwie wszystkie moje ataki przeciwko niemu, (a było ich wiele, już to jawnych, już skrytych) w koryto szyderstwa a raczej figlów (bolących chociaż miały być jeno zabawne), niżeli wyraźnej i zdeterminowanej nieprzyjaźni. Ale usiłowania moje w tym kierunku nie były jednakowo rozmyślne, nawet kiedy plany moje były bardzo sprytnie ułożone; gdyż imiennik mój miał w swym charakterze wiele tej niepozującej i spokojnej powagi, która chociaż bawi się goryczą swych własnych żartów nie posiada pięty Achillesa i stanowczo nie dopuszcza szyderstwa z siebie. Mogłem znaleść tylko jeden słaby punkt, a ten tkwiący w osobistej właściwości i biorący może źródło we wrodzonej chorobie. Zostałby uszanowany przez każdego przeciwnika mniej niż ja do muru przyciśniętego; rywal mój posiadał jakiś błąd w strunach głosowych, który nie pozwalał mu podnosić głosu po nad *bardzo cichy szept*. Nie omieszkałem oczywiście wyzyskać tę jego słabość.

Odwety Wilsona były bardzo liczne, szczególniej jedna forma jego dowcipu drażniła mnie nad wszelkę miarę. Nigdy nie mogłem zrozumieć, jak on wpadł na myśl, że taka drobna rzecz będzie mnie drażnić, ale uczyniwszy to, bezustannie mnie dręczył. Zawsze czułem awersję do mego nieszlacheckiego nazwiska i bardzo pospolitego plebejskiego imienia. Słowa te były trucizną w mych uszach; a gdy

w dzień przybycia do szkoły pojawił się także drugi William Wilson, gniewałem się na niego za noszenie tego samego nazwiska i byłem zniechęcony do imienia, bo nosił je obcy, który stanie się przyczyną podwójnego powtarzania go, który będzie ustawicznie w mej obecności, i którego sprawy w zwyczajnej rutynie szkolnej będą musiały być niejednokrotnie mieszane z mojemi.

Powstałe w ten sposób uczucie udręczenia, to potęgowało się z każdą okolicznością, dążącą do podkreślenia podobieństwa, moralnego lub fizycznego, pomiędzy mną a moim rywalem. Nie spostrzegłem wtenczas uderzającego faktu, że byliśmy tego samego wieku; ale widziałem, że byliśmy tego samego wzrostu i że byliśmy szczególniej podobni w ogólnym wyglądzie i rysach twarzy. Gniewała mnie też pogłoska o naszem pokrewieństwie obiegająca wyższe klasy. Słowem nic nie mogło mnie poważniej niepokoić, chociaż kryłem się z tem starannie), niż jakakolwiek aluzja do podobieństwa umysłów osoby, lub położenia. Ale w istocie nie miałem powodu wierzyć, żeby (z wyjątkiem pokrewieństwa i samego Wilsona) podobieństwo to było przedmiotem komentarzy lub uwagi ze strony kolegów. Że *on* zachowywał je w swem całem zachowaniu się i to uporczywie było rzeczą jasną; że atoli zdołał w takiem postępowaniu odkryć tak obfite źródło dręczenia mnie,

to można było przypisać jedynie jego nadzwyczajnej przenikliwości.

Rola jego, polegająca na imitowaniu mnie, zasadzała się na słowach i czynach; grał ją zadziwiająco dobrze. Łatwo mu było naśladować ubranie; bez trudności przyswoił sobie mój chód i ogólny sposób wzięcia się; pomimo wrodzonej wady nawet głos mój umiał podchwycić. Nie usiłował oczywiście oddawać mych głośniejszych tonów, ale za to brał je w tym samym kluczu; *a osobliwy szept jego, był wprost odbiciem mojego.*

Jak bardzo dokuczało mi to znakomite portretowanie mej osoby (bo nie można tego było nazwać karykaturą) nie będę nawet opisywał. Miałem jedną tylko pociechę — mianowicie, że naśladowanie to widziałem ja sam tylko, że musiałem znosić jedynie bardzo sarkastyczne uśmiechy mego imiennika. Zadowolony z wywołania w mych piersiach zamierzonego efektu zdawał się cieszyć potajemnie z zadanego mi ukłucia i nie dbał wcale o poklask, który jego dowcipne usilowanie tak łatwo mogło wywołać. Że szkoła nie widziała jego zamiarów, nie pojmowala ich wykonania, nie brała udziału w jego szyderstwie, to było dla mnie przez wiele miesięcy zagadką nie do rozwiązania. Może *stopniowanie* w naśladownictwie czyniło je mniej widocznem; lub może być bezpieczeństwo swoje zawdzięczałem mistrzowskiej metodzie kopisty, któ-

ry gardząc formą oddawał ducha swego oryginału dla mej osobistej kontemplacyi i udręczenia.

Kilkakrotnie już mówiłem o wstrętnym tonie protekcyjnym, jaki wobec mnie przybierał i o jego częstem nieproszonem mięszaniu się do mych spraw. Mięszanie się to przybierało często formę rady, której nie dawał jawnie, lecz podsuwał delikatnie. Przyjmowałem to z niechęcią, rosnącą z wiekiem. Niech mi atoli wolno będzie oddać mu sprawiedliwość i powiedzieć, że nie mogę sobie przypomnieć żeby kiedykolwiek jego podszepty stały po stronie błędów i szaleństw, tak właściwych jego niedojrzałemu wiekowi i niedoświadczeniu, że jego zmysł moralny, jeżeli nie zdolności i mądrość światowa, był o wiele silniejszy od mojego i że byłbym dzisiaj lepszym, a zatem i szczęśliwszym człowiekiem, gdybym był rzadziej odrzucał rady, zawarte w tych wiele znaczących szeptach, które wtedy tak serdecznie nienawidziłem i odrzucałem.

W tych warunkach gniewało mnie coraz bardziej jego niesmaczne nadzorowanie i coraz hardziej czułem niechęć do tego, co nazywałem jego arogancją. Wspomniałem, że w pierwszych latach koleżaństwa uczucia moje względem niego mogły się były łatwo rozwinąć w przyjaźń; ale w ostatnich miesiącach mego pobytu w akademji chociaż natarczywość jego niewątpliwie osłabła uczucie moje prawie w tym samym stosunku zamieniło się w pozytywną nienawiść. Gdy razu pewnego spo-

strzegł to, zaczął mnie unikać albo (przynajmniej) udawał, że mnie unika.

Zdarzyło się to mniej więcej w tym samym czasie, jeżeli sobie dobrze przypominam, że w jakiejś gwałtownej utarczce, w której był mniej niż zwykle ostrożny i mówił oraz działał ze szczerością nieco obcą jego naturze, zauważyłem w jego akcencie, wzięciu się, i ogólnem wejrzeniu coś co mnie naprzód zdziwiło, a potem głęboko zainteresowało, wskutek obudzenia w umyśle widziadeł mego najwcześniejszego dzieciństwa, dzikiego bezładnego i wspomnień z tych czasów, kiedy pamięć jeszcze nie istniała. Nie mogę opisać lepiej doznanego wrażenia jak mówiąc, że z trudem jeno mogłem uwolnić się od przekonania, iż znałem się od bardzo dawna ze stojącym przedemną człowiekiem, od czasu nieskończenie długiego. Złudzenie atoli zniknęło tak szybko jak przyszło, a wspominam o niem tylko dla określenia daty mojej ostatniej rozmowy z moim osobliwym imiennikiem.

Olbrzymi stary dom z niezliczonymi podziałami posiadał kilka wielkich izb łączących się ze sobą, gdzie spała przeważna część studentów. Ale były także (jako rzecz nieunikniona w tak niezgrabnie planowanym budynku) liczne drobne zakamarki, które ekonomiczny spryt Dr. Bransby zamienił na sypialnie, chociaż będąc małe mogły pomieścić tylko jednego osobnika. Jeden z tych ciasnych apartamentów zajmował Wilson.

Pewnego wieczora, ku końcowi piątego roku pobytu w szkole, a bezpośrednio po wyżej wspomnianej utarczce, gdy wszyscy byli w śnie pogrążeni, wstałem z łóżka i z lampą w ręce przeszedłem przez labirynt korytarzy prowadzących do sypialni mego imiennika. Od dawna już układałem w głowie jeden z tych złośliwych figli, które jak dotąd nie udawały mi się. Zamiarem moim było wykonać zamiar właśnie teraz i postanowiłem dać mu odczuć całą niechęć jaką byłem dla niego przejęty. Doszedłszy do jego komórki wszedłem po cichu, zostawiając na zewnątrz przysłoniętą lampę, postąpiłem krok i przysłuchałem się spokojnemu oddechowi. Upewniwszy się o tem, że śpi, powróciłem, wziąłem światło i zbliżyłem się z niem powtórnie do łózka, na około, którego wisiały szczelnie firanki. W celu wykonania mego planu odsunąłem je wolno i spokojnie, gdy jasne promienie padły na śpiącego, oczy moje w tym samym czasie ujrzały jego oblicze. Spojrzałem i odrętwienie, zlodowacenie przeniknęło moje członki. Pierś się wznosiła, kolana drżały i doznałem bezprzedmiotowego a jednak nieznośnego przestrachu. Dysząc opuściłem lampę ku twarzy. Czyż to — czyż to były rysy Williama Wilsona? Drżałem jak w gorączce, bo zdało mi się, że nie były to jego rysy. Co w nich było takiego, co mnie mieszało? Wpatrywałem się a mózg mój rozsadzały bezładne myśli. Napewne

nie przedstawiał się tak na jawie. To samo nazwisko, te same zarysy osoby, ten sam dzień przybycia do akademii; a przytem, to uporczywe i bezmyślne naśladowanie mego kroku, głosu, zwyczajów. Czyż istotnie to, co widziałem, mogło być w zakresie ludzkiej możliwości wynikiem jego zwyczajnej praktyki sarkastycznego naśladowania? Przerażony, z drżeniem na całem ciele, zdmuchnąłem lampę, wyszedłem milczkiem z izby, i opuściłem natychmiast tę starą akademię, aby nigdy więcej do niej *nie wrócić.*

Po upływie kilku miesięcy, spędzonych w domu na próżniactwie, zostałem słuchaczem w Eton. Krótka przerwa pozwoliła mi zapomnieć o wypadkach w zakładzie Dra Bransby, albo zmienić przynajmniej uczucie, jakiego doznawałem na ich wspomnienie. Prawda i tragizm dramatu ulotniły się. Byłem obecnie zdolny wątpić w dowód, dostarczony mi przez zmysły, i rzadko przypominałem sobie zajście — chyba dziwiąc się zakresowi ludzkiej łatwowierności i żywej wyobraźni, którą odziedziczyłem. Życie, jakie wiodłem w Eton, nie mogło wpłynąć na osłabienie tego skeptycyzmu. Wir bezmyślnego szału, w który natychmiast i bez zastrzeżeń zanurzyłem się, spłukał wszystko, z wyjątkiem piany minionych dni, pochłonął natychmiast każde poważne wrażenie, i pozostawił w pamięci jeno szaleństwa ubiegłych lat.

Nie życzę sobie atoli opisywać biegu mojej

rozwiozłości, która urągała z praw i wymykała się z pod czujności samejże instytucyi. Trzy lata szału minęły bez korzyści, zapuszczając we mnie korzenie występnych zwyczajów i przyczyniając się do upadku fizycznego. Pewnego razu, po tygodniu bezdusznej rozpusty, zaprosiłem do siebie garstkę najrozwiozłejszych kolegów na tajną orgię w moich pokojach. Zeszliśmy się późno w noc, gdyż hulanka miała pociągnąć się aż do rana. Wino płynęło obficie, tak, że szary brzask pokazał się już na dalekim wschodzie, kiedy wybryki nasze doszły do szczytu. Odurzony kartami i alkoholem zamierzałem wnieść szczególniej wyuzdany toast, gdy uwagę moją zwróciło gwałtowne, chociaż częściowe tylko otwarcie drzwi apartamentu i wołanie służącego, oznajmiającego, że ktoś znać w wielkim będący pospiechu, pragnie widzieć się ze mną.

Ponieważ byłem oszołomiony winem, przeto niespodziewana przerwa ubawiła mię raczej, niż zdziwiła. Podniosłem się natychmiast i po kilku krokach znalazłem się w przedsionku. W niskim i małym pokoju nie było lampy, to też oświetlał go jeno słaby brzask, wpadający przez półokrągłe okno. Przestąpiwszy próg, spostrzegłem młodzieńca mojego wzrostu, ubranego tak samo jak ja. To pozwoliło mi spostrzedz słabe światło, chociaż rysów twarzy nie mogłem rozpoznać. Gdy się pokazałem, podszedł do mnie pospiesznie, a chwy-

ciwszy mnie za ramię z gestem kapryśnej niecierpliwości, wyszeptał mi w ucho słowa: »Williamie Wilsonie!«

Wytrzeźwiałem zupełnie w jednej chwili.

Było coś w zachowaniu się obcego i w drżeniu jego podniesionego palca, który trzymał między światłem i memi oczyma, co mnie napełniło nieopisanem zdziwieniem; ale nie to wzruszyło mnie tak gwałtownie. Brzemienność uroczystej przestrogi, wygłoszonej w sposób osobliwy, syczący, a nadewszystko charakter i ton tych kilku prostych i znanych mi, a *wyszeptanych* zgłosek, wywołały we mnie tysiąc tłoczących się wspomnień minionych dni i wstrząsnęły duszę do głębi. Nim się mogłem opamiętać, zniknął.

Chociaż zdarzenie to wywarło silny wpływ na moją bezładną wyobraźnię, to jednak wpływ ten szybko ustał. Przez kilka tygodni pogrążyłem się w poważnych roztrząsaniach i chorobliwych spekulacyach. Nie starałem się ukryć przed sobą tożsamości szczególnego indywiduum, które tak uporczywie mieszało się do moich spraw i dręczyło mnie swą nieproszoną radą. Ale kimże był ten Wilson? — skąd przyszedł? — jaki był jego cel? Nie mogłem odpowiedzieć sobie na żadne z tych pytań — dowiedziałem się tylko, że nagły wypadek w jego rodzinie zniewolił go do opuszczenia akademii popołudniu tegoż samego dnia, w którym ja zemknąłem. Niebawem atoli przestałem o tem

myśleć, bo zająłem się wyprawą do Oxfordu. Tam też udałem się niebawem, a nierozważna próżność moich rodziców kazała im zaopatrzyć mnie tak, że mogłem dalej brnąć w tak miłych sercu memu zbytkach, i współzawodniczyć w rozrzutności z najdumniejszymi dziedzicami najbogatszych hrabstw w Anglii.

Podniecony takimi środkami, do występku wrodzony mój temperament, wybuchnął ze zdwojonym zapałem, tak, że gardziłem nawet zwyczajnymi względami przyzwoitości w mem szalonem roznamiętnieniu. Ale byłoby nonsensem opisywać szczegółowo moje wybryki. Wystarczy powiedzieć, że przeszedłem wszystkich rozrzutników i że dając początek mnogości nowych szaleństw, pomnożyłem długi spis występków, właściwych temu najrozpustniejszemu z europejskich uniwersytetów.

Mimo to nie posądzonoby mnie o to, że tak dalece zdołałem się zapomnieć, iż zacząłem zawierać znajomość z najwstrętniejszemi sztuczkami zawodowych graczy, a stawszy się adeptem tej pogardy godnej wiedzy, zacząłem ją stosować stale, jako środek powiększenia moich, i tak ogromnych dochodów, kosztem mniej sprytnych kolegów. Tak jednak było istotnie; a bezczelność tej obrazy wszelkich męskich — honorowych sentymentów była niewątpliwie głównem, jeżeli nie jedynem źródłem bezkarności, z jaką sobie postępowałem. Bo i któż wśród mych najbardziej upadłych towa-

rzyszy nie byłby raczej zaprzeczył najoczywistszemu dowodowi swych własnych zmysłów wprzód, nimby posądził o takie postępowanie wesołego, szczerego, szlachetnego Williama Wilsona, którego szaleństwa, twierdziły jego pasożyty, były jeno szaleństwami młodości i nieokiełznanej fantazyi, którego błędy były niezrównanym humorem, a najczarniejsze występki jeno śmiałą ekstrawagancyą?

Dwa lata zajmowałem się pomyślnie tem rzemiosłem, gdy wstąpił do uniwersytetu młody *parvenu,* Glendinning — bogaty, według wieści, jak Herodes Atticus — a bogactwa jego były w tak samo łatwy sposób zdobyte. Wkrótce spostrzegłem, że jest słabej inteligencyi i postanowiłem uczynić z niego ofiarę mej sztuki. Często zapraszałem go do gry, i w zwykły graczom sposób dawałem mu wygrywać znaczne sumy, aby go tem skuteczniej usidlać. W końcu, gdy plany moje dojrzały, zszedłem się z nim (z postanowieniem, że to spotkanie będzie ostatnie i rozstrzygające) w pokoju kolegi Prestona, który oczywiście nie miał nawet najsłabszej idei o moich zamiarach. Aby nadać rzeczy lepsze zabarwienie, postarałem się o zaproszenie ośmiu czy dziesięciu innych, jakoteż o to, aby propozycya gry — tak niby przypadkowo wyszła od samejże ofiary. Aby się krótko załatwić, powiem, że nie pominąłem żadnej z tych niskich sztuczek, zwyczajnych w takich razach, na które jeszcze zawsze głupi się łapią.

Przeciągnęliśmy posiedzenie długo w noc, tak, że w końcu udało mi się zyskać Glendinninga, jako mego jedynego przeciwnika. Gra też była moją grą ulubioną -- mianowicie écarté. Reszta towarzystwa, zainteresowana grą, porzuciła własne karty i otoczyła nas w charakterze widzów. *Parvenu,* którego skłoniłem na początku wieczoru do gęstego zapijania, tasował karty, rozdawał je, lub grał z dzikiem zdenerwowaniem, które mogło w części, jeżeli nie całkowicie, wytłómaczyć przebranie miary. W krótkim przeciągu czasu stał się moim dłużnikiem na wielką sumę, gdy pociągnąwszy sobie porteru postąpił tak, jak całkiem na zimno przewidywałem — to znaczy, zaproponował podwojenie naszych i tak znacznych stawek. Z dobrze udaną niechęcią i nie wprzód, nim moja kilkakrotna odmowa wywołała z jego strony słowa, które nadały barwę urazy mojemu przyzwoleniu, przystałem. Wynik okazał oczywiście, że ofiara była całkowicie w mojej sieci; w mniej niż godzinę dług jego wzrósł w czwórnasób. Od jakiegoś czasu twarz jego zaczęła tracić zaróżowienie, wywołane alkoholem, ale teraz spostrzegłem ze zdziwieniem, że policzki jego pokryła przerażająca bladość. Powiadam »ku memu zdziwieniu«. Glendinning został mi przedstawiony jako człowiek niesłychanie bogaty; a sumy, które do tej pory przegrał, chociaż istotnie ogromne, nie mogły, jak sądziłem, niepokoić go poważnie, a tem bardziej wzburzyć go tak

gwałtownie. Pomyślałem więc, że owładnęło nim tylko co wypite wino; to też więcej w celu zachowania mej własnej opinii w oczach towarzyszów, niżeli z jakiej innej, mniej egoistycznej pobudki, już chciałem zacząć obstawać stanowczo, abyśmy przerwali grę, gdy pewne wyrażenia, wyszłe od zgromadzonych i wykrzyknik, dowodzący najwyższej rozpaczy ze strony Glendinninga, dały mi do zrozumienia, że dokonałem jego zupełnej ruiny, wśród okoliczności, czyniących go przedmiotem ogólnego współczucia i chroniących go od złośliwości samego nawet szatana.

Trudno powiedzieć, jak bym był sobie teraz postąpił. Politowania godny stan mej ofiary rzucił na wszystkich cień zakłopotania i przez kilka chwil panowało głębokie milczenie, podczas którego policzki moje płonęły od spojrzeń szyderstwa lub wyrzutu, ciskanych na mnie przez mniej zepsutych wśród zebrania. Wyznam nawet, że nieznośny ciężar troski spadł mi na chwilę z serca, wskutek niespodziewanego zdarzenia. Nagle otworzyły się ciężkie drzwi apartamentu na oścież z takim impetem, że wszystkie świece pogasły. Znikające ich światło pozwoliło nam dojrzeć, że do pokoju wszedł mężczyzna prawie mojego wzrostu i mocno obwinięty w płaszcz. Ciemność atoli była teraz całkowita, to też mogliśmy jeno *czuć,* że znajdował się wśród nas. Zanim ktokolwiek z nas ochłonął z podziwu, usłyszeliśmy głos intruza.

— Dżentelmeni — powiedział niskim, wyraźnym, nigdy nie zapomnianym *szeptem*, który przejął mnie do szpiku kości. — Dżentelmeni, nie usprawiedliwiam wcale mego zachowania się, ponieważ w ten sposób spełniam jeno mój obowiązek. Bez wątpienia nie macie pojęcia o prawdziwym charakterze człowieka, który wygrał w ciągu nocy w écarté znaczną sumę pieniędzy od Lorda Glendinninga. Podam wam więc sposób zyskania tej bardzo pożądanej informacyi. Proszę zbadać podszewkę mankieta lewego rękawa, jakoteż liczne małe paczki, znajdujące się w pojemnych kieszeniach jego haftowanego szlafroka.

Podczas jego mowy tak głęboka panowała cisza, że możnaby słyszeć muchę w locie. Skończywszy, wyszedł tak samo szybko jak wszedł. Czy mam opisać swoje sensacye? Czy mam powiedzieć, że czułem całe przerażenie skazańca? Nie miałem czasu na rozmyślanie. Chwycono mnie natychmiast i zapalono na nowo światła. Nastąpiła rewizya. W podszewce rękawa znaleziono wszystkie figury, potrzebne w *écarte*, a w kieszeniach szlafroka kilka talii faksimiliów tych, których używaliśmy w naszych posiedzeniach, z wyjątkiem, że moje należały do tych, zwanych *arrondi;* honory były na końcach lekko wypukłe, a niższe karty na bokach. W ten sposób ofiara, która zbiera, jak zwykle, z końców talii, musi swemu antagoniście zawsze zbierać honory; gracz zaś, zbierając z boków, nie zbierze dla swej ofiary nic.

Wybuch oburzenia po tem odkryciu byłby mnie o wiele mniej dotknął, niżeli milcząca pogarda, albo sarkastyczny spokój, z jakim została rewelacya ta przyjęta.

— Panie Wilson — rzekł nasz gospodarz, schylając się dla usunięcia z pod swoich stóp nadzwyczaj kosztownego płaszcza z rzadkich futer, — panie Wilson, oto pańska własność. — Na dworze było zimno; opuszczając swój pokój, narzuciłem płaszcz na szlafrok i zdjąłem go po zjawieniu się na miejscu. — Sądzę, że byłoby rzeczą zbyteczną czynić tu jakie poszukiwania — przytem spoglądał na fałdy z gorżkim uśmiechem — za dalszymi dowodami pańskiej umiejętności. Mieliśmy ich zaiste dosyć. Rozumiesz pan zapewne konieczność opuszczenia Oxfordu — a w każdym razie natychmiastowego opuszczenia mego pokoju.

Poniżony, upokorzony, byłbym może odpowiedział na ten gryzący język gwałtownym czynem, gdyby nie to, że całą moją uwagę pochłonął fakt bardzo znamienny. Płaszcz mój był zrobiony z bardzo cennych futer; nie powiem nawet, jak cennych. Krój jego był mego pomysłu, ponieważ byłem wybredny aż do przesady w takich właśnie rzeczach. Kiedy więc p. Preston podał mi to, co podjął z ziemi, i to w pobliżu wchodowych drzwi apartamentu, ze zdziwieniem, graniczącem z obawą spostrzegłem swój własny na mem ramieniu, a ten ofiarowany mi był jego imitacyą do najdrobniejszych szczegółów.

Istota, która mnie tak fatalnie zdemaskowała, była okryta płaszczem, a nikt z towarzystwa z wyjątkiem mnie samego, płaszcza nie posiadał. Mając jeszcze trochę przytomności umysłu, wziąłem płaszcz ofiarowany mi przez Prestona, przewiesiłem go niespostrzeżenie przez mój własny, opuściłem apartament z rezolutnem i wyzywającem spojrzeniem, a następnego dnia rano przed wschodem słońca zacząłem pospieszną podróż z Oxfordu na kontynent, z uczuciem przerażenia i wstydu.

Uciekłem napróżno. Złe przeznaczenie moje ścigało mnie, jakby tryumfując, dowodząc, że wykonywanie jego tajemniczej władzy jakby się dopiero co rozpoczęło. Ledwie postawiłem nogę w Paryżu, gdy się przekonałem, że przeklęty Wilson znowu miesza się do moich spraw. Lata upływały, a nie doznawałem ulgi! Nikczemnik! — W Rzymie np. wlazł ze swem natręctwem całkiem nie w porę pomiędzy mnie i moją ambicyę. W Wiedniu także — w Berlinie — i w Moskwie! Bo gdzież w końcu nie miałem słusznej podstawy do przeklinania go w głębi serca? Przerażony uciekałem od tej niezbadanej tyranii jak od zarazy; ale aż na koniec świata *uciekałem daremnie.*

Wielekrotnie w skrytości serca stawiałem pytanie: Kto on taki? — skąd się wziął? — i co jest jego zamiarem? Ale nie mogłem znaleźć odpowiedzi. Zacząłem więc badać szczegółowo formy, metody i główne rysy jego impertynenckiego

nadzoru. Ale i tu niewiele było danych dla oparcia domysłów. Było zaiste rzeczą jasną, że w każdym z tych wielu wypadków, w których wlazł mi w drogę, uczynił to jedynie dla unicestwienia tych planów, lub tych czynów, które w całej pełni wykonane, mogły by pociągnąć za sobą zły skutek. Liche to, coprawda usprawiedliwienie dla tak bezczelnie przybranego autorytetu! Liche zadośćuczynienie dla praw naturalnych, tak uporczywie i bezczelnie zaprzeczanych!

Byłem też zmuszony zauważyć, że mój prześladowca przez długi czas (zatrzymując drobiazgowo i z cudowną zręcznością identyczność swego ubioru z moim) tak się załatwiał przy włażeniu mi ustawicznie w drogę, że nie mogłem widzieć rysów jego twarzy.

Niech sobie Wilson będzie, czem chce, to przecie chyba afektacya albo głupota. Czyżby przypuszczał bodaj na chwilę, że w tym, który udzielał mi admonicyi w Eton, który zniszczył mój honor w Oxford, powstrzymał mą ambicyę w Rzymie, zemstę w Paryżu, namiętną miłość w Neapolu, albo to, co fałszywie nazywał chciwością w Egipcie — że w tym moim arcy-wrogu i złym geniuszu nie rozpoznałbym Williama Wilsona z czasów szkolnych, — nienawidzonego rywala w akademii Dra Bransby? To niepodobna! Ale idźmy do ostatniej, pełnej wypadków sceny dramatu.

Jak dotąd poddawałem się biernie jego nad sobą panowaniu. Uczucie głębokiej obawy, z jakiem zwykłym był patrzeć na wzniosły charakter, majestatyczną mądrość, oraz pozorną wszechobecność i wszechmoc Wilsona, dodane do uczucia przerażenia, nawet, którem przejmowały mnie pewne inne rysy jego natury, napełniało mnie do tej pory ideą o mej własnej słabości i bezradności i podsuwało domyślne, choć wstrętne mi poddawanie się jego woli. Ale w ostatnich czasach zacząłem tonąć w winie, którego wpływ pozbawiał mnie coraz więcej cierpliwości w znaczeniu tej kontroli. Zacząłem mruczeć, — wahać się, — opierać się wreszcie ! A czy to była jeno fantazya, która kazała mi wierzyć, że ze wzrostem mojej stanowczości siła dręczyciela proporcyonalnie się zmniejszała ? Jakkolwiekbądź zacząłem uczuwać natchnienie palącej nadziei, poczem powziąłem w duszy postanowienie nie poddawania się więcej tej niewoli.

Działo się to w Rzymie, podczas karnawału w 18.. roku; byłem na maskaradzie w pałacu neapolitańskiego księcia Dr. Broglio. Wlałem w siebie więcej wina niż zwykle, a duszna atmosfera natłoczonych pokoi, drażniła mnie ponad miarę. Trudność przeciśnięcia się przez labirynt zebranego tłumu przyczynił się też nie mało do poirytowania mnie; szukałem bowiem chciwie (niech mi wolno będzie przemilczeć w jak niegodziwym celu) mło-

dej, wesołej, pięknej żony starego i niedołężnego Dr. Broglio. Z nierozważną ufnością zdradziła się przedemną poprzednio z tem, jaki włoży kostium, a teraz ujrzawszy ją spieszyłem, aby się z nią połączyć. W tejże chwili poczułem lekką dłoń, spoczywającą na mem ramieniu i ten nigdy nie zapomniany, nizki, przeklęty *szept* w mem uchu.

W szale gniewu zwróciłem się natychmiast przeciw temu, który mi śmiał wleść w drogę i chwyciłem go gwałtownie za kołnierz. Ubrany był, jak się tego spodziewałem, w kostiumie całkowicie do mego podobnym; miał płaszcz hiszpański z niebieskiego aksamitu, opasany karmazynowym pasem, na którym wisiał rapier. Czarna jedwabna maska zakrywała całkowicie jego twarz.

»Łotrze!« zawołałem, głosem suchym z gniewu, który wzrastał z każdą sylabą: »łotrze! oszuście! przeklęty nicponiu! nie będziesz ty ścigał mnie, aż do śmierci! Chodź za mną, albo przekolę cię na miejscu! — Mówiąc to poszedłem z nim bez oporu z jego strony do przedpokoju.

Wszedłszy odrzuciłem go z furyą od siebie. Oparł się o ścianę, a ja zamknąłem drzwi z klątwą i kazałem mu wyciągnąć broń. Zawahał się małą chwilę, potem z lekkiem westchnieniem wyciągnął rapier w milczeniu i stanął w pozycyi obronnej.

Walka trwała krótko. Ja wpadłem po prostu w szał i poczułem w mem ramieniu siłę tłumu. W kilka sekund samą siłą przyparłem go do muru,

a w tedy z dzikością zwierza przebiłem go kilkakrotnie w piersi.

W tejże chwili ktoś ruszył za klamkę. Pospieszyłem zapobiedz wejściu i wróciłem natychmiast do konającego przeciwnika. Ale jakież pióro zdoła opisać zdziwienie i przerażenie, które mnie ogarnęły na widok, jaki się przedstawił mym oczom? Krótka chwila, w której podszedłem ku drzwiom, wystarczyła, aby w dalszym końcu pokoju zaszła wyraźna zmiana! Wielkie lustro — tak mi się przynajmniej zdawało w mojem pomieszaniu — stało tam, gdzie przedtem nie było żadnego; a gdy podszedłem ku niemu w najwyższej trwodze, mój własny obraz, ale z rysami wybladłymi i krwią zbryzganymi, szedł na moje spotkanie słabym i chwiejnym krokiem.

Tak mi się zdawało, powiadam, choć tak nie było. Był to mój przeciwnik — był to Wilson, stojący w agonji śmiertelnej. Maska i płaszcz leżały tam, gdzie je cisnął na ziemię, każda nitka w jego ubiorze, każdy rys jego twarzy, były identycznie *moimi!*

Był to Wilson; nie mówił on już więcej szeptem i zdawało mi się, że to ja sam mówię, gdy on rzekł:

— *Zwyciężyłeś, a ja ustępuję. Ale odtąd jesteś też nieżywym — nieżywym dla Świata, Nieba i Nadziei. Przezemnie istniałeś — a przez moją śmierć, która jest twoją, zamordowałeś sam siebie!*

LIGEIA.

Nie mogę w żaden sposób przypomnieć sobie, jak, kiedy, lub nawet gdzie poznałem po raz pierwszy panią Ligeję. Wiele lat od tego czasu upłynęło, a pamięć moja osłabła od wielu cierpień! Albo, być może, nie mogę teraz przypomnieć sobie szczegółów, ponieważ zaiste charakter mej ukochanej, jej rzadka uczoność, jej osobliwsza, spokojna piękność, wreszcie przejmująca i ujarzmiająca elokwencya jej muzykalnego organu mowy, otworzyły jej drogę do mego serca w sposób tak ukradkowy, że nie spostrzegłem ich i nie znałem. Zdaje mi się atoli, że spotykałem ją najczęściej w jakiemś starem dużem, omurszalem mieście blizko Renu. Słyszałem niezawodnie z jej własnych ust o jej rodzinie: Nie ulega wątpliwości, że jest bardzo starożytna. Ligeja! Ligeja! Zagrzebany w studyach tego rodzaju, że mogły bardziej niż co innego przygłuszyć wrażenia zewnętrznego świata, jedynie przez Ligeję samą przywołuję przed oczy obraz tej, która więcej nie istnieje. A teraz, gdy piszę, przypomina mi się, że nigdy nie znałem *ojcowskiego nazwiska* tej, która była mą przy-

jaciółką i narzeczoną i która stała się wspólniczką mych studyów, a w końcu żoną moją. Była to zabawka ze strony Ligei, czy też dowód siły mego afektu, że nigdy nie pytałem o ten punkt; albo czy to był raczej mój własny kaprys — dziko romantyczna ofiara na ołtarzu namiętnego oddania się? Sam fakt przypominam sobie tylko niedokładnie, cóż więc dziwnego, że zapomniałem okoliczności, które dały mu początek lub towarzyszyły mu? I jeżeli kiedykolwiek duch, który nazywamy *Romansem* — jeżeli kiedykolwiek ona, ta ponura i skrzydlata *Asztofet* bałwochwalczego Egiptu, przewodniczyła, jak wieść niesie nieszczęśliwym małżeństwom, to napewne przewodniczyła memu!

Jest atoli jeden cenny temat, co do którego pamięć mnie wcale nie zawodzi. Jest nim *osoba* Ligei. Była wyniosłej postawy, nieco smukła, a u schyłku dni nawet wychudła. Napróżnobym usiłował odmalować jej majestat, spokój jej zachowania się, niepojętą lekkość i elastyczność jej chodu. Zjawiała się i znikała jak cień.

Wejście jej do mego zamkniętego gabinetu zdradzała jeno muzyka jej dźwięcznego nizkiego głosu, gdy kładła swą marmurową dłoń na mem ramieniu. Żadna dziewica nie dorównała jej w pięknośći oblicza. Był to sen opiumowy, uszlachetniająca wizya, bardziej boska niż fantazye, które unosiły się wokół sennych dusz cór z Welos. A jednak rysy jej nie miały tej regularności, którą nauczy-

liśmy się błędnie czcić w klasycznych rzeźbach pogan.

—Nie ma doskonałej piękności—powiada Bakon Lord Verulam, mówiąc o wszystkich formach i rodzajach piękności, — bez pewnego *dziwactwa* proporcyi. — Jednak chociaż widziałem, że rysy Ligei nie były klasycznie regularne, chociaż pojmowałem, że jej wdzięk był zaprawdę »doskonały« i czułem, że przenikało go wiele *dziwactwa*, to przecież napróżno starałem się wykryć tę nieregularność, określić moje własne pojęcie o tem »dziwnem«. Badałem rysy wysokiego i bladego czoła — było bez błędu; jak zimno brzmi to słowo zastosowane do majestatu tak boskiego! Skóra szła bowiem w zawody z najczystszą kością słoniową, szerokość i spokój uderzały, zarówno jak łagodne wzniesienia powyżej skroni; krucze, połyskujące, bujne i faliste sploty włosów zasługiwały w całej pełni na homerycki epitet »hijacentowe«! Patrzyłem na delikatne zarysy nosa, i nigdzie, chyba w medalionach Hebrajczyków, nie widziałem podobnej doskonałości. Była tam ta sama przepyszna gładkość powierzchni, ta sama ledwie dostrzegalna tendencya do orlego nosa, te same harmonijnie wykrojone nozdrza, znamionujące wolnego ducha. Rozważałem jej prześliczne usta. Tu był zaiste tryumf wszystkich rzeczy boskich, przepyszne zagięcie krótkiej wargi górnej, wielka namiętność dolnej, dołki, które drgały i kolory, które mówiły

wiele i zęby odbijające ze zdumiewającym niemal połyskiem każdy promień świętego światła, który padał na nie podczas jej łagodnego i spokojnego uśmiechu. Badałem formacyę brody i tu, też znalazłem łagodne zaokrąglenie, mięki majestat, pełność i uduchowienie greckie — które bóg Apollo objawił tylko we śnie Cleomenesowi, synowi Ateńczyków. W końcu utonąłem w ogromnych oczach Ligei.

Odległa starożytność nie daje nam wzorów oczu. Może być, że właśnie w oczach mej ukochanej tkwiła tajemnica, o której wspomina Lord Verulam. Były one o wiele większe od zwyczajnych oczu ludzkich. Były one pełniejsze nawet od najpełniejszych oczu gazelli z doliny Nourjahad. A jednak tylko w przerwach, tylko w chwilach silnego wzruszenia — osobliwość ta występowała u Ligei nieco wyraźniej. I w takich to chwilach piękność jej była — taką się przynajmniej wydawała w mojej rozpalonej wyobraźni — pięknością istot ponad- lub pozaziemskich — pięknością bajecznych hurysek Mahometa. Źrenice były najdoskonalej czarne, a pokrywały je też dżetowe rzęsy nadzwyczajnej długości. Brwi, lekko nieregularnie zarysowane, miały to samo zabarwienie. »Dziwactwo« atoli, które widziałem w oczach, było niezależne od kształtu, barwy, lub świetności rysów, i tkwiło niezawodnie w *wyrazie.* Ah! nic nie znaczące słowo! poza którego pustym dźwiękiem

ukrywamy naszą nieświadomość rzeczy duchowych. Wyraz oczu Ligei! Jakże przez długie godziny rozmyślałem nad nim! Jakże starałem się w ciągu całej nocy letniej zbadać go! Czemże było to coś — głębszego od studni Demokrytusa — co spoczywało daleko w źrenicach mej ukochanej? Co to było takiego? Ogarnęła mnie namiętność odkrycia tego. O te oczy! te wielkie, te błyszczące, te boskie oczy! które stały się dla mnie bliźniaczemi gwiazdami Ledy, a ja ich najwierniejszym badaczem astronomem.

Niema bodaj wśród wielu niepojętych anomalii w nauce o umyśle bardziej podniecającego faktu — nigdy, o ile wiem, nie podnoszonego w szkołach — że w usiłowaniu przypomnienia sobie czegoś dawno zapomnianego, często już już mamy ją sobie przypomnieć, ale w końcu, rzecz się nam nie udaje. Jakże często wśród wytężonego badania oczu Ligei czułem zbliżające się zupełne zrozumienie jej wyrazu — czułem, jak się zbliża — a jednak nie mogłem go pochwycić — poczem znowu wymknęło mi się całkowicie! (A dziwna to, najdziwniejsza ze wszystkich tajemnic) znajdowałem w najpospolitszych przedmiotach analogię z tym wyrazem oczu Ligei. Rozumiem przez to, że po tem, kiedy piękność Ligei weszła w ducha mego, gdzie przebywała jak w świątyni, otrzymywałem od rzeczy w świecie materyalnym uczucie takie, jakiego doznawałem w sobie zawsze pod wpływem wielkich,

błyszczących oczu. A jednak nie mniej nie byłem w stanie określić tego uczucia, zanalizować go, lub rozważać go nieustannie. Poznawałem je, jak powiadam, czasami przy oglądaniu szybko rosnącej latorośli, przy rozważaniu ćmy, motyla, kokonu, strumienia bieżącej wody. Czułem go w oceanie, w spadającym meteorze, w spojrzeniach niezwykle starych ludzi. Jest też kilka gwiazd w niebie (jedna zwłaszcza gwiazda szóstej wielkości, podwójna i migocąca, tuż obok wielkiej gwiazdy Liry), która przy badaniu teleskopowem budziła we mnie tosamo uczucie. Napełniały mnie tem uczuciem nieraz pewne dźwięki instrumentów smyczkowych, a nierzadko pewne ustępy z książek. Wśród niezliczonej ilości przykładów, przypominam sobie coś w jednym z tomów Józefa Glanvill, co (może tylko wskutek swej dziwaczności — któż to wie?) zawsze napełniało mnie tem uczuciem: »I tkwi w tem wola, która nigdy nie umiera. Któż zna tajniki woli razem z jej siłą? Gdyż Bóg jest tylko wielką wolą, przenikającą wszystkie rzeczy na podstawie swego natężenia. Człowiek nie poddaje się aniołom, ani też śmierci całkowitej, inaczej jak tylko przez niedostatek swej słabej woli.«

Długi szereg lat i nieustanna refleksya uzdolniły mnie zaiste do skreślenia odległego związku pomiędzy tym ustępem z angielskiego moralisty, a częścią charakteru Ligei. *Natężenie* myśli, czynu lub mowy, było w niej zapewne wynikiem, lub co

najmniej wskaźnikiem tej olbrzymiej woli, która w ciągu naszego długiego stosunku nie dała innych lub bardziej bezpośrednich dowodów swego istnienia. Ze wszystkich kobiet, które kiedykolwiek znałem, ona, ten zewnętrzny spokój, ta wiecznie łagodna Ligea, była najgwałtowniejszą ofiarą krwawych sępów ponurej namiętności. A namiętności tej nie mogłem ocenić inaczej jak na podstawie rozszerzenia się tych oczu, które równocześnie taką przejmowały mnie rozkoszą i trwogą, jak na podstawie magicznej niemal melodyi, modulacyi, wyrazistości i spokoju jej bardzo niskiego głosu, wreszcie na podstawie dzikiej energii (podwójnie skutecznej, wskutek przeciwieństwa do sposobu wyładowania) jej słów, które zwyczajnie wygłaszała.

Mówiłem o uczoności Ligei, była ona olbrzymia, — takiej nigdy nie znałem u kobiety. Znała głęboko języki klasyczne, a, o ile sam posiadałem znajomość nowożytnych języków europejskich, nigdy nie chwyciłem jej na błędzie. Ale czyż kiedykolwiek schwyciłem Ligeię na błędzie, gdy chodziło o tak podziwianą, bo najbardziej abstrakcyjną erudycyę akademii. Jak szczególnie, jak przejmująco, ta jedna strona w naturze mojej żony, narzucała się w tym późnym czasie mojej uwadze! Wspomniałem, że wiedza jej była taka, jakiej nigdy nie spotkałem u kobiety, ale gdzież jest mężczyzna, który przeszedł pomyślnie

wszystkie szerokie pola nauk moralnych, fizycznych, matematycznych? Nie widziałem wówczas tego, co dziś całkiem jasno pojmuję, że nabytki Ligei były olbrzymie, zdumiewające; a jednak posiadalem całkowitą świadomość jej nieskończonej wyższości do tego stopnia, aby powierzyć się z ufnością dziecka jej przewodnictwu przez chaotyczny świat metafizycznych badań, któremi zajmowałem się silnie w ciągu pierwszych lat naszego małżeństwa. Z jakimże olbrzymim tryumfem — z jak żywą rozkoszą — z jak wielką ilością wzniosłej nadziei, czułem, gdy pochylała się nademną w czasie mych studyów, dalekie krajobrazy, rozwijające się przedemną stopniowo, krajobrazy, po których pysznych i nietkniętych ścieżkach mogłem w końcu dążyć do wiedzy, zanadto cennej i boskiej nadto, aby nie była zakazaną!

Jakże więc ostrym musiał być smutek, gdy po latach, ujrzałem moje dobrze ugruntowane oczekiwania odlatujące precz odemnie. Bez Ligei byłem jak dziecko idące po omacku. Obecność jej, samo jej czytanie, oświecały żywo wiele tajników transcendentalizmu, w który pogrążyliśmy się. Bez promieniującego blasku jej oczu, litery płonące i złote stawały się ciemniejsze od saturnowego ołowiu. Obecnie oczy te spoglądały, coraz rzadziej na stronice, nad któremi ślęczałem. Ligeia zaczęła chorować. Dzikie oczy płonęły zanadto świetnym

połyskiem, blade palce nabrały woskowej przejrzystosci grobu; a niebieskie żyły na wyniosłem czole nabrzmiewały i opadały gwałtownie razem z ruchami delikatnej emocyi. Widziałem, że musi umrzeć i walczyłem w duchu rozpaczliwie z okrunym Azraelem. A zapasy mej namiętnej żony były ku memu zdziwieniu, jeszcze energiczniejsze od moich. Poważna jej natura napawała mnie wiarą, że dla niej śmierć przyjdzie bez zwykłych przykrości, ale omyliłem się. Słowa nie mogą wyrazić natężenia oporu, z jakim walczyła przeciw śmierci. Zacząłem jęczeć z bolu na ten politowania godny widok. Chciałem uspokajać; chciałem rozumować; ale w napięciu jej szalonego pragnienia życia — życia — i *tylko* życia — pociecha i rozum były zarówno całkowitym bezsensem. A jednak nigdy przedtem, nawet wśród najbardziej konwulsyjnych ruchów jej dzielnego ducha, nigdy zewnętrzny spokój jej zachowania się nie został zakłócony. Głos jej złagodniał — zniżył się — ale nie życzę sobie zatrzymywać się nad znaczeniem spokojnie wygłaszanych słów. W głowie mi się mięszało, gdym słuchał, osłupiały, melodyi więcej niż śmiertelnej — przypuszczeniom i aspiracyom, których śmiertelni przedtem nie znali.

Nie wątpiłem, że mnie kochała; a łatwo mogłem przyjść do przekonania, że właśnie takim jak jej, miłość wzbudzi niezwykłą namiętność. Ale dopiero w śmierci poznałem pełnię siły jej afektu.

Przez długie godziny, trzymając mnie za rękę, wylewała przedemną wezbrane morze serca, którego więcej niż namiętne oddanie się równało się bałwochwalstwu. Czemże sobie zasłużyłem na błogosławieństwo takich wyznań!? Czem zasłużyłem sobie na klątwę utraty mej ukochanej w godzinie czynienia tych wyznań? Ale nad tem nie mogę się rozwodzić. Niech mi wolno będzie jeno powiedzieć, że w tem więcej niż kobiecem oddaniu się miłości ze strony Ligei, niestety! niczem niezasłużonem, poznałem w końcu pierwiastek jej pragnienia dalszego życia, które teraz tak prędko upływało. Tego oto silnego pragnienia — tego oto gwałtownego pożądania życia — życia tylko — nie mam siły odtworzyć — nie mam możności wyrazić.

Późno w nocy, której skonała, wzywając mnie stanowczo do swego boku, poleciła mi odczytać pewne wiersze, skomponowane przez nią samą na kilka dni przedtem. Byłem jej posłuszny. Gdym odczytał te wiersze, Ligeia krzyknęła »O Boże!« skoczyła na równe nogi i wyciągając ramiona przed siebie ruchem spazmatycznym, wołała — »O Boże! O Boski Ojcze! czyż to musi być los niezmienny? Czyż ten zwycięzca nigdy nie zostanie zwyciężony? czyż nie jesteśmy częścią samego Ciebie? Któż, któż to zna tajniki woli i jej siły? Człowiek nie poddaje się aniołom, ani też

całkowitej śmierci inaczej jak tylko wskutek niedoskonałości swej słabej woli«.

Potem jakby wyczerpana wzruszeniem opuściła swe białe ramiona i wróciła uroczyście na łoże śmierci, a gdy wydawała swe ostatnie tchnienia zmięszał się z niemi niski mruk. Nachyliłem ucho ku jej wargom i rozpoznałem znowu końcowe słowa ustępu z Glanvilla: »*Człowiek nie poddaje się aniołom, ani też całkowitej śmierci, jak wskutek niedoskonałości swej słabej woli*«.

Umarła, a ja zmartwieniem na proch zmiażdżony, nie mogłem dłużej znieść samotnego opustoszenia mego domu, w starem i rozpadającem się mieście nad Renem. Nie brakło mi tego, co świat nazywa bogactwem. Ligeia wniosła mi o wiele więcej niż zwykle staje się udziałem śmiertelnych. To też po kilku miesiącach nudnej i bezcelowej włóczęgi, kupiłem i kazałem odnowić opactwo, którego nazwy nie wymienię, w jednej z najdzikszych i najmniej uczęszczanych części pięknej Anglii. Ponura wspaniałość budynku, prawie dzikie wejrzenie całości, wiele melancholicznych i szacownych wspomnień związanych z miejscowością, miały wiele wspólnego z uczuciami zupełnego opuszczenia, które wpędziło mnie w tę odległą i nietowarzyską okolicę kraju. Chociaż na zewnątrz opactwo, otoczone zielonością, niewielkiej podległo zmianie wewnątrz z dziecinną przewrotnością, a może i w nadziei 'przyniesienia ulgi memu cierpieniu puściłem

wodze więcej niż królewskiemu przepychowi. Do takich szaleństw nabrałem smaku już w dzieciństwie, a teraz paroksyzm powtórzył się jakby wskutek osłabienia z żalu. Czuję jak sporo poczynającego się obłąkania można było spostrzedz w tych pysznych i fantastycznych draperyach, w wzorzystych rzeźbach egipskich, w dzikich kor niszach i meblach, we wzorach dywanów przetykacych złotem! Stałem się niewolnikiem więzów opiumowych, a prace moje i rozkazy brały charakter od tych snów. Ale nie będę opisywał szczegółowo tych absurdów. Opowiem tylko o tym jednym pokoju, na zawsze przeklętym, dokąd w chwili umysłowego zboczenia poprowadziłem od ołtarza jako swoją oblubienicę, jako następczynię nigdy nie zapomnianej Ligei, jasno - włosą i niebieskooką Lady Rowenę Trerunion z Tremaine.

Nie ma części architektury lub dekoracyi tego pokoju, którejbym teraz nie widział przed oczami. Gdzie były dusze dumnej rodziny oblubienicy, kiedy przez chciwość złota pozwolono przejść przez próg apartamentu tak ozdobionego dziewicy i córce tak ukochanej? Powiadam, że drobiazgowo przypominam sobie szczegóły pokoju, a jednak zapominam rzeczy głębszego znaczenia, które ulotniły się z mej pamięci. Izba leżała w wysokiej wieży zamczystego opactwa, miała kształt pięcioboku i była obszerna. Cały południowy bok zajmował okno, duża tafla weneckiego szkła, jedna pojedyncza szyba, zabarwiona

ołowiowo tak, że przechodzące przez nią promienie czy to słońca, czy księżyca padały z ponurym blaskiem na przedmioty wewnątrz znajdujące się. Ponad górną częścią tego olbrzymiego okna rozciągała się drewniana krata ze starą winną latoroślą, która pięła się na masywny mur wieży. Sufit z ciemnego dębu, był nadzwyczaj wyniosły, sklepiony, starannie ozdobiony najdzikszymi i najbardziej groteskowymi okazami nawpół gotyckiej i nawpół druidycznej sztuki. Ze środkowego zagłębienia tego melancholijnego sklepienia zwisała na pojedynczym łańcuchu złotym o długich ogniwach olbrzymia kadzielnica z tego samego metalu, wyrobu saraceńskiego i z wielu otworami tak zrobionymi, że ustawicznie wydobywały się przez nie, jakby wężowe sploty, różnobarwne ognie.

Kilka otoman i złotych kandelabrów wschodniego kształtu, stały w różnych miejscach; a była też i sofa, małżeńska sofa, na wzór indyjski, niska wytłoczona z hebanu, nakryta baldachimem. W każdym z rogów pokoju stał na głowie olbrzymi sarkofag z czarnego granitu, z grobów królewskich z Luxoru. Ale w draperyach pokoju tkwiła główna fantazya. Wysokie ściany, nieproporcyonalnie wysokie, były zakryte od góry do dołu licznemi fałdami ciężkiej materyi, która zarówno stanowiła dywan na podłodze, jakoteż pokrycie ottoman i hebanowego łoża, baldachim nad łożem, wreszcie wspaniałe zwoje firanek, zasłaniających częściowo

okno. Materya była bogato przetykana złotem i upstrzona w nieregularnych odstępach arabeskami blisko stopowemi w średnicy, a rzuconemi czarną barwą. Ale figury te wtedy tylko miały postać arabesek, gdy się na nie patrzyło ze specyalnego punktu. W sposób dzisiaj powszechny, a datujący od dawna, dano im zmienne wejrzenie. Wchodzącemu do pokoju przedstawiały się jak zwykłe monstra, ale po zbliżeniu się traciły stopniowo ten charakter i krok za krokiem, w miarę posuwania się w głąb pckoju, gość widział się otoczonym nieskończoną procesyą przerażających postaci, zrodzonych w przesądach normanów, lub w grzesznych snach mnichów. Fantasmagoryczny efekt podnosiło znacznie sztuczne wprowadzanie nieustannego silnego prądu powietrznego poza draperye, co nadawało całości pozory strasznego ożywienia.

W salach tej podobnym takich jak ta małżeńskich izbach, spędziłem z Lady Tremaine nie poświęcone godziny pierwszego miesiąca naszego małżeństwa i to bez zaniepokojenia, że moja żona obawiała się kapryśności mego temperamentu, że unikała mnie, że nie kochała mnie bardzo, tego nie mogłem nie widzieć, ale to mi raczej sprawiało przyjemność, niżeli inne uczucie. Miałem do niej wstręt i nienawidziłem ją z siłą demona raczej niż człowieka. Pamięć moja wracała (oh! z jakimże żalem) do Ligei, kochanej, wzniosłej, pięknej, pogrzebanej.

Rozkoszowałem się wspomnieniami jej czystości, mądrości, wzniosłej, eterycznej natury, namiętnej i bałwochwalczej miłości. Teraz duch mój płonął całkowicie i swobodnie więcej niż wszystkimi jej ogniami. W podnieceniu mych snów opiumowych (gdyż oddawałem się stale nałogowi) wołałem głośno jej imię wśród ciszy nocnej, albo w dzień wśród cienistych ustroni, jak gdybym upajającem pragnieniem zmarłej mógł przywrócić ją na ścieżkę, którą odeszła, jakoteż na samą ziemię.

Niemal w początkach drugiego miesiąca małżeństwa Lady Rowena podległa nagłemu atakowi choroby, z której wolno do siebie przychodziła. Pożerająca gorączka niepokoiła ją po nocach; w zakłóconym stanie pół-snu mówiła o dźwiękach i poruszeniach wewnątrz i wokól pokoju wieżowego, które, mojem zdaniem, brały początek w jej podnieconej fantazyi, lub też w fantasmagoryjnym wpływie samegoż pokoju. Potem stała się rekonwalescentką, wreszcie wyzdrowiała zupełnie. Ale po krótkiej przerwie drugi gwałtowniejszy jeszcze atak powalił ją na łoże boleści; z tego ataku zawsze słabo zbudowana nigdy już nie przyszła zupełnie do siebie. Choroby jej były po tej epoce charakteru bardzo niebezpiecznego i powracały w sposób niepokojący, który kpił sobie zarówno z wiedzy, jak i z wysiłków jej lekarzy. Z rozwojem chronicznej choroby, która wyraźnie za mocno zakorzeniła się w jej organizmie, aby ludzkie

środki mogły ją usunąć; zauważyłem proporcyonalny wzrost w nerwowem podrażnieniu jej temperamentu i w jej wrażliwości na drobne przyczyny strachu. Mówiła znowu i to nietylko częściej, ale i uporczywiej, o szmerach — o lekkich szmerach — i o niezwykłych ruchach w pośród fałd materyi.

Pewnej nocy ku końcowi września, narzucała mej uwadze ten przykry stan rzeczy ze zwiększoną emfazą. Tylko co zbudziła się z niespokojnego snu, a ja przyglądałem się nawpół z uczuciem troski, nawpół z nieokreśloną trwogą wyrazowi jej oblicza. Siedziałem u boku jej hebanowego łoża, na jednej z indyjskich ottoman. Podniosła się częściowo, i mówiła cichym szeptem o szmerach, które właśnie *wtedy* słyszała, których atoli ja słyszeć nie mogłem — o ruchach, które ona *wtedy* właśnie widziała, a których ja ujrzeć nie mogłem, wiatr przebiegał poza materyą i chciałem pokazać jej (w co sam wierzyć nie mogłem), że te prawie nieartykułowane oddechy i te bardzo delikatne zmiany postaci na ścianie, były zwykłymi skutkami powiewu wiatru. Ale śmiertelna bladość, pokrywająca jej twarz, dowodziła, że usiłowania moje uspokojenia jej, byłyby bezowocne. Zdawała się mdleć, a w pokoju nie było służby. Pamiętałem, gdzie stała karafka lekkiego wina, przepisanego przez lekarza, i pospieszyłem, aby je przynieść. Ale gdym przechodził pod światłem kadzielnicy, dwie dziwne okoliczności zwróciły moją uwagę. Czułem, że jakiś dotykalny,

jakkolwiek niewidzialny przedmiot przesunął się koło mnie; i widziałem, że na złotym dywanie leżał w samym środku blasku, rzucanego przez kadzielnicę cień — delikatny, nieokreślony, anielski cień — taki, jaki możnaby wziąć za cień cienia. Ale byłem pod wpływem nieumiarkowanej dawki opium, i nie wiele zwracałem uwagi na te rzeczy, ani też nie wspomniałem o nich Rowenie. Znalazłszy wino, powróciłem do łóżka, i nalałem pełny puhar i ten podsunąłem do ust mdlejącej kobiety, która częściowo przyszła do siebie, ujęła sama naczynie, ja zaś upadłem na pobliską ottomanę, wlepiając w nią oczy. Wtedy to poczułem delikatne stąpnięcie na dywanie w pobliżu kanapy; w chwilę potem, gdy Rowena właśnie wznosiła wino do ust, widziałem, albo zdawało mi się, że widziałem, jak gdyby z jakiegoś niewidzialnego źródła w pokoju wpadły do puharu trzy czy cztery wielkie krople błyszczącego, rubinowego płynu. Jeżeli ja to widziałem — Rowena nie widziała. Połknęła wino bez wahania, a ja zataiłem przed nią okoliczność, która musiała być (po bliższej rozwadze) jeno wytworem żywej imaginacyi, chorobliwie wrażliwej, wskutek przestrachu żony, dużej dawki opium i późnej godziny.

Mimo to nie mogę ukryć tego sam przed sobą, że bezpośrednio po wpadnięciu rubinowych kropli do wina nastąpiło nagle pogorszenie w stanie mojej żony, tak, że trzeciej nocy ręce służby

przygotowywały ją do grobu, a czwartej siedziałem sam z jej otulonem ciałem w tym fantastycznym pokoju, który witał w niej moją oblubienicę. Dzikie wizye, wywołane przez opium, przesuwały się przedemną jak cienie. Spoglądałem niespokojnem okiem na sarkofagi w rogach pokoju, na zmienne postaci draperyi i na wicie się różnobarwnych ogni w kadzielnicy. Kiedym zaś sobie przypomniał okoliczności poprzedniej nocy, oczy moje padły na miejsce pod kadzielnicą, gdzie widziałem słabe ślady cienia. Teraz go tam jednakże nie było; oddechając swobodniej zwróciłem wzrok na bladą, sztywną postać na łóżku. Wtedy obudziło się we mnie tysiąc wspomnień Ligei, a wtedy ozwała się w mem sercu z gwałtownością wezbranej wody cała żałość, z jaką patrzyłem kiedyś na *nią* tak spowitą. Noc uchodziła; a jeszcze z piersiami, pełnemi gorzkich myśli o tej jedynej tak mocno ukochanej, wpatrywałem się w ciało Roweny.

Mogła to być północ, albo wcześniej nawet, może później, bo nie zważałem na czas, gdy łkanie ciche, delikatne, ale bardzo wyraźne, obudziło mnie z mych marzeń. *Czułem, że* wyszło z hebanowego łóżka — łoża śmierci. Nasłuchiwałem w agonii przesądnej trwogi — ale dźwięk się nie powtórzył. Wytężyłem wzrok, aby odkryć jakiś ruch u nieboszczki, ale nie mogłem dostrzedz najsłabszego. A jednakże nie mogłem uledz złudzeniu. *Słyszałem* głos, jakkolwiek słaby i dusza zbudziła

się we mnie. Rezolutnie i upoczywie zwracałem uwagę na ciało. Wiele minut upłynęło nim zaszła okoliczność, rzucająca światło na tę tajemnicę. Nareszcie było rzeczą jasną, że lekkie, bardzo słabe, ledwie dostrzegalne zarumienienie pojawiło się na policzkach i wzdłuż zapadłych żył powiek. Wskutek niewypowiedzianego przerażenia, dla którego język śmiertelników nie ma dość silnego wyrażenia, poczułem, że serce we mnie bić przestało, że członki moje sztywniały. Ale w końcu poczucie obowiązku oprzytomniło mnie, nie mogłem dłużej wątpić, że pospieszyliśmy się zanadto w naszych przygotowaniach, — że Rowena jeszcze żyła. Należało dać jej natychmiastową pomoc, ale wieża była daleko od części opactwa, zajętego przez służbę — nie miałem sposobu przywołania kogokolwiek bez opuszczenia pokoju na wiele minut — a na to nie mogłem się odważyć. Zacząłem więc sam usiłowania w celu przywołania z powrotem unoszącego się jeszcze ducha. W krótkim przeciągu czasu było rzeczą pewną, że nastąpiło pogorszenie; zabarwienie zniknęło tak z powiek, jak z policzków, zostawiając po sobie bladośc więcej niż marmurową; usta pokurczyły się jeszcze mocniej i przybrały wyraz śmierci; wstrętna wilgoć i zimno rozlały się pospiesznie po powierzchni ciała; bezpośrednio zaś potem wystąpiła zwyczajna sztywność. Upadłem z drżeniem na sofę, z której

tak niedawno się porwałem i znowu oddawałem się snom na jawie, których przedmiotem była Ligeia.

Tak upłynęła godzina, gdy (czyż to możliwe?) usłyszałem poraz drugi jakiś niewyraźny szmer wychodzący z okolicy łóżka. Słuchałem w najwyższem przerażeniu. Szmer powtórzył się — było to westchnienie. Biegnąc do trupa ujrzałem — wyraźnie ujrzałem — drżenie warg. W chwilę potem rozwarły się, ukazując jasną linję perlistych zębów, zdziwienie walczyło obecnie w mej piersi z głębokiem przerażeniem; czułem, że wzrok mi się zaćmiewał, że rozum mnie opuszczał; i tylko dzięki gwałtowemu wysiłkowi nakłoniłem się nareszcie do spełnienia obowiązku. Czoło, policzki i szyja zapłonęły częściowo; wyczuwalne ciepło przenikało całe ciało; serce okazywało nawet słabą pulsacyę. Lady *żyła*, ze zdwojonym zapałem zabrałem się do cucenia. Tarłem i zwilżałem skronie i ręce, używając wszystkiego, co doświadczenie i oczytanie się w dziełach medycznych podsuwało mi. Ale nadarmo. Nagle rumieniec pierzchnął, puls ustał, usta przybrały wyraz śmierci i w chwilę potem, całe ciało zlodowaciało, przybierając sine zabarwienie, mocną sztywność, zapadłość rysów i wszystkie wstrętne cechy zmarłego już od kilku dni.

Znowu więc oddałem się marzeniu o Ligei i znowu (czyż dziwna, że drżę pisząc to?) — *znowu* doszło mych uszu delikatne łkanie od strony he-

banowego łoża. Ale pocóż mam opisywać szczegółowo niewypowiadziane przejścia tej nocy? Pocóż mam opowiadać jakto raz po raz prawie, aż do szaregu świtu, okropny dramat odżywania się powtarzał, jak za każdym razem następywało wyraźne pogorszenie się; jak przebieg sprawy miał pozory walki z niewidzialnym wrogiem i jak każda walka poprzedzała dziwną zmianę w trupie? Lepiej doprowadzić rzecz do końca.

Większa część strasznej nocy upłynęła, a ta co była nieżywa, poruszyła się raz jeszcze tym razem silniej, niż poprzednio, chociaż znajdowała się w rozkładzie silniejszym, od porzednich Dawno ustałem walczyć lub poruszać się i siedziałem sztywny na ottomanie, jak bezbronna ofiara wiru gwałtownych emocyi, wśród których najważniejszą może było nadzwyczajne przerażenie. Trup, powtarzam, poruszył się i to silniej niż poprzednio. Barwy życia zakwitły w twarzy z niezwykłą energią — członki zmiękły — i z wyjątkiem tego, że powieki były jeszcze mocno zaciśnięte i że bandaże dawały ciału grobowe pozory, mogłem myśleć, że Rowena zrzuciła z siebie całkowicie więzy śmierci. Ale jeżeli idea ta nie była nawet wtedy całkiem odpowiednia, nie mogłem dłużej wątpić gdy podnosząc się z łóżka, chwiejnym krokiem, z zamkniętemi oczami i jakby w śnie pogrążona, zaczęła wyraźnie posuwać się na środek pokoju.

Nie drżałem, nie ruszałem się, — gdyż mnó-

stwo nieopisanych wspomnień, związanych z wejrzeniem, z postawą, z całem wzięciem się postaci, przebiegające przez mój mózg sparaliżowało mnie i zamieniło w kamień. Nie ruszałem się — lecz wpatrywałem się w zjawisko. Szalony bezład opanował moje myśli — bezład niepokonany. Czyż mogła to być istotnie *żyjąca* Rowena, która stała przedemną? Czyż mogła to być *wogóle* Rowena — jasnowłosa, niebiesko-oka Lady Rowena Trewanion z Tremaine? Czemuż miałbym wątpić.

Bandaż zaciskał szczelnie usta — ale czyż nie mogły to być usta oddechającej Lady z Tremaine? A policzki — były różowe jak w pełni życia tak, to mogły być zaiste piękne policzki żywej Lady z Tremaine. A broda z dołkami jak w zdrowiu, czyż nie mogła być jej? — *ale czyż wyrosła od czasu swej choroby?* Jakaż to szalona myśl opanowała mnie? Jednym skokiem byłem u jej stóp! Usuwając się przed mem dotknięciem, zrzuciła z głowy wstrętne powijaki grobowe i wtedy spłynęły po ramionach olbrzymie sploty rozpuszczonych włosów; *były one czarniejsze od skrzydeł nocy!* Teraz otworzyły się zwolna oczy stojącej przedemną postaci. »Nakoniec więc«, zawołałem głośno, »czyż się nie mylę — wszak to pełne, czarne, dzikie oczy — mej utraconej miłości, oczy Lady — *Lady Ligei!*

MORELLA.

Czulem prawdziwie głębokie i bardzo osobliwe uczucie dla mojej przyjaciółki Morelli. Zrobiwszy z nią znajomość wiele lat temu poczułem, że dusza moja zapłonęła od pierwszego spotkania ogniami, których przedtem nie znałem; ale nie były to ognie Erosu, to też gorzkiem i gryzącem dla mnie było stopniowe przekonanie, że nie mogłem w żaden sposób określić ich niezwykłego znaczenia, lub umiarkować ich natężenia. Ale poznaliśmy się; los połączył nas przed ołtarzem; nigdy nie mówiłem o uczuciu, nie myślałem o miłości. Ona atoli, unikała towarzystwa ludzi i przywiązawszy się do mnie jedynie, czyniła mnie szczęśliwym.

Erudycya Morelli była głęboka. Tak jak życia pragnę talenty jej były wprost niezwykłe — siły jej umysłu były olbrzymie. Czułem to i w wielu rzeczach stałem się jej uczniem. Wkrótce atoli spostrzegłem, że być może z powodu jej wychowania w Presburgu, kładła przedemną mnóstwo tych mistycznych pism, które się zwykle uważa za szumowiny wczesnej literatury niemieckiej. Te

oto pisma były z nieznanej mi przyczyny przedmiotem jej ulubionych i nieustannych studyów i to, że z biegiem czasu stały się także mojemi studyami należy przypisać prostemu lecz silnemu wpływowi zwyczaju i przykładu.

We wszystkiem tem jeżeli się nie mylę, rozum mój nie wiele miał do czynienia. Ideały te wcale nie wpływały na moje przekonania i jeżeli się nie bardzo mylę, nie można było odkryć, ani w moich czynach, ani też w myślach tego mistycyzmu, o którym bezustannie czytałem. Przekonany o tem powierzyłem się bez zastrzeżeń przewodnictwu swej żony i z niezachwianem sercem wszedłem w labirynt jej studyów. A wtedy kiedy pochylony nad wzbronionemi pismami, czułem rodzące się we mnie zakazane uczucia, wtedy Morella kładła mi na rękę swą chłodną dłoń i wydobywała z popiołów dawno zmarłej filozofii jakieś ciche, szczególne słowa, których osobliwe znaczenie wypalało się niezatarcie w mej pamięci. A wtedy godzinę za godziną spędzałem u jej boku, rozkoszując się muzyką jej głosu — aż w końcu jego melodya nabrała cechy przerażenia — i wtedy padał cień na mą duszę — i bladłem i drżałem wewnętrznie słuchając tych nieziemskich tonów. Tak nagle radość przechodziła w trwogę, a to co było najpiękniejsze, stawało się odrażającem tak, jak Hinnom stał się Ge-Henną.

Zbytecznem byłoby opisywać dokładnie cha-

rakter tych dyskursów, które biorąc początek we wspomnianych przezemnie tomach stanowiły przez czas długi niemal jedyny przedmiot rozmowy pomiędzy Morellą, a mną. Przez biegłych w nauce teologicznej moralności byłyby one łatwo zrozumiane, nie uczeni pojmowaliby mało. — Dziki Panteizm: Fichtego, zmodyfikowana παλιγγενεσια Pytagorasa; a przedewszystkiem doktryna *identycznośći* postawiona przez Schellinga, były ogólnie przedmiotami dyskusyi, przedstawiającymi najwięcej piękności dla wrażliwej Morelli. Zdaje mi się, że Locke prawdziwie określa identyczność osobistą jako tożsamość rozumnej istoty. A skoro przez osobę rozumiemy inteligentną istotę posiadającą rozum, skoro myśleniu towarzyszy zawsze świadomość, to te właśnie cechy dają nam możność nazywania się *sobą samymi* — odróżniając nas w ten sposób od innych istot myślących i dając nam naszą osobową tożsamość. Ale *principium individuationis*, pojęcie tej tożsamości, *która przy śmierci ginie, albo nie ginie na wieki*, była dla mnie zawsze przedmiotem silnego zainteresowania się; nie tyle wskutek splątanej natury jej następstw, ile ze sposobu, w jaki Morella o nim wspominała.

Ale nadszedł wreszcie czas, kiedy tajemnica zachowania się mojej żony zaczęła mnie dręczyć jak zaklęcie. Nie mogłem dłużej znosić dotknięcia jej białych palców, ani też niskiego tonu jej dźwięcznego głosu, lub połysku jej melancholijnych oczu.

Wiedziała o tem wszystkiem, ale nie łajała mnie; zdawała się mieć świadomość mej słabości czy mego szału i z uśmiechem na ustach nazywała je *Losem*. Zdawała się też posiadać świadomość przyczyny, mnie nie znanej, stopniowego słabnięcia moich względów; ale nie udzieliła mi wskazówki odnośnie do jej natury. A była przecie kobietą i cierpiała z tego powodu. Z czasem karmazynowy rumieniec pojawił się na policzkach, i niebieskie żyły na czole wystąpiły wyraźnie; jednej chwili czułem dla niej litość, ale następnej spotkałem jej pełne połysku i znaczenia spojrzenie, a wtedy dusza moja doznawała takiego zawrotu, jak człowiek, spoglądający w dół strasznej i niezgłębionej przepaści.

Czyż mam powiedzieć, że z utęsknieniem oczekiwałem śmierci Morelli? Istotnie; ale kruchy duch trzymał się swego glinianego schronienia przez wiele dni, przez wiele tygodni i nużących miesięcy, aż w końcu zdręczone nerwy opanowały umysł, i zwłoka w szał mnie wprawiała, i z sercem demona przeklinałem dni i godziny i gorzkie chwile, które zdawały się przedłużać pod koniec jej wątłego życia, jak cienie u schyłku dnia.

Pewnego jesiennego wieczoru, gdy wiatry leżały w niebie spokojnie, Morella wezwała mnie do swego boku. Gęsta mgła pokryła całą ziemię, a ciepły płaszcz wszystkie wody i wśród bujnych pa-

ździernikowych liści lasu, objawiła się opadłą z nieba tęcza.

— Jestto dzień dni — rzekła, gdym się zbliżył; — dzień ze wszystkich dni, aby żyć lub umierać! Piękny to dzień dla synów ziemi i życia — ach, piękniejszy dla cór nieba i śmierci!

Pocałowałem ją w czoło, a ona ciągnęła:

— Umieram, a jednak będę żyć!

— Morella!

— Nigdy nie mogłeś mnie kochać — ale tę, której nienawidziłeś za życia, będziesz uwielbiał po śmierci.

— Morella.

— Powtarzam, że umieram. Ale we mnie jest zakład tego uczucia — ah, jak małego! — które żywiłeś dla mnie, Morelli. A gdy duch mój uleci, dziecko żyć będzie — twoje dziecko i moje, Morelli. Ale dni twoje będą dniami smutku — tego najdłużej trwającego wrażenia, jak cyprys jest najtrwalszym z drzew. Gdyż godziny twego szczęścia minęły; radości nie zbiera się po dwakroć w życiu, jak róże w Paestum dwa razy do roku. Nie będziesz więc bawił się z czasem w Tejana, lecz nieświadom mirtu i wina, będziesz włóczył ze sobą swą powłokę na ziemi, jak czynią Moslemici w Mecce.

— Morella! — zawołałem — Morella! skąd ty to wszystko wiesz? — Ale ona odwróciła twarz na poduszce, lekkie drżenie wstrząsnęło

jej wargami, przestała żyć i nie słyszałem więcej jej głosu.

Lecz dziecko, zgodnie z jej przepowiednią, któremu umierając dała życie, a które nie wprzód zaczęło oddechać nim matka oddechać nie przestała, ale jej dziecko, ale córka żyła. Rosła ona dziwnie w postawę i rozum i była dokładnym portretem zmarłej, a kochałem ją mocniej niż przypuszczałem, że można kochać śmiertelną istotę.

Niebawem horyzont tego czystego afektu zachmurzył się, a ponurość, przerażenie i zmartwienie pokryły je. Wspomniałem, że dziecko dziwnie rosło w postać i rozum. Dziwnym zaiste był jej szybki wzrost w ciało, ale straszne, oh! straszne były bezładne myśli, tłoczące się we mnie na widok rozwoju jej własności umyslowych. Czyż mogło być inaczej, gdym odkrywał codziennie w koncepcyach dziecka władze i zdolności dojrzałej kobiety? gdy zdania pełne doświadczenia szły z ust dziecięcych? gdym co chwila widział mądrość i uczucie dojrzałego wieku, promieniejące z jej pełnego — myślącego oka? Gdy wszystko to stało się jasne dla moich zmysłów — gdym tego nie mógł dłużej ukrywać przed moją duszą — dziwiłem się tym podejrzeniom strasznej i podniecającej natury, które opanowały mego ducha, lub temu, że myśli moje opanowały dzikie opowiadania i wstrząsające teorye Morelli. Porwałem światu z przed oczu istotę, którą los kazał mi uwielbiać,

w ścisłem odosobnieniu mego domu badałem pilnie wszystko, co miało związek z moją ukochaną.

Gdy lata upływały, a ja patrzyłem co dzień na jej świętą łagodną i wymowną twarz i zastanawiałem się nad jej dojrzewającą formą, dzień za dniem odkrywałem nowe punkty podobieństwa w dziecku do jej matki, melancholijnej i nieżyjącej. Z każdą godziną stawały się ciemniejsze te cienie podobieństwa i pełniejsze i bardziej określone, i bardziej niepokojące i straszniejsze w swem wejrzeniu. Że uśmiech jej był podobny do matczynego, to mogłem znieść, ale drżałem na widok za dokładnej *tożsamości*, że jej oczy były jak oczy Morelli, to mogłem ścierpieć; ale tylko za często patrzyły w głąb mej duszy z natężeniem, właściwym Morelli.

A w zarysach wysokiego czoła, w splotach jedwabistych włosów, w bladych palcach, ginących we włosach, w smętnych muzycznych tonach jej mowy, a przedewszystkiem — oh, przedewszystkiem — we frazesach i wyrażeniach się zmarłej na ustach kochanej i żyjącej, znajdował się pokarm dla pożerających mnie myśli i przerażenia — przed robakiem, który nie chciał umrzeć.

Tak przeszło dwa pięciolecia jej życia, ale aż dotąd córka moja nie miała na ziemi imienia. »Moje dziecko« i »moja droga«, były zwykłemi nazwami, dyktowanemi przez uczucia ojca, a samotność wykluczała wszelkie inne stosunki. Imię

Morelli zgasło razem z jej śmiercią. Nigdy nie mówiłem z córką o matce; nie podobna było mówić. W czasie krótkiego swego istnienia nie odbierała ona żadnych wrażeń ze świata zewnętrznego, z wyjątkiem tych, na jakie pozwalało jej szczęsne odosobnienie. W końcu ceremonja chrztu przedstawiała dla mego umysłu w tym gorączkowym stanie sposób wybawienia ze szponów mego przeznaczenia. Przy chrzcielnicy zawahałem się nad imieniem. Na usta moje cisnęło się wiele tytułów pięknych i rozumnych, dawnych i nowych czasów, mego własnego i obcych krajów, razem z wielu tytułami szlachetnych, szczęśliwych i dobrych. Cóż więc skłoniło mnie do zakłócenia spokoju pogrzebanej zmarłej? Jakiż demon podszepnął mi ten dźwięk, na którego samo wspomnienie krew zbiegała ze skroni do serca? Jakiż zły duch przemówił z głębin mej duszy, gdym wpośród tych ciemnych naw i wśród ciszy nocy wyszeptał w uszy świętego męża słowo — Morella? Któż inny, jak nie zły duch skręcił rysy mego dziecka, pokrył je barwami śmierci, gdy zadumawszy się na ten ledwie dosłyszalny dźwięk, zwróciła swe szklane oczy z ziemi ku niebu i padając na wznak na czarne płyty kościoła, odpowiedziała — »jestem tutaj!«

Wyraźnie, zimno, spokojnie, wpadły te proste dźwięki w moje ucho, a stąd jak stopiony ołów potoczyły się z sykiem do mego mózgu. Lata — lata mogą upłynąć, ale pamięć tej chwili — nigdy!

Nie byłem zaiste nieświadom kwiatów i winnej latorośli, — ale cyprys ocieniał mnie dzień i noc. Nie liczyłem, ani czasu, ani miejsca, gwiazdy mego przeznaczenia zagasły na niebie, na ziemi pociemniało, postaci jej przesuwały się koło mnie jak znikome cienie, a wśród nich widziałem tylko — Morellę! Wiatry niebieskie dźwięczały mi w uszach, tylko jednym dźwiękiem, a fale na morzu szumiały bezustannie — Morella. Ale ona zmarła; na własnych rękach zaniosłem ją do grobu; śmiałem się długim i gorzkim śmiechem nie znalazłszy śladów pierwszej tam, gdzie złożyłem drugą Morellę!

NIEZRÓWNANE PRZYGODY HANSA PFAALLA.

Według ostatnich wiadomości z Rotterdamu, miasto znajduje się w stanie wysokiego filozoficznego podniecenia. Istotnie, zdarzyły się tam rzeczy natury tak niezwykłej, tak zupełnie nowej — tak całkowicie w rozdźwięku z ustalonemi opiniami — iż nie wątpię, że niebawem cała Europa podlegnie wzburzeniu, że rozum i astronomia staną do siebie w silnym antagonizmie.

Zdaje się, że dnia — miesiąca — (nie znam dokładnie daty), wielki tłum ludu, w celach bliżej nieznanych, zgromadził się na wielkim placu giełdy, w zamożnem mieście Rotterdamie. Był to ciepły dzień — nawet niezwykle ciepły w tej porze roku — w powietrzu nie było najlżejszego przewiewu, to też tłum nie gniewał się na przelotny, krótkotrwały deszcz, spadający z wielkich białych mas chmur, obficie rozsianych po mokrem sklepieniu nieba. Pomimo to, około południa lekkie poruszenie powstało wśród zgromadzenia; dziesięć tysięcy języków zaczęło pracować, a w chwilę potem dziesięć tysięcy twarzy skierowało się w stronę nieba, dziesięć ty-

sięcy fajek wysunęło się z pomiędzy dziesięciu tysięcy ust i okrzyk, który można porównać jedynie do łoskotu Niagary, rozległ się długi, głośny i gniewny, przez całe miasto i przez wszystkie okolice Rotterdamu.

Przyczyna tego hałasu stała się wkrótce dostatecznie jasna. Z poza olbrzymiej masy jednej z tych ostro zarysowanych chmur, o których wyżej była mowa, zaczęła się powoli wysuwać na otwarte pole błękitne dziwaczna, pozornie stała substancya, tak osobliwie ukształtowana, tak kapryśnie i fantastycznie sformowana, że gromada dzielnych mieszczan, stojących z rozwartemi ustami, nie mogła zjawiska w żaden sposób zrozumieć, ani też dość mu się nadziwić. Cóż to bowiem być mogło? W imię wszystkich czartów rotterdamskich, cóż to zjawisko mogło oznaczać lub wróżyć? Nikt nie wiedział, nikt nie mógł sobie wyobrazić; nikt, nawet burmistrz, Mynheer Superbus von Underduk, — nie umiał wyjaśnić tajemnicy; i tak, skoro już nic rozsądniejszego nie można było zrobić, wszyscy co do jednego ujęli napowrót fajki w usta, a utkwiwszy oczy w zjawisko, pykali, chodzili bez celu i pokrząkiwali znacząco, poczem znowu puszczali kłęby dymu.

Tymczasem atoli, coraz niżej w kierunku miłego miasteczka opuszczał się przedmiot tak wielkiej ciekawości, i przyczyna tak ogromnej ilości dymu. W kilka minut zbliżył się dostatecznie na to,

aby go można dokładnie rozpoznać. Przedmiot ten zdawał się być — nie! on był niezawodnie rodzajem balonu; ale bez wątpienia takiego balonu nie widziano jeszcze w Rotterdamie. Bo któż, niech wolno będzie zapytać, słyszał kiedykolwiek o balonie, sporządzonym całkowicie z brudnych dzienników? Ani jeden człowiek w Holandyi bez wątpienia; a jednakże tu pod samymi nosami narodu, albo raczej w pewnej odległości ponad nosami zgromadzonych, znajdował się właśnie omawiany przedmiot, zbudowany, o czem wiem na podstawie najpewniejszych wiadomości, z materyału, którego nikt poprzednio nie używał do podobnego celu. Była to niesłychana obraza dobrego gustu mieszczan rotterdamskich. Co się zaś tyczy kształtu owego zjawiska, to był on jeszcze naganniejszy, bo przedstawiał olbrzymią czapkę błazeńską, odwróconą do góry nogami. Podobieństwo to wcale się nie zmniejszyło, gdy po bliższem rozpatrzeniu, tłum ujrzał ogromny kutas, zwieszający się z wierzchołka, wkoło zaś górnego rąbka, czyli podstawy stożka, mnóstwo drobnych instrumentów, przypominających dzwonki owcze, które ustawicznie się poruszały i wydzwaniały melodyę pieśni »Betti Martin«. Ale nie dość na tem. Zawieszony na niebieskich wstążkach przy końcu tej fantastycznej maszyny, zwisał, niby kosz balonu, ogromnych rozmiarów bobrowy kapelusz, z niezmiernie szerokim rondem i nawpół sferyczną głową o czarnej

wstążeczką srebrną sprzączką. Rzecz dziwna, że wielu mieszkańców Rotterdamu przysięgało na to, iż tenże sam kapelusz widzieli już niejednokrotnie; istotnie całe zgromadzenie zdawało się patrzeć, jak na znany sobie przedmiot; pewna zaś kobieta, nazwiskiem Grettel Pfaall, wydała okrzyk radosnego zdziwienia, i oświadczyła, że był to kapelusz jej poczciwego i dobrego małżonka. Okoliczność ta zasługiwała na tem większą uwagę, że Pfaall z trzema towarzyszami faktycznie zniknął z Rotterdamu przed pięciu laty nagle i w sposób niewytłómaczony i aż do dnia, kiedy pojawił się balon, wszelkie usiłowania zasięgnienia o nich jakiejś wiadomości, spełzły na niczem. Kości jakieś, uważane za kości ludzkie, zmieszane z pewną ilością dziwacznie wyglądającego śmiecia, zostały niedawno odkryte w odległym zaułku wschodniej części miasta; niektórzy ludzie przypuszczali nawet, że w miejscu tem szpetne popełniono morderstwo, którego ofiarami, według wszelkiego prawdopodobieństwa, byli Hans Pfaall i jego towarzysze. — Ale wracajmy do rozpoczętego opowiadania.

Balon (gdyż nie było to co innego) opuścił się obecnie na wysokość stu stóp od ziemi, dozwalając zebranemu tłumowi przyjrzeć się dokładnie powietrznemu pasażerowi. Był to zaiste bardzo osobliwy okaz. Nie mógł mieć więcej — niż dwie stopy wysokości; wysokość ta jednakże, jakkolwiek nieznaczna, byłaby całkowicie wystarczyła do zabu-

zenia jego równowagi i wyrzucenia go z kosza balonu, gdyby nie balustrada, sięgająca do piersi, a przymocowana sznurami do balonu. Ciało małego człowieczka było więcej niż proporcyonalnie szerokie, nadając całej postaci okrągłość wysoce komiczną. Stóp jego, oczywiście, nie można było wcale widzieć. Dłonie były niesłychanie duże. Siwe włosy były w tyle głowy zebrane w *queue*. Nos jego był zdumiewająco długi, krzywy i czerwony; broda i policzki, chociaż pomarszczone wiekiem, były szerokie, rozdęte i niemal że podwójne; ale co się tycze uszu, to nie można było odkryć nawet ich śladu na którejkolwiek części głowy. Dziwny ten mały pan był ubrany w luźny surdut z błękitnej satyny, w takie same spodenki po kolana, opatrzone srebrnemi sprzączkami. Kamizelka była zrobiona z jakiejś jasnej, żółtej materyi; na jednej stronie głowy spoczywała z fantazyą nałożona biała czapka taffetowa; dopełniając stroju, krwawo-czerwona chusta jedwabna opasywała szyję i opadała na piersi, w formie olbrzymiej, fantastycznej kokardy.

Opuściwszy się, jak już powiedziałem powyżej, na odległość stu stóp od powierzchni ziemi, mały staruszek dostał nagle paroksyzmu drżenia i objawiał wyraźną niechęć do większego zbliżenia się ku *terra firma*. Wysypawszy więc pewną ilość piasku z płóciennego worka, który mógł dźwignąć z wielkim tylko wysiłkiem, zatrzymał się natychmiast

i pozostał na jednem miejscu. Potem pospiesznie i z wyraźnem wzruszeniem zaczął wyciągać z bocznej kieszeni surduta ogromny marokowy pugilares. Ważył go podejrzliwie w swej dłoni; przyglądał mu się z wyrazem niesłychanego zdumienia i dziwił się wyraźnie jego ciężarowi. W końcu otworzył ów pugilares, a wydobywszy zeń ogromny list, zapieczętowany czerwonym lakiem i związany starannie czerwoną wstążką, opuścił go na ziemię tak, że upadł właśnie u stóp burmistrza Superba van Underduk. Jego Ekscelencya pochylił się dla podjęcia go, ale aeronauta ustawicznie jeszcze zaniepokojony i nie mając wyraźnie zamiaru pozostawać dłużej w Rotterdamie, zaczął natychmiast czynić przygotowania do odjazdu, a ponieważ musiał wyrzucić część balastu, aby módz znowu wznieść się w górę, przeto pół tuzina worków, które wyrzucił jeden po drugim bez poprzedniego ich wypróżnienia, spadły w sposób jaknajfatalniejszy na grzbiet burmistrza i stoczyły się po nim pół tuzina razy w oczach wszystkich mieszkańców Rotterdamu. Nie należy atoli przypuszczać, że wielki Underduk zniósł tę impertynencyę ze strony małego staruszka całkiem bezkarnie. Powiadają, że przeciwnie, podczas całego procesu staczania się worków po plecach, burmistrz wypuścił nie mniej niż pół tuzina wyraźnych i gwałtownych kłębów dymu ze swej fajki, którą trzymał cały ten czas wszystkiemi siłami swemi i którą

zamierza dzierżyć mocno (przy Boskiej pomocy) aż do dnia swego zgonu.

Tymczasem balon wzniósł się na podobieństwo skowronka i ulatując wysoko ponad miastem wsunął się w końcu spokojnie poza chmurę podobną do tej, z poza której w taki dziwaczny sposób się wyłonił i tak zginął na zawsze z przed zdumionych oczu poczciwych obywateli Rotterdamu.

Obecnie cała uwaga została skierowana na list, którego zejście na ziemię razem z towarzyszącemi okolicznościami, okazało się tak fatalne dla osoby jakoteż osobistej godności jego Ekscelencyi, van Underduka.

Funkcyonaryusz ten jednakże, nie zaniechał podczas kolistych ruchów listu, pomyśleć o zapewnieniu sobie jego posiadania; list dostał się w najodpowiedniejsze ręce, będąc istotnie zaadresowanym do burmistrza jakoteż profesora Rubachuba, jako prezydenta i wiceprezydenta Rotterdamskiego kollegium astronomicznego, wskutek tego dygnitarze otworzyli kopertę na miejscu i znaleźli taką oto nadzwyczajną i doprawdy niezmiernie poważną treść.

Do Ekscelencyi van Underduka i Rubachuba, Prezydenta i Wiceprezydenta państwowego Kollegium astronomicznego w Rotterdamie.

Wasze Ekscelencye zdołają może przypomnieć sobie skromnego rzemieślnika, nazwiskiem Hans Pfaall, który zajmował się naprawianiem mieszków

i który razem z trzema innymi zniknął z Rotterdamu około pięciu lat temu, w sposób całkiem niewytłumaczony. Jeżeli atoli podoba się tak Waszym Ekscelencyom, to autor tego listu, jest tymże właśnie Hansem Pfaallem. Wiadomo większości moich współobywateli, że przez przeciąg czterdziestu lat zajmowałem mały kwadratowy ceglany budynek u wejścia do alei zwanej Sauerkraut, gdzie mieszkałem właśnie w czasie mojego zniknięcia z ziemi.

Moi przodkowie mieszkali tam również od niepamiętnych czasów — a tak oni, jak i ja sam, zajmowali się szanowną i dochodną zaiste profesyą naprawiania miechów, bo, mówiąc prawdę, aż do ostatnich czasów, kiedy to głowy wszystkich ludzi zaczęły zajmować się chciwie polityką, nie było w Rotterdamie lepszego rzemiosła nad to, które było moją specyalnością. Kredyt był dobry, pracy nigdy nie brakowało, nie zbywało nigdy ani na pieniądzach, ani na dobrej woli. Ale wkrótce zaczęliśmy odczuwać skutki swobody, długich mów, radykalizmu i tym podobnych rzeczy. Ludzie, którzy byli przedtem najlepszymi klijentami w świecie, nie mieli potem ani chwili czasu pomyślenia o nas, bo musieli czytać o rewolucyach i dotrzymać kroku pochodowi ludzkości. Gdy ogień potrzebował rozdmuchania, można było tego łatwo dokonać przy pomocy gazety; a kiedy rząd stracił na sile i znaczeniu, skóra i żelazo zyskały w tymże samym stosunku na trwałości — bo w bardzo krótkim

przeciągu czasu nie było w całym Rotterdamie ani jednego miecha, któryby potrzebował jednego ściega, albo jednego uderzenia młotkiem. Ten stan rzeczy był nie do zniesienia. W krótkim czasie zubożałem zupełnie, a mając do utrzymania żonę i dzieci, nie mogłem wkrótce udźwignąć walących się na mnie ciężarów, wskutek czego całe godziny spędzałem na rozmyślaniach, w jaki sposób odebrać sobie najłatwiej życie. Tymczasem wierzyciele zostawili mi niewiele czasu na kontemplacye. Dom mój był dosłownie otoczony od rana do wieczora. Szczególniej trzech jegomościów dręczyło mnie w sposób nieznośny, kręcąc się ustawicznie pod memi drzwiami i grożąc mi prawem. Tym trzem poprzysiągłem najstraszniejszą zemstę, gdybym kiedykolwiek mógł ich dostać w swoje łapy; i zdaje mi się, że nic oprócz przyjemności tej nadziei nie wstrzymywało mnie od natychmiastowego zrealizowania moich planów samobójstwa, że za rzecz najlepszą uważałem ukrycie i stłumienie gniewu, oraz karmienie ich obietnicami i słodkiemi słówkami, aż dopóki fortuna nie nastręczyłaby sposobności do zemsty.

Pewnego dnia, zdążywszy wymknąć się im i czując się więcej niż zwykle przygnębiony, włóczyłem się długi czas po najobskurniejszych ulicach bez żadnego celu, aż w końcu potknąłem się o róg kramiku z książkami. Widząc w pobliżu krzesło dla użytku kupujących, rzuciłem się w nie

z zaciekłością i sam nie wiedząc dlaczego, otworzyłem pierwszą książkę, która mi wpadła w ręce. Był to mały traktat o spekulatywnej astronomii, pisany przez prof. Enke z Berlina, albo też przez jakiegoś Francuza o podobnem nazwisku. Ponieważ miałem nieco wiadomości o tym przedmiocie, przeto z każdą chwilą coraz bardziej zagłębiałem się w treść książki, przeczytując ją po dwakroć, nim odzyskałem świadomość tego, co się wokoło mnie dzieje. Tymczasem zaczęło się ściemniać i ja wskutek tego pomyślałem o powrocie do domu. Ale traktaty w połączeniu z odkryciem z dziedziny pneumatyki czyli nauki o powietrzu, zakumunikowanem mi niedawno w wielkim sekrecie przez kuzyna w Nancy, uczyniły na mym umyśle niezatarte wrażenie i kiedy wlokłem się przez ciemne ulice, rozważałem starannie w pamięci nieco dzikie i miejscami niezrozumiałe rozumowanie pisarza. Były tam pewne ustępy, które podziałały na moją wyobraźnię w niezwykły sposób. Czem dłużej rozmyślałem nad nimi, tem bardziej wzrastało we mnie zainteresowanie rzeczą, jakie się we mnie zbudziło. Ograniczony charakter mego wykształcenia w ogólności, a zwłaszcza nieswiadomość na punkcie filozofi przyrody, dalekie od tego, aby mi podsunąć myśl, że sam nie zrozumiem tego, co czytałem, albo że powinienem odnosić się krytycznie do tych wszystkich nieokreślonych idei, jakie zrodziły się w mojej głowie, służyły raczej

za dalszą podnietę dla mej pobudzonej wyobraźni; i byłem dostatecznie próżny, albo dostatecznie rozsądny, aby wątpić, czy te nieociosane idee, które powstają w źle zrównoważonych umysłach i mają wszystkie pozory rzeczywistości, nie mogą czasami posiadać także całej potęgi rzeczywistości w połączeniu z innemi istotnemi własnościami instynktu czy intuicyi.

Było już późno, kiedy wróciłem do domu, to też udałem się w tej chwili na spoczynek. Umysł mój atoli, zanadto był podniecony, abym mógł zasnąć, to też całą noc spędziłem pogrążony w medytacyi. Wstawszy rano bardzo wcześnie, podążyłem skwapliwie do kramiku księgarza i zużyłem cały skromny zapas gotówki, jaki posiadałem, na kupno kilku książek, traktujących o mechanice i praktycznej astronomii. Wróciwszy bezpiecznie z książkami do domu, poświęciłem każdą wolną chwilę pilnemu ich czytaniu i wkrótce uczyniłem takie postępy w studyach swoich, jakie mojem zdaniem zupełnie wystarczyły do przeprowadzenia pewnego planu, który mi podszepnął czart albo mój lepszy geniusz. W przerwach tego peryodu czyniłem wszelkie możliwe usiłowania w celu przejednania moich dłużników, którzy mnie tak dręczyli. Starania moje zostały uwieńczone pomyślnym skutkiem w części dlatego, że sprzedałem meble dla zaspokojenia chociaż połowy ich pretensyi, a w części dlatego, że resztę przyrzekłem

zapłacić po zrealizowaniu małego projektu, o którym powiedziałem im i w imię którego prosiłem ich o pomoc. W ten sposób (byli bowiem kompletnymi ignorantami) przyszło mi z łatwością pozyskać ich dla swoich planów.

Kiedy stosunki tak się ułożyły, zdołałem przy pomocy mojej żony, z zachowaniem największego sekretu i ostrożności, pozbyć się reszty pozostałej własności, jakoteż pożyczyć w małych kwotach pod rozmaitymi pozorami i bez rozważenia (wstyd mi się przyznać) możnosci zwrócenia długu w przyszłości, wcale znaczną ilość gotówki. Przy pomocy środków tak narastających zacząłem w odstępach czasu nabywać batyst, bardzo delikatny, w kawałkach po dwanaście metrów każdy, szpagat, mnóstwo pokostu kauczukowego, duży i głęboki kosz wiklinowy, specyalnie obstalowany; jakoteż kilka innych przedmiotów potrzebnych do skonstruowania i wyekwipowania balonu niezwykle dużych rozmiarów, który poleciłem swej żonie zrobić w czasie możliwie najkrótszym, dając wszelkie informacye odnośne do metody jego wykonania. Tymczasem ze szpagatu zrobiłem siatkę wystarczających rozmiarów; zaopatrzyłem pętlą i potrzebnymi sznurami, zakupiłem liczne instrumenty oraz materyały dla eksperymentowania w wyższych regionach wyższej atmosfery. Potem w nocy przeniosłem do odleglej okolicy na wschód od Rotterdamu pięć żelazem okutych baryłek, zawierających

około pięćdziesięciu kwart każda i jednę znaczniejszych rozmiarów, sześć rur, o trzech calach średnicy, odpowiednio uformowanych, długich na dziesięć stóp, pewną ilość *szczególniejszej metalicznej substancyi, albo semi-metalu*, którego nazwiska nie wymienię, oraz tuzin butli *bardzo pospolitego kwasu*. Gaz wytwarzający się z tych materyałów nie był jeszcze przez nikogo otrzymany oprócz mnie samego albo co najmniej nigdy jeszcze nie został zastosowany do podobnego celu. Tyle jeno mogę tutaj powiedzieć, że *jest to składnik azotu*, uważanego tak dawno za pierwiastek i że gęstość jego jest około 37·4 *mniejsza od gęstości wodoru*. Gaz ten nie ma smaku, ale nie jest bezwonny; czysty pali się zielonawym płomieniem i działa trująco na organizmy życiem obdarzone. Nie czyniłbym żadnego sekretu z całej rzeczy, gdyby nie to, że jest on własnością, jak poprzednio wspomniałem, pewnego obywatela w Nantes we Francyi, który mi go udzielił pod warunkiem dochowania tajemnicy, tenże sam człowiek zapoznał mnie, wcale nie znając moich zamiarów, ze sposobem konstruowania balonów z błony pewnego zwierzęcia, przez którą uchodzenie gazu było prawie niemożebnością. Znalazłem atoli tę błonę za kosztowną, a ostatecznie pewny nie byłem, czy batyst z pokryciem kauczukowem nie będzie równie dobry. Wspominam o tej okoliczności, ponieważ uważam za rzecz możliwą, że wspomniane indy-

widuum zechce spróbować wznieść się balonem przy pomocy nowego gazu i materyału, o którym właśnie mówiłem i nie chcę pozbawiać go zaszczytu bardzo osobliwego wynalazku.

Na miejscu, które każda z mniejszych baryłek miała zajmować podczas nadymania balonu, wykopałem małą dziurę, wszystkie dziury utworzyły w ten sposób koło o średnicy dwudziestu pięciu stóp. W środku tego koła, który był przeznaczony na baryłkę największą, wydłubałem dziurę znaczniejszej głębokości.

W każdej z pięciu mniejszych dziur umieściłem pięćdziesięcio-funtowy nabój, a w tę większą baryłkę, sto pięćdziesiąt funtów prochu armatniego. Zarówno naboje jak i baryłkę połączylem we właściwy sposób z nakrytymi przewodami, a doprowadziwszy do jednego z nabojów cztery stopy długi lont, nakryłem dziurę, umieścilem baryłkę ponad nią, pozostawiając drugi koniec lontu wolny na cal, tak, że go łatwo widzieć było można. Potem wypełniłem pozostałe dziury, oraz poumieszczałem baryłki w miejscach ich przeznaczenia.

Obok przedmiotów powyżej przytoczonych przytransportowałem do składu i tam ukryłem, jeden z patentów Grimma, ulepszający przyrząd do zgęszczania powietrza atmosferycznego. Znalazłem atoli, że maszyna ta wymagała znaczniejszej zmiany, zanim można ją było zastosować do celów, do których użyć jej zamierzałem. Przy ciężkiej pracy

i niezachwianej wytrwałości, wszystkie moje przygotowania zostały uwieńczone pomyślnym skutkiem. Balon wkrótce został wykończony. Zawierał więcej niż czterdzieści tysięcy sześciennych stóp gazu, to też sądziłem, że uniesie mnie z łatwością razem z mymi przyrządami, a nawet jeżeli zdołam postąpić ekonomicznie, razem z siedmdziesięciu funtami balastu. Pokryłem go trzema warstwami werniksu, przyczem użyty gatunek muślinu, okazał się tak dobrym jak jedwab, będąc tak samo mocnym, a o wiele tańszym.

Gdy wszystko bylo już gotowe, wydobyłem od żony przysięgę na zachowanie tajemnicy odnośnie do moich wszystkich czynów począwszy od wizyty u kramarza książek, przyrzekając ze swej strony powrócić jak będzie można najwcześniej, zostawiłem jej wszystkie pieniądze jakie jeszcze miałem i pożegnałem się z nią. Nie obawiałem się o nią wcale. Była ona bowiem dzielną niewiastą i mogła iść przez świat bez mojej pomocy. Prawdę mówiąc, to zawsze patrzyła na mnie jak na próżniaka i niedołęgę, budującego zamki na lodzie i rada byla pozbyć się mnie. Byla to ciemna noc, gdym się z nią rozstał i gdyśmy przy pomocy trzech wierzycieli, co tyle ponieśli trudów, zanieśli balon krętą drogą do miejsca, gdzie inne artykuły byly złożone. Tam znaleźliśmy wszystko w porządku, a ja zabrałem się natychmiast do rzeczy.

Był to pierwszy kwietnia. Noc, jak powiedziałem poprzednio, była ciemna; na niebie nie było ani gwiazdki; drobny deszcz, padający z przerwami, był nam nie na rękę. Lecz główna moja troska odnosiła się do balonu, który pomimo pokrycia werniksem zaczął przybierać na wadze pod wpływem wilgoci, a i proch mógł zamoknąć. To też kazałem swym trzem pomocnikom pracować bardzo usilnie nad ubijaniem lochu wokół baryłki środkowej i nad mieszaniem kwasów w pozostałych. Ale mimo wszystko nie ustali naprzykrzać mi się pytaniami, co do celu tych przyrządów i wyrażali niezadowolenie z powodu ciężkiej pracy, której ich poddałem. Mówili, że trudno im pojąć, co dobrego może wyniknąć z ich przemoknięcia nawskróś, jedynie dla wzięcia udziału w tych strasznych czarach. Zacząłem się niepokoić, to też pracowałem z całych sił; zdaje mi się, iż ci idjoci myśleli, że wszedłem w układ z djabłem i że to, co robię, nie jest niczem lepszem, niż sztuczką szatańską. Obawiałem się tedy, aby mnie całkiem nie opuścili. Udało mi się atoli uspokoić ich przyrzeczeniami zapłaty wszystkich długów w całości, jak skoro tylko uda mi się ukończyć to przedsięwzięcie. Słowa moje interpretowali oczywiście na swój własny sposób, wyobrażając sobie, że w każdym razie przyjdę do posiadania znacznej ilości gotówki; a jeżelibym im tylko zapłacił wszystko, com był winien i może coś jeszcze ponadto, w uzna-

niu ich zasług, to obojętnem dla nich było, co się stanie z moją duszą albo mojem ciałem.

W cztery i pół godziny balon zapełnił się dostatecznie. Przytwierdziłem więc kosz i umieściłem w nim wszystkie swoje przyrządy; teleskop, barometr z ważnemi zmianami, termometr, elektrometr, kompas, igłę magnetyczną, sekundnik, dzwon, tubę do mówienia itd. itd. — Także kulę szklaną z wypompowanem powietrzem, zamkniętą starannie korkiem — nie zapomniałem też o przyrządzie kondenzacyjnym, o nierozpuszczonym kleju, o lasce laku, znacznej ilości wody oraz innych zapasów, jak pekelfleisz, który mało zabiera miejsca, a wiele dostarcza pokarmu, zabrałem też ze sobą parę gołębi i kota.

W ten sposób doczekaliśmy się niemal brzasku dnia, to też czas już był na wyruszenie w drogę. Rzucając zapalone cygaro na ziemię, jakby przypadkiem, schyliłem się dla podjęcia go i zapalenia ukradkiem wystającego lontu. Manewr mój uszedł uwagi trzech moich towarzyszy; wskoczywszy do kosza przeciąłem jedyny powróz, który przytwierdzał mnie do ziemi, poczem wzniosłem się z niepojętą szybkością, unosząc bez trudu sto siedemdziesiąt pięć funtów balastu, którego mogłem mieć jeszcze drugą taką porcyę. Gdym opuszczał ziemię, barometr wskazywał trzydzieści cali, a termometr 19^0 Celsiusa.

Zaledwie wzniosłem się na wysokość pięćdzie-

sięciu jardów, gdy rycząc i hucząc powstał za mną w straszliwy sposób, tak gwałtowny huragan ognia, żwiru, płonącego drzewa, rozpalonego metalu i poszarpanych ciał ludzkich, że serce we mnie zadrżało i upadłem na dno kosza drżąc na całem ciele. Pojąłem obecnie, że przesądziłem całą rzecz i że główne skutki eksplozyi miały dopiero nastąpić. Istotnie w mniej niż sekundzie poczułem uderzenie krwi do głowy, a bezpośrednio potem wstrząśnienie, którego nigdy nie zapomnę i które zdawało się rozdzierać firmament na poły. Gdy potem miałem czas na refleksyę zrozumiałem, że nadzwyczajna siła eksplozyi, o ile to mnie dotyczyło, brała źródło w mojej sytuacyi bezpośrednio nad nią i na linii jej największego natężenia. W danej chwili myślałem jeno o ratowaniu życia. Balon skurczył się naprzód, potem rozdął gwałtownie, potem zaczął wirować z zawrotną szybkością, wreszcie zataczając się i potykając jak pijak, przerzucił mnie przez brzeg kosza, tak, że zawisłem w straszliwej wysokości głową na dół, a twarzą na zewnątrz i to na kawałku cienkiej linki około trzy stopy długiej, zwisającej przypadkiem przez szparę w dnie kosza; gdym wypadał lewa stopa opatrznościowo zaplątała się w nią — nie podobna, całkiem nie podobna — wyobrazić sobie rozpaczliwości mego położenia. Oddechałem konwulsyjnie — drżałem na całem ciele, jakby we febrze, czułem, że mi oczy na wierzch wychodzą — nu-

dności mnie opanowały wreszcie, mdlejąc, straciłem przytomność.

Nie mogę powiedzieć, jak długo pozostawałem w takim stanie. Musiał to być jednakże spory przeciąg czasu, bo gdym częściowo odzyskał świadomość istnienia, zaczęło już dnieć, a balon wznosił się nad zwierciadłem oceanu; jak daleko oko mogło objąć granice horyzontu, nie było ani śladu ziemi. Przyszedłszy do przytomności nie doznawałem takiej agonii, jakby słusznie można było przypuszczać. Co prawda zimne rozważanie sytuacyi nie było bardzo pocieszające. Podniosłem do oczu obie ręce i dziwiłem się mocno, co mogło być przyczyną nabrzmienia żyl i poczerwienia paznokci. Potem zbadałem troskliwie głowę, wstrząsając nią kilkakrotnie i przekonałem się, że nie jest większą od balonu, chociaż miałem takie wrażenie. Potem przeszukawszy kieszenie w spodniach, a znalazłszy je pustemi starałem się wytłumaczyć ich wypróżnienie, a nie mogąc tego uczynić, poczułem mocne udręczenie. Potem zacząłem doznawać jakiegoś niepokoju w lewej kostce, a wtedy zacząłem też mieć niejasne zrozumienie swego położenia. Ale co osobliwe, to fakt, że nie bylem ani zdziwiony, ani przerażony. Jeżeli doznałem jakiego wzruszenia, to było to chyba zadowolenie z tak sprytnego wyplątania się z dylematu, ani przez chwilę nie zwątpiłem w ostateczne wybawienie się z niemiłego położenia. Przez kilka chwil

zanurzyłem się w najgłębszej medytacyi. Przypominam sobie, że często zaciskałem usta, że przykładałem wskazujący palec do boku nosa i czyniłem przeróżne gesty i grymasy, właściwe ludziom, co siedząc wygodnie w fotelu, rozważają rzeczy ważne lub zagmatwane. Zebrawszy myśli, jak mi się zdawało całkiem dostatecznie, założyłem ręce na plecy z wielką rozwagą i ostrożnością i odpiąłem wielką żelazną sprzączkę, należącą do paska mych pantalonów.

Sprzączka ta miała trzy zęby, które zardzewiawszy nieco z trudnością obracały się na osiach. Pomimo to doprowadziłem je po pewnym czasie do pozycyi pod kątem prostym do sprzączki, w której to pozycyi ku mojej radości pozostały. Chwyciwszy tak skomplikowany przyrząd w zęby, zacząłem rozwiązywać krawat. Musiałem odpocząć kilka razy, nim mi się udało dzieła dokonać; ale w końcu i to się stało. Do jednego końca krawata przywiązałem sprzączkę, drugi zaś koniec dla większego bezpieczeństwa obwinąłem wokoło ręki. Podniósłszy przy pomocy wielkiego wysiłku mięśniowego całe ciało w górę zdołałem za pierwszym razem zarzucić sprzączkę za brzeg kosza, w którym utkwiła.

Teraz ciało moje było pochylone ku bokowi kosza pod kątem blisko czterdziestu pięciu stopni; ale to wcale nie znaczy, że byłem jeno czterdzieści pięć stopni odchylony od linii pionowej.

Bynajmniej, bo znajdowałem się prawie równolegle do płaszczyzny horyzontu; gdyż zmiana położenia jaką osiągnąłem, przechyliła znacznie spód kosza na zewnątrz mojej pozycyi, co groziło mi największem niebezpieczeństwem. Należy bowiem pamiętać, że gdybym wypadając z kosza zawisnął twarzą do balona zamiast na zewnątrz, co się stało rzeczywiście, albo gdyby lina, której uczepiłem się, zwisała przynajmniej przez górny brzeg zamiast przez szczelinę blisko dna kosza — łatwo pojąć, że w każdym z tych dwóch przypuszczalnych wypadków nie byłbym w stanie dokonać tyle nawet, ile dokonałem obecnie, a zdobycze moje byłyby nie doszły do potomności. Miałem więc wszelki powód do wdzięczności, chociaż w istocie byłem zanadto głupi jeszcze, żeby być czemkolwiek i wisiałem w tak szczególny sposób przynajmniej przez kwadrans, nie czyniąc żadnych dalszych wysiłków, znajdując się w stanie idyotycznego zadowolenia. Ale wreszcie to wszystko ustąpiło, poczem wyrodził się przestrach i przygnębienie, oraz poczucie kompletnej bezradności i ruiny.

W istocie krew tak długo nagromadzona w naczyniach mej głowy, szyi, krew co dotąd wprawiała umysł w delirium, zaczęła wracać do właściwych kanałów, a jasność dodana do percepcyi niebezpieczeństwa, pozbawiła mnie jeno panowania nad sobą i odwagi do pokonania go. Słabość

ta atoli nie trwała długo. W samą porę przybyło na pomoc uczucie rozpaczy, to też krzycząc jak obłąkany i szamocąc się, szarpanymi ruchami dźwigałem się w górę, aż w końcu chwyciwszy dawno upragniony brzeg kosza, przeczołgałem się przezeń i upadłem drżący głową na dół do kosza.

Po jakimś czasie odzyskałem na tyle przytomność, aby zająć się nieco balonem. Zbadałem go uważnie i przekonałem się z poczuciem ulgi, że nic mi się nie stało. Przyrządy moje były w zupełnym porządku i na szczęście nie straciłem ani balastu, ani zapasów żywności. Tak je dobrze przymocowałem we właściwych miejscach, że żadne niebezpieczeństwo nie mogło mi grozić. Spojrzawszy na zegarek przekonałem się, że to szósta godzina. Ustawicznie wznosiłem się szybko, a barometr wskazywał wysokość trzech i trzech czwartych mili. Bezpośrednio podemną na oceanie, leżał mały czarny przedmiot, lekko podłużnego kształtu pozornie wielkości domina i pod wielu względami do niego podobny. Skierowawszy na ten przedmiot mój teleskop rozpoznałem w nim brytański okręt wojenny, płynący w kierunku Z. Poł. Z. Oprócz tego jednego okrętu nie widziałem nic jeno ocean i niebo i słońce, które dawno już weszło.

Czas już, abym wreszcie wyjaśnił Waszym Ekscelencyom cel mojej podróży. Wasze Ekscelencye przypominają sobie niezawodnie, że przykre stosunki moje w Rotterdamie zniewoliły mnie na-

ieszcie do powzięcia zamiaru samobójczego, nie dlatego, abym żywił jakiś pozytywny wstręt do życia samego, jeno, ponieważ przypadkowe przykrości mego położenia dręczyły mnie nad miarę. W tym stanie umysłu, pragnąc żyć, a jednak życiem zmęczony, znalazłem dla swej wyobraźni karmę w traktacie kupionym u kramarza, i w odkryciu mego kuzyna Nautza. Wtedy powziąłem ostateczne postanowienie. Postanowiłem zniknąć, a jednak żyć — opuścić świat, a jednak egzystować dalej — krótko mówiąc, aby dać pokój zagadkom, postanowiłem bez względu na następstwa znaleść, jeżeli to możliwe, drogę *do księżyca*. Aby zaś nie być uważanym za większego szaleńca niż jestem, opowiem szczegółowo, o ile mnie na to stać, powody, które skłaniały mnie do wiary, że tego rodzaju przedsięwzięcie, chociaż niewątpliwie trudne i pełne niebezpieczeństw, nie było dla dzielnych duchów absolutnie poza granicami możliwości.

Należało naprzód poznać rzeczywiste oddalenie księżyca od ziemi. Średnia odległość pomiędzy środkami obydwóch planet wynosi zaledwie około 59·9643 równikowego promienia ziemi, to znaczy około 237.000 mil. Powtarzam, że to jest średnie oddalenie; — ale należy pamiętać, że ponieważ orbita księżyca jest elipsą o ekscentryczności nie mniejszej niż 0·05484 większej semi-osi samejże elipsy, i ponieważ środek ziemi znajduje się w jej ognisku, przeto, gdyby mi się udało w jakikolwiek

sposób spotkać księżyc w chwili jego największego do ziemi zbliżenia, to wyżej podana odległość znacznieby się zmniejszyła. Ale nie mówiąc nic narazie o tej możliwości, było rzeczą pewną, że bądźcobądź mogłem odjąć promień ziemi od liczby 237.000 mil, to znaczy 4.000 i promień księżyca, to znaczy 1080, (razem 5080), po odjęciu których pozostawala do przebycia faktyczna przestrzeń 231.970 mil. To zdawało mi się być niewielką przestrzenią. Podróżowanie na ziemi odbywało się często po sześćdziesiąt mil na godzinę; a można spodziewać się na przyszłość jeszcze większej szybkości. Ale nawet przy tej chyżości nie potrzebowałbym więcej nad 161 dni dla osiągnięcia powierzchni księżyca. Wiele atoli szczegółów skłaniało mnie do przyjęcia większej średniej chyżości niż sześćdziesiąt mil, ponieważ wszystko to wywarło na mój umysł silny wpływ, rozważę to obszerniej potem.

Następny punkt był atoli o wiele ważniejszy. Ze wskazówek, dostarczonych przez barometr, znajdujemy, że przy wznoszeniu się z powierzchni ziemi, mamy na wysokości 1.000 stóp jednę trzydziestą całej masy atmosferycznego powietrza pod nami; że na wysokości 10.600 przebyliśmy niemal jednę trzecią; na wysokości zaś 18.000 wznieśliśmy się ponad połowę materyalnej, a przynajmniej ważkiej części powietrza, opasującego ziemię.

Zostało też obliczone, że na wysokości nie

przenoszącej setnej części średnicy ziemi — to znaczy nie przenoszącej osiemdziesiąt mil — rozrzedzenie musi się stać tak znaczne, że życie zwierzęce nie mogłoby w żaden sposób trwać, a to tem więcej, że najczulsze metody wykazywania obecności atmosfery, nie wystarczyłyby do upewnienia się o jej istnieniu. Ale rozumiałem, że powyższe kalkulacye oparte są na naszej eksperymentalnej znajomości przymiotów powietrza oraz zagęszczenie w zakresie tego co możemy nazwać zaledwie *bezpośredniem sąsiedztwem ziemi;* równocześnie przyjmuje się jako pewnik, że życie zwierzęce jest i musi być zasadniczo *niezdolne do zmian* w niedosięgniętych odległościach od powierzchni ziemi. Takie oczywiście rozumowanie i na takiej podstawie, musi być analogiczne. Najwyższe wzniesienie, które człowiek osiągnął, wynosiło 25,000 stóp (aeronautyczna wyprawa panów Gay-Leussaca i Biota). Jestto umiarkowana odległość, nawet w porównaniu z ośmdziesięciu milami; i sądziłem, że przedmiot przedstawiał wiele wątpliwości oraz obszerne pole dla spekulacyi.

Ale w istocie po wzniesieniu się do jakiejkolwiek danej wysokości, wązka ilość powietrza przybyta w każdem dalszem wzniesieniu się, nie zostaje wcale w proporcyi do dodatkowego wzniesienia się (co można jasno widzieć z tego, co się wyżej powiedziało), lecz w stosunku ustawicznie malejącym. Stad wynika, że jakkolwiekbyśmy się wy-

soko wznieśli, nie możemy dosłownie biorąc, dojść do granicy, po za którą nie ma wcale atmofsery. Twierdziłem, że *ona musi istnieć;* chociaż *może* znajdować się w stanie nadzwyczajnego rozrzedzenia.

Z drugiej strony widziałem, że nie brakło argumentów, dotyczących istnienia rzeczywistej i określonej granicy atmosfery, po za którą nie ma wcale powietrza. Ale okoliczność pominięta przez zwolenników takiej granicy, zdawała się, jeżeli nie pozytywnem obaleniem ich wiary, to przynajmniej punktem godnym poważnego rozstrząśnienia. Przy porównaniu przerw pomiędzy dwoma po sobie następującemi zjawianiami się komety Enckego w punkcie przysłonecznym, po rozważeniu wszystkich zaburzeń, spowodowanych przyciąganiem planet, zdaje się, że peryody zmniejszają się stale; to znaczy, że większa oś elipsy tej komety skraca się wolno ale zupełnie regularnie. To jest dokładnie to, co się stać musi, gdy przyjmiemy opór stawiany komecie przez nadzwyczaj *rzadkie eteryczne medjum*, przenikające okolice jej orbity. Ponieważ jest rzeczą jasną, że medjum takie musi zmniejszając szybkość komety powiększać jej siłę dośrodkową przez osłabianie odśrodkowej.

Innemi słowy przeciąganie słońca rosłoby ustawicznie w sile i kometa byłaby w ciągu każdego obrotu przyciągana bliżej. Rzeczywiście nie ma innego sposobu wytłómaczenia tej waryacyi astronomicznej; albo inaczej: — Rzetelna średnica mgła-

wicy tejże samej komety ściąga się gwałtownie przy zbliżaniu do słońca i rozszerza po oddaleniu się od niego. Czyż więc nie miałem racyi przypuszczać razem z p. Salz, że to pozorne skondensowanie objętości bierze początek w zagęszczeniu tegoż samego eterycznego ciała, o którem mówiłem powyżej i którego gęstość jest wprost proporcyonalną do odległości od słońca? Zjawisko kształu soczewki, zwane także światłem zodjakalnem, zasługiwałoby na uwagę. Blask ten, tak wyraźny w okolicy podzwrotnikowej, blask, którego nie można brać za połysk meteoryczny, rozciąga się od horyzontu na wskroś do góry i biegnie zwykle w kierunku równika słońca. Wydawało mi się to jasnem z natury rzadkiej atmosfery biegnącej od słońca na zewnątrz, bo najmniej po za orbitę Wenery a nawet, jak mniemałem o wiele dalej. Nie mogłem przypuszczać, że ciało to ogranicza się do orbity komety, lub do bezpośredniego sąsiedztwa słońca. Przeciwnie łatwo było przypuścić, że przenika całe okolice naszego planetarnego systemu, zgęszczone w to, co nazywamy atmosfera, na samych planetach, a może nawet zmienione na niektórych pod wpływem spraw geologicznych; to znaczy zmienionych lub zróżnicowanych w swych proporcyach, (albo nawet istocie samej) przez materye ulatniające się z odnośnych ciał.

Przyjąwszy takie na sprawę zapatrywanie nie

wahałem się dłużej. Założywszy, że na drodze spotkam atmosferę zasadniczą, taką samą jaka jest na powierzchni ziemi, pojmowałem, że za pomocą bardzo sprytnego aparatu Grimma będę w stanie bez trudu zagęścić ją w ilości dostatecznej dla celów oddechania. To by usunęło główną przeszkodę i trudność podróży na księżyc.

Wydałem wiele pieniędzy i zużyłem wiele pracy dla przystosowania przyrządu do tego celu i z ufnością spodziewałem się powodzenia w zastosowaniu, gdybym jeno mógł dokonać podróży w ciągu właściwego czasu. — To przyprowadza mnie znowu do szybkości, z jaką dałoby się podróżować.

Wiadomo, że balony w pierwszem stadjum wznoszenia się od ziemi posiadają chyżość względnie umiarkowaną. Siła elewacyi leży całkowicie w wyższej ciężkości powietrza atmosferycznego niżeli gazu w balonie; na pierwszy rzut oka nie wydaje się rzeczą prawdopodobną — aby razem z wznoszeniem się balonu, wskutek czego dostaje się on do warstw atmosferycznych o gwałtownie zmniejszających się gęstości — nie wydaje się, powtarzam, rzeczą prawdopodobną, aby szybkość wznoszenia się miała rosnąć, z drugiej strony nie miałem świadomości, że w zapisywanych podróżach balonem notowano, iż zmniejszenie się chyżości było pozornie udowodnione. Teraz zaś uważałem, że jeżeli w drodze znajdę *medium*, jakie sobie wyobrażałem i jeżeliby się ono okazało

istotnie tem, co nazywamy powietrzem atmosferycznem, byłoby względnie rzeczą obojętną w stanie jakiego rozrzedzenia znajdę je, to znaczy w stosunku do możności wznoszenia się — gdyż nietylko gaz w balonie podległby takiemuż rozrzedzeniu w stosunku do którego mógłbym wypuszczać tyle, ile byłoby potrzeba dla uniknienia eksplozyi, ale będąc tem czem jest, byłby w dalszym ciągu gatunkowo lżejszy od jakiejkolwiek mięszaniny azotu i tlenu.

Tak więc była możliwość, a nawet wielkie prawdopodobieństwo, że *w żadnej epoce mego wznoszenia się, mgły nie dosięgną punktu, w którymby połączona waga mego olbrzymiego balonu, nieskończenie rzadkiego, a wypełniającego balon gazu, kosza, oraz jego zawartości wyrównała wadze mas wypartej atmosfery;* to, jak łatwo przyjdzie zrozumieć, byłoby jedyną przeszkodą we wznoszeniu się. Gdyby atoli punkt taki został osiągnięty, mogłem się pozbyć balastu oraz danego ciężaru do wysokości niemal 300 funtów. Tymczasem siła przyciągania zmniejszałaby się ustawicznie w stosunku do kwadratów odległości, i tak z szybkością nadzwyczaj przyspieszoną mógłbym wreszcie przybyć do tych odległych okolic, gdzie siła przyciągania ziemskiego zostałaby zastąpiona przez siłę takąż księżyca.

Była atoli inna jeszcze trudność, która sprawiała mi nieco niepokoju. Zauważono, że przy

wznoszeniu się balonów na znaczne wysokości obok bolu, towarzyszącego oddechaniu, doznaje się uczucia niepokoju w głowie i ciele, któremu często towarzyszy krwotok z nosa, oraz inne symptomy trochę niepokojące w miarę coraz wyższego wznoszenia się. To była refleksya natury nieco alarmującej. Czy nie było prawdopodne, aby objawy te zwiększały się, wywołując w końcu śmierć?

Ostatecznie myślałem, że nie. Źródło ich tkwiło w postępowem usuwaniu *zwykłego* atmosferycznego ciśnienia na poszczególne ciała, jakoteż w następowem rozszerzaniu się naczyń powierzchniowych — nie zaś w jakiejś pozytywnej dezorganizacyi systemu zwierzęcego, jak n. p. w razie trudności przy oddechaniu, kiedy atmosferyczna gęstość jest chemicznie całkiem niewystarczająca dla potrzebnego odnowienia krwi w komórce serca. Nie widziałem dlaczego nie można by podtrzymać życia, bodaj w próżni; rozszerzanie się i zaciskanie piersi, powszechnie zwane oddechaniem jest czysto mięśniową czynnością i przyczyną, a nie skutkiem respiracyi. Słowem rozumiałem, że w miarę przywykania ciała do braku atmosferycznego ciśnienia, te uczucia bolu zmniejszałyby się stopniowo, aby zaś znieść je, póki trwać będą, zaufałem w zuchwalstwo mej żelaznej konstytucyi.

Tak więc, Wasze Ekscelencye, podałem niektóre, bo wcale nie wszystkie konsyderacye, które skłoniły mnie do przedsięwzięcia księżycowej podróży.

Teraz rozpocznę opis wyników usiłowania tak pozornie zuchwałego w pomyśle, tak bezprzykładnego w rocznikach dziejów ludzkich.

Osiągnąwszy powyżej wspomnianą wysokość — to znaczy trzy mile i trzy czwarte — wyrzuciłem z kosza pewną ilość piór i przekonałem się, że się ciągle jeszcze wznoszę z wystarczającą chyżością; nie było zatem potrzeby zmniejszania balastu. Cieszyło mnie to, ponieważ pragnąłem zachować przy sobie tyle ciężaru, ile mogłem udźwignąć, z tej prostej przyczyny, że nie miałem żadnej pewności, ani co do siły przyciągania, ani też atmosfery księżyca.

Jak dotąd nie czułem żadnego fizycznego niedomagania, oddechając swobodnie i nie doznając bolu głowy. Kot leżał bardzo skromnie na surducie, który zdjąłem z siebie i spoglądał na gołębie z wyrazem nonszalancyi. Te zaś przywiązane za nogi, aby mi nie uciekły, zajęły się pilnie dziobaniem ziarn ryżu, rozsypanych umyślnie w tym celu na dnie kosza.

W dwadzieścia minut po szóstej barometer wskazywał wzniesienie 26.400 stóp, czyli pięciu mil okrągło. Widnokrąg zdawał się być nieograniczony. Łatwo istotnie obliczyć przy pomocy geometryi sferycznej, jak wielką przestrzeń powierzchni ziemskiej ogarniałem okiem. Wypukła powierzchnia jakiegokolwiek odcinka kuli, ma się tak do jej całej powierzchni jak *sinus versus*, to

znaczy grubość odcinka podemną — była niemal równa memu wzniesieniu się czyli wzniesienie punktu widzenia ponad powierzchnią: »Jak pięć mil do ośmiu tysięcy« wyraziłoby proporcyę widzianej przezemnie powierzchni ziemskiej. Innemi słowy obejmowałem wzrokiem tysiąc sześćsetną część powierzchni całego globu. Morze wydawało się gładkie jak zwierciadło, chociaż przy pomocy teleskopu widziałem, że jest mocno wzburzone. Okrętu nie widziałem już więcej, gdyż popłynął zapewne ku wschodowi. Zacząłem teraz chwilami uczuwać silny ból w głowie, zwłaszcza w okolicy uszu — chociaż oddech był ciągle jeszcze wcale swobodny. Kot i gołębie nie zdawały się wcale cierpieć.

O dwadzieścia minut przed siódmą balon wszedł w długi szereg gęstych chmur, które nabawiły mnie przykrości nie lada uszkadając aparat zgęszczający i przemaczając do nitki. Było to istotnie osobliwe *rencontre*, gdyż nie przypuszczałem, aby chmura tej konsystencyi mogła utrzymać się tak wysoko. Uważałem więc za właściwe wyrzucić dwie pięciofuntowe sztuki balastu, zachowując jeszcze ciężar stu sześćdziesięciu pięciu funtów.

Uczyniwszy tak, wzniosłem się niebawem ponad przeszkodę i spostrzegłem natychmiast, że chyżość mojego wznoszenia się znacznie się zwiększyła. W kilka sekund po opuszczeniu chmury, spostrzegłem przebiegający przez nie z jednego końca w drugi błysk piorunu, który nadał chmurze

wejrzenie rozpalonego węgla drewnianego. Było to w pełnem świetle słonecznem. Żadna wyobraźnia nie jest w stanie wystawić sobie wspaniałości podobnego zjawiska wśród cieniów nocy. Byłby to chyba wierny obraz samego piekła. Nawet w dzień włosy stanęły mi na głowie, gdym spoglądał w dół ku ziejącym przepaściom, dozwalając mej wyobraźni wędrować wśród dziwacznych sklepionych hal i rudych zatok i czerwonych przepaści straszliwego i niezgłębionego ognia. Co prawda to ledwie uszedłem katastrofy.

Gdyby balon był pozostał jeszcze chwilę w chmurze, to znaczy, gdyby nieprzyjemne uczucie przemoknięcia nie skłoniło mnie do zmniejszenia balastu, byłbym zapewne uległ zupełnemu zniszczeniu. Takie niebezpieczeństwa, choć się o nich mało myśli, są zapewne największe, jakie grożą balonom. Obecnie atoli osiągnąłem już tak znaczną wysokość, że wolny byłem od podobnych obaw.

Teraz wzniosłem się szybko, a o siódmej godzinie barometr wskazywał wysokość dziewięciu i pół mil. Oddech zaczął się stawać utrudnionym, głowa też bolała mnie ogromnie; czując od jakiegoś czasu wilgoć na policzkach, spostrzegłem wreszcie, że to była krew, wypływająca szybko z moich uszu. Oczy również zaczęły mi silnie dokuczać. Gdym przesunął po nich dłonią, czyniły takie wrażenie, jak gdyby wylazły na wierzch w znacznym stopniu; wszystkie przedmioty w koszu,

a nawet sam balon, zdawały mi się jakieś powykręcane. Te symptomy przeszły moje oczekiwanie i zaniepokoiły mnie też nieco.

W tem położeniu postąpiłem sobie nierozsądnie i nierozważnie, gdyż wyrzuciłem znowu trzy pięciofuntowe sztuki balastu. Przyspieszona chyżość unosiła mnie za prędko i bez odpowiedniego stopniowania w nadzwyczaj rozrzedzoną warstwę atmosfery, co o mało nie położyło końca mnie i mojej wyprawie. Nagle bowiem dostałem spazmów, które trwały pięć minut, a gdy te w części ustały, mogłem oddechać, jeno w długich odstępach czasu i to dysząc, z nosa zaś i z uszu, a nawet po części z oczu, sączyła się obficie krew. Gołębie zdawały się być mocno zaniepokojone i pragnęły ulecieć; kot zaś miauczał żałośnie z językiem wywieszonym na zewnątrz i jakby pod wpływem trucizny, chodził niepewnym krokiem po dnie kosza. Za późno poznałem, że zbyt szybko pozbyłem się części balastu, to też niepokoiłem się ogromnie. Spodziewałem się oczywiście śmierci i to w ciągu kilku minut. Fizyczne cierpienie, którego doznawałem, nie pozwalało mi prawie uczynić jakiegokolwiek wysiłku, dla uratowania życia. Zostało mi jeszcze trochę zdolności do refleksyi, a gwałtowność bolu głowy zdawała się wzrastać.

Czułem więc, że wkrótce zmysły opuszczą mnie zupełnie i już uchwyciłem konwulsyjnie za linę od klapy, aby spróbować opuścić się, gdy

wspomnienie figla jaki sprawiłem trzem wierzycielom i możliwe tegoż dla mnie następstwa, skłoniły mnie chwilowo do zaniechania tego.

Położyłem się więc na dnie kosza i usiłowałem zebrać siły. Po chwili postanowiłem spróbować puszczenia krwi. Nie mając atoli lanceta, musiałem wykonać operacyę jak mogłem najlepiej, co mi się w końcu udało przez otworzenie żyły w lewem ramieniu przy pomocy scyzoryka.

Zaledwie krew zaczęła płynąć, gdy poczułem wyraźną ulgę, a kiedy upuściłem z pół miski krwi większość złośliwych symptomów opuściła mnie. Mimo to nie zdawało mi się rzeczą właściwą natychmiastowe podniesienie się na nogi i podwiązawszy ramię jak mogłem najlepiej, leżałem jeszcze dobry kwadrans. Wreszcie powstałem, czując się wolniejszym od bolu jakiegokolwiek teraz, niż w ciągu ostatnich pięciu kwadransy mej podróży. Tylko trudność oddechania nie o wiele się zmniejszyła, to też rozumiałem, że niebawem trzeba będzie zrobić użytek z mego aparatu zagęszczającego. Tymczasem spojrzawszy na kotkę, która znowu ułożyła się wygodnie na mem palcie, spostrzegłem ku memu ogromnemu zdziwieniu, że podczas mej niedyspozycyi zdołała wydać na świat trzy kocięta.

Był to dodatek do liczby pasażerów, którego całkiem się nie spodziewałem, ale zdarzenie to było na rękę, dało mi bowiem możność sprawdzenia

w znacznym stopniu przypuszczenia, które więcej niż cokolwiek innego skłoniło mnie do mojej próby aeronautycznej. Wyobrażałem sobie, że przyzwyczajenie do ciśnienia atmosferycznego na ziemi, było przyczyną bolu, doznawanego przez żywe istoty w znacznem oddaleniu od ziemi. Gdyby kocięta zdradzały ten sam niepokój co matka, musiałbym uważać moją teoryę za błędną, w przeciwnym razie idea moja zostałaby mocno poparta.

O ósmej godzinie osiągnąłem faktycznie wysokość siedmnastu mil ponad powierzchnię ziemi. Było to dowodem, że nie tylko chyżość mego wznoszenia się wzrastała, lecz że byłoby to nastąpiło choć w mniejszym stopniu, gdybym był nawet balastu nie wyrzucił. Bóle w głowie i uszach powracały chwilami z gwałtownością, a nawet krew jeszcze upływała nosem; ale na ogół biorąc cierpiałem mniej niż należało się spodziewać. Z każdą jednak chwilą oddechałem ze wzrastającą trudnością, a każdy oddech połączony był ze spazmatycznym ruchem piersi.

Widok ziemi był w tym peryodzie mej podróży bardzo piękny. Na zachód, północ i południe, jak daleko mogłem zasięgnąć, rozciągało się niezmierzone pole pozornie gładkiej powierzchni oceanu, którego barwa stawała się z każdą chwilą coraz błękitniejszą. W pewnej odległości ku wschodowi też zupełnie dla oka wyraźnie rozciągały się wyspy Wielkiej Brytanji, cały brzeg atlantycki Hiszpanii

i Francyi z małą częścią północnej Afryki. Budynków nie mogłem rozpoznać ani śladu, a najludniejsze miasta, wzniesione przez człowieka, zniknęły zupełnie z powierzchni ziemskiej.

Co mnie głównie wprawiało w zdumienie, to pozorna wklęsłość powierzchni ziemi. W bezmyślności mej spodziewałem się, że w miarę mego wznoszenia się wypukłość ziemi będzie się ujawniać coraz bardziej: odrobina zastanowienia wystarczyła do wyjaśnienia pozornej niezgodności. Linia, sprowadzona prostopadle na ziemię z mojej pozycyi, utworzyłaby prostopadłą trójkąta prostokątnego, którego podstawa ciągnęłaby się od kąta prostego do horyzontu, a hypotenuza (przeciwprostokątnia) od horyzontu do mojej pozycyi.

Ale wzniesienie moje było niczem wobec widnokręgu. Innemi słowy podstawa i przeciwprostokątnia przypuszczalnego trójkąta byłyby w moim przykładzie tak długie w porównaniu do prostopadłej, że możnaby je uważać niemal za równoległe do siebie.

W ten sposób horyzont aeronauty zdaje się być zawsze na płaszczyźnie balonu. Gdy zaś punkt pod nim bezpośrednio leżący, znajduje się w znacznej odległości, przeto wydaje się też znacznie poniżej horyzontu. Stąd wrażenie wklęsłości i wrażenie to musi pozostać tak długo, aż dopóki wzniesienie się nie będzie tak znaczne w stosunku

do widnokręgu, że pozorny parallelizm podstawy i przeciwprostokątni zniknie.

Gdy zdawało mi się, że gołębie bardzo wielkie zdradzały cierpienie, postanowiłem je obdarzyć wolnością. Naprzód odwiązałem jednego z nich i umieściłem na brzegu kosza. Zdradzał ogromny niepokój, obzierał się na wsze strony, trzepotał skrzydłami, gruchał głośno, ale nie chciał jakoś wznieść się w powietrze.

Wtedy wziąłem go i rzuciłem na odległość jakich sześciu yardów od kosza. Gołąb nie usiłował atoli, czego się spodziewałem spuścić się na dół, lecz starał się gwałtownie powrócić, wydając równocześnie przejmujący głos.

Zaledwie atoli dostał się na swe pierwotne miejsce, gdy głowa opadła mu na piersi i on sam stoczył się na dno kos za bez życia.

Drugi nie był tak nieszczęśliwy. Aby mu przeszkodzić w naśladowaniu towarzysza i powrócenia do balonu, rzuciłem go w dół z całej siły, poczem zaczął się spuszczać z wielką szybkością, robiąc użytek ze swych skrzydeł w sposób łatwy i całkiem naturalny. Wkrótce zniknął mi z oczu i zapewne bez żadnego wypadku dostał się na ziemię. Kotka, która zdaje się w znacznym stopniu odzyskała zdrowie, pożywiła się doskonale zmarłym gołębiem, poczem z wielkiem zadowoleniem ułożyła się do snu. Kocięta były bardzo żywe i jak dotąd nie zdradzały żadnego niepokoju.

O kwadransie po ósmej nie będąc w stanie oddechać dalej bez uczucia nieznośnego bolu, zabrałem się niezwłocznie do użycia przyrządu zgęszczającego atmosferę. Przyrząd ten wymaga niejakiego wyjaśnienia, a Wasze Ekscelencye zechcą uwzględnić, że celem moim w pierwszym rzędzie było otoczyć siebie i kosz w całości osłoną przeciw bardzo ryzykownej atmosferze, którą przy pomocy przyrządu zamierzałem odpowiednio do celu zgęścić.

To mając na oku przygotowałem bardzo mocny zupełnie powietrza nie przepuszczający, elastyczny worek kauczukowy. W tymże worku, który posiadał dostateczne rozmiary, mieścił się, że tak powiem, cały kosz. To znaczy, worek obejmował cały spód kosza, jego boki i tak dalej, aż do lin i obręczy, do której sieć jest przymocowana. Wciągnąwszy worek w ten sposób i utworzywszy dokładne zamknięcie, na wsze strony, trzeba było umocować górny otwór przez przepuszczenie go pomiędzy siatką a obręczą. Lecz gdyby siatka została oddzielona od obręczy dla przepuszczenia worka, to cóżby tymczasem przytrzymało kosz? Siatka atoli nie była stale do obręczy przytwierdzoną, lecz zapomocą pętlic. To też odwiązywałem po kilka takich pętlic kolejno, pozwalając koszowi trzymać się przy pomocy reszty. Umocowawszy w ten sposób górną część worka, zacisnąłem znowu pętle — nie na obręczy, gdyż to

byłoby niemożliwe, skoro worek stał temu na przeszkodzie, lecz na szeregu wielkich guzików, przytwierdzonych do worka na trzy stopy poniżej jego otworu; odstępy, pomiędzy guzikami odpowiadały ściśle odstępom pomiędzy pętlami. Po dokonaniu tego znowu rozluźniłem kilka pętli, wsunąłem dalszą część worka i znowu przytwierdziłem pętle do odpowiednich guzików. W ten sposób stało się rzeczą możliwą wsunąć cały worek pomiędzy obręcz a siatkę. Rzecz jasna, że po tej operacyi obręcz znalazła się w koszu, który zawisł tylko na guzikach razem ze wszystkiem, co w sobie zawierał. To, na pierwszy rzut oka, zdawało by się oparciem niedostatecznem; w istocie atoli guziki były nie tylko same przez się mocne, ale tak blisko siebie umieszczone, że jeno mała cząstka ciężaru przypadała na każdy z nich.

Gdyby kosz ze swą zawartością był nawet trzy razy cięższy, nie byłbym wcale w obawie o wypadek. Podniosłem teraz powtórnie obręcz w obrębie umocowanego worka i podparłem ją niemal na pierwotnej wysokości na trzech lekkich słupkach w tym celu przygotowanych. Uczyniłem to rzecz prosta dla rozszerzenia worka w górze, jakoteż dla utrzymania dalszej części siatki we właściwej pozycyi. Obecnie pozostało jeszcze tylko zacisnąć otwór, co się dało łatwo zrobić przez zebranie fałdów i skręcenie ich bardzo mocno na zewnątrz za pomocą umocowanego tourniquetu.

W ścianach tak urządzonego okrycia umieściłem trzy okrągłe szyby z grubego, ale czystego szkła, przez które moglem patrzeć bez trudności na wszystkie strony świata W części worka, przypadającej na dno, znajdowało się też okienko odpowiadające otworowi w koszu. To dozwalało mi patrzeć prostopadle w dół. Gdy atoli z powodu skręcenia fałdów worka nie mogłem umieścić szybki w górze, byłem pozbawiony możności widzenia przedmiotów wprost w moim zenicie. To oczywiście nie miało wielkiego znaczenia, bo gdybym nawet zdołał był umieścić okno w górze, balon zasłoniłby mi wszelki widok.

Blisko na stopę poniżej jednego z bocznych okien był okrągły otwór, trzy cale w średnicy, opatrzony mosiężną ramą, przystosowaną na wewnątrz do przyjęcia w siebie śruby. W tę ramę wkręciłem rurę kondenzatora, który znajdował się naturalnie wewnątrz kauczukowego pokrycia. Przez tę rurę wciągnąłem z otaczającej rzadkiej atmosfery powietrze zapomocą próżni, a potem wtłaczałem je w stanie zagęszczenia do mego pokoju. Po kilkakrotnem powtórzeniu tej operacyi, pokój wypełnił się atmosferą zupełnie wystarczającą do oddechania. Jeno zamknięta w ograniczonej przestrzeni, byłaby ta atmosfera wkrótce zanieczyściła się wskutek ustawicznego zetknięcia z płucami.

Dla uniknienia tego, umieściłem małą klapkę w spodzie kosza, a otworzenie jej sprawiało na-

tychmiastowy opad gęstszego powietrza ku rzadszej atmosferze. Aby nie dopuścić do zupełnej próżni w moim pokoju nie przeprowadzałem całej puryfikacyi na raz, ale stopniowo, przez otwieranie klapy na kilka sekund, poczem zamykałem ją znowu aż póki kilka ruchów kondenzatora nie wypełniło powstałej luki. Dla zrobienia doświadczenia umieściłem kotkę z kociętami w koszu i zawiesiłem po za koszem na guziku u spodu, tuż przy klapie, przez którą mogłem je wygodnie karmić. Dokonałem tego z niejakiem ryzykiem przed zamknięciem otworu mego pokoju przy pomocy jednego z wyżej wymienionych słupów, do którego przytwierdziłem hak. Zarówno obręcz jak i słupy okazały się zupełnie zbyteczne z chwilą, gdy zacząłem zagęszczać powietrze, ponieważ ono samo wystarczyło do rozdęcia kauczukowej osłony.

Kiedy ukończyłem wszystkie wyżej opisane przygotowania i wypełniłem powietrzem mój pokój, brakowało dziesięć minut do dziewiątej. W czasie trwania przygotowań trudność oddechania bardzo mi dokuczała; to też żałowałem bardzo popełnionego niedbalstwa a raczej zuchwalstwa, którego się dopuściłem, przez odsunięcie na ostatnią chwilę tak ważnej sprawy. Ukończywszy ją atoli, zacząłem wkrótce zbierać owoce mej pomysłowości. Znowu bowiem oddechałem z zupełną swobodą — bo i dlaczegóżbym nie miał? Z przyjemnością też zauważyłem, że dręczące mnie dotąd bole ustą-

piły w znacznej mierze. Lekki ból głowy połączony z uczuciem rozdęcia w okolicy nadgarstkowej, kostek i gardła, był wkrótce jedyną dolegliwością, Tak więc znaczniejsza część niepokoju, spowodowanego zmianą ciśnienia atmosferycznego ustąpiła, jak się tego spodziewałem, a znaczniejsza część bólu, którego doznawałem w ciągu ostatnich dwóch godzin, wypływała z niedostatecznego oddechania.

Na dwadzieścia minut przed dziewiątą — to znaczy na krótko przed zaciśnięciem otworu worka, rtęć w barometrze osiągnęła swą granicę, czyli spadła na dół — barometer mój był specyalnie skonstruowany. W tej chwili pokazywał on wzniesienie się na 132.000 stóp, czyli dwadzieścia pięć mil, to też mogłem oglądać równocześnie przestrzeń powierzchni ziemskiej, wynoszącą nie mniej niż trzysta dwunastą część całej rozciągłości. O dziewiątej straciłem widok ziemi na wschodzie, a balon zaczął posuwać się gwałtownie w kierunku P. P. Z. Ocean ciągle jeszcze przedstawiał się pozornie wklęsłym, chociaż widok zasłaniały mi kilkakrotnie masy chmur, snujące się po przestrzeni.

O wpół do dziesiątej spróbowałem wyrzucić przez klapę garść piór. Wbrew memu przypuszczeniu, nie unosiły się, lecz opadły na dół jak kula *en masse* z ogromną chyżością i zniknęły mi z oczu w kilka sekund. Nie wiedziałem z początku jak sobie tłómaczyć to nadzwyczajne zjawisko;

nie wierzyłem bowiem, aby chyżość mego wznoszenia się wzrosła nagle tak znacznie. Wkrótce jednak pojąłem, że atmosfera była za rzadką, aby utrzymać nawet pióra, które istotnie spadały z nadzwyczajną szybkością; bądź co bądź, zdumiony byłem połączoną prędkością ich opadania i mego wznoszenia się.

O dziesiątej przyszedłem do przekonania, że nie mam co obserwować. Wierzyłem, że balon wznosił się z prędkością rosnącą co moment, chociaż nie miałem środka zmierzenia przyrostu prędkości Nie czułem żadnego bolu albo niepokoju i byłem w humorze najlepszym od chwili opuszczenia Rotterdamu; zajęty badaniem stanu różnych przyrządów, odświeżałem co jakiś czas powietrze w mym pokoju. Tę ostatnią czynność postanowiłem spełniać regularnie co czterdzieści minut, więcej dla zachowania zdrowia w dobrym stanie, niżeli z istotnej potrzeby tak częstego odświeżania.

Tymczasem nie mogłem zwolnić się od czynienia przypuszczeń. Wyobraźnia przebywała w dzikich, fantastycznych okolicach księżyca. Imaginacya nie skrępowana całkowicie niczem, błąkała się wśród różnych cudów nowej krainy. Raz widziałem szronem pokryte odwieczne lasy, poszarpane przepaście skaliste, wodospady przewalające się z głośnym łoskotem w bezdenne otchłanie. Potem znalazłem się wśród cichych pustkowi, gdzie nigdy nie wiał

wiatr i gdzie rozległe łąki maków, oraz wysmukłych liliowatych kwiatów, rozciągały się na nużącej przestrzeni, milczące i bez ruchu.

Potem znowu powędrowałem w inny kraj, utworzony przez jedno jezioro o niewyraźnych zarysach, objęte dokoła chmurami. Ale te i tym podobne fantazye nie były jedynemi tworami mego podnieconego mózgu. W umyśle mym rodziły się też widziadła straszne i szpetne, wstrząsające wnętrze mej duszy samą możliwością swego istnienia. Ale nie dozwoliłem myślom moim zatrzymywać się czas dłuższy przy tych ostatnich spekulacyach, uważając prawdziwe i namacalne niebezpieczeństwa mej podróży za zupełnie na razie wystarczające.

O piątej po południu zajęty odświeżaniem atmosfery w mym pokoju, rzuciłem okiem przez klapę na kotkę z kociętami.

Kotka zdawała się znowu bardzo cierpieć, a nie wahałem się policzyć jej niepokoju głównie na karb trudności w oddechaniu; ale doświadczenie moje z kociętami dało bardzo osobliwy rezultat.

Spodziewalem się, że będą okazywać objawy bolu, chociaż w mniejszym stopniu niż matka, a to wystarczyłoby mi do poparcia mojej opinii, odnośnie do przyzwyczajenia w znoszeniu parcia atmosferycznego. Ale nie spodziewałem się ujrzeć kociąt po dokładnem zbadaniu w stanie wybornego

zdrowia, oddechających łatwo i regularnie i nie zdradzających najsłabszych śladów zaniepokojenia.

Zjawisko to mogłem tylko wytłómaczyć przez rozciągnięcie mojej teoryi i przypuszczenie, że wysoce rozrzedzona atmosfera, jak sądziłem, wystarczała pod względem chemicznym do życia, i że istota zrodzona w takiem *medium*, może nie doznawać żadnej trudności w procesie oddechania, podczas gdy po przeniesieniu do gęściejszych warstw w bliskości ziemi, mogłaby doznawać tortur podobnych tym, jakie ja niedawno przeszedłem.

To też żałowałem bardzo, że fatalny wypadek pozbawił mnie mojej małej rodziny kotów, jakoteż możności głębszego wejrzenia w przedmiot i kontynuowania eksperymentu. Przesuwając ręką przez klapę z filiżanką wody dla kocicy, zaczepiłem rękawem o pętlicę, co podtrzymywała kosz, i w jednej chwili zluźniłem ją z guzika.

Gdyby wszystko rozpłynęło się w powietrzu, nie mogłoby mi zginąć z przed oczu szybciej gwałtowniej. Stanowczo nie mogła upłynąć dziesiąta część sekundy pomiędzy rozłuźnieniem pętli a zupełnem zniknięciem kosza razem z jego zawartością. Najlepsze życzenia moje towarzyszyły im w drodze do ziemi, chociaż nie miałem oczywiście nadziei, aby czyto matka czy kociaki dożyły chwili opowiedzenia swego zdarzenia.

O szóstej zauważyłem, że znaczna część wi-

domej powierzchni ziemi ku wschodowi okryła się ciemnością nocy. W długą chwilę potem przestały promienie zachodzącego słońca oświecać balon; a okoliczność ta, chociaż ją oczywista przewidywałem, dostarczyła mi ogromnej przyjemności. Było rzeczą jasną, że rano ujrzę wschodzące słońce co najmniej na wiele godzin wprzód, nim je ujrzą obywatele Rotterdamu, pomimo swego położenia tak bardzo ku wschodowi i tak dzień za dniem, w stosunku do osiągniętego wzniesienia się, będę oglądał światło słoneczne przez peryod coraz dłuższy. Teraz postanowiłem spisywać dziennik mej podróży, licząc dni po dwadzieścia cztery godziny, bez względu na przerwy nocne.

O dziesiątej czując się sennym, postanowiłem położyć się na resztę nocy; ale w tejże chwili przyszła mi na myśl trudność, która, chociaż bardzo zrozumiała, uszła aż do tej pory mej uwagi. Gdybym poszedł spać zgodnie ze swem postanowieniem, jakby się dokonywało odświeżenie atmosfery w pokoju? Oddechać nią dłużej niż godzinę, byłoby niepodobieństwem; a chociażby przeciąg czasu można przedłużyć do pięciu kwadransy, to bardzo niebezpieczne następstwa mogłyby wyniknąć.

Rozważanie tego dyllematu zaniepokoiło mnie mocno; i trudno przyjdzie uwierzyć, że po przebyciu tylu niebezpieczeństw, patrzyłem na tę sprawę w tak poważny sposób, że już chciałem zaniechać

swego zamiaru i opuścić się na ziemię. Ale wahanie się było jeno chwilowe, rozumiałem, że człowiek jest niewolnikiem przyzwyczajenia i że wiele takich rzeczy uważa się w jego życiu za niezbędne, które wynikły jeno z przyzwyczajenia. Rzecz pewna, że bez snu obyć się nie mogłem; ale mogłem doprowadzić do tego, aby bez uszczerbku dla siebie przywyknąć do budzenia się co godzina w ciągu spoczynku.

Nie potrzebaby więcej nad pięć minut do zupełnego odświeżenia atmosfery, a jedyną trudnością było wymyślenie sposobu budzenia się we właściwej chwili. Ale sprawa ta, otwarcie wyznaję, nie sprawiała mi kłopotu.

Słyszałem raz o studencie, który chcąc uniknąć zaśnięcia nad książkami, trzymal w ręce miedzianą kulę, której uderzenie przy spadnięciu w miednicę z tego samego metalu, stojącą obok krzesła, zupełnie wystarczało do obudzenia go, kiedy senność go ogarnęła. Moje położenie atoli było odmienne i nie pozwalało na zastosowanie podobnej idei; gdyż ja nie pragnąłem czuwać, tylko budzić się ze snu w odpowiednich odstępach czasu. W końcu wpadłem na pomysł, który jakkolwiek prosty, wydawał mi się w chwili odkrycia równie doniosły, jak teleskop, motor parowy, lub sztuka drukarska.

Muszę naprzód powiedzieć, że balon na osiągniętej teraz wysokości podnosił się w górę równo

i bez zbaczania, wskutek czego kosz wznosił się tak spokojnie, że nie podobna było spostrzedz najsłabszego wahania się. Ta okoliczność była mi bardzo pomocną w przeprowadzeniu mego projektu.

Zapas wody znajdowal się w baryłkach, każda objętości pięciu galonów, ustawionych bezpiecznie dokoła kosza. Jednę z baryłek odwiązałem, a wziąwszy dwie liny, przywiązałem je w poprzek krawędzi kosza z jednej strony na drugą, umieszczając równolegle w odległości stopy od siebie, tak, aby utworzyły rodzaj półki, na której umieściłem baryłkę, umocowując ją w pozycyi horyzontalnej. Na ośm cali bezpośrednio pod temi linkami a na cztery stopy od dna kosza umocowałem drugą półkę, ale zrobioną z cienkiej deski, jedynej jaką posiadałem ze sobą.

Na tej to drugiej półce, a dokładnie pod jednym z brzegów baryłki umieściłem mały gliniany dzbanek. Potem wywierciłem dziurę w dnie baryłki nad dzbankiem i wsadziłem korek z miękkiego drzewa, kształtu stożka. Korek ten wsadzałem i wyjmowałem tak długo, aż po kilku próbach pozostawiłem go w takiej pozycyi, przy której woda z dziury wyciekająca i spadająca do dzbanka musiała go wypełnić w sześćdziesięciu minutach. To oczywista łatwo było oznaczyć przez oznaczenie części dzbanka wypełnionej w ciągu danego czasu.

Gdym to wszystko urządził reszta planu była już łatwo wykonalna. Łóżko tak usłałem na spodzie

kosza, aby głowa moja wypadła tuż pod dzióbkiem dzbanka. Rzecz jasna, że po upływie godziny dzbanek musiałby przepełnić się a woda zaczęłaby się przelewać przez brzeg. Również jest rzeczą jasną, że woda spadająca z wysokości czterech stóp, musiała dostać się na moją twarz, jakoteż zbudzić natychmiast z najgłębszego snu.

O godzinie jedenastej ukończyłem przygotowania, to też natychmiast położyłem się spać z pełną ufnością w skuteczność mego pomysłu. I nie doznałem też zawodu. Punktualnie co godzinę budził mnie mój chronometr, a wtedy wypróżniwszy dzban w baryłkę i popracowawszy nad zgęszczeniem atmosfery, kładłem się znowu. Te regularne przerwy mniej mi dokuczyły, niż przypuszczałem i gdy wreszcie rano podniosłem się, była już siódma godzina, a słońce wzniosło się na wiele stopni ponad linkę mojego horyzontu.

3-go Kwietnia. Znalazłem balon na nadzwyczajnej zaiste wysokości, a wypukłość ziemi stała się obecnie wyraźna. Podemną w oceanie czerniała grupa ciemnych plam, utworzonych niezawodnie przez wyspy. Niebo w górze było jak dżet czarne, a gwiazdy jaśniały wspaniale; zjawisko to nie ustawało od pierwszego dnia podróży.

Daleko ku północy spostrzegłem cienką, białą, nadzwyczaj świetną linię, albo smugę na skraju

horyzontu; nie wątpiłem, że był to południowy krąg lodów Oceanu biegunowego. Ciekawość moja została mocno podniecona, gdyż miałem nadzieję posunięcia się znacznie dalej na północ, wskutek czego mógłbym się znaleść bezpośrednio nad samym biegunem. To też ubolewałem nad tem, że znaczne wzniesienie nie pozwoli mi widzieć tego wszystkiego, cobym chciał. Wiele atoli dałoby się skonstatować.

Nic zresztą nadzwyczajnego nie przytrafiło się w ciągu dnia. Wszystkie przyrządy znajdowały się w dobrym stanie, a balon ustawicznie wznosił się całkiem spokojnie. Dokuczliwe zimno zniewoliło mnie do owinięcia się w palto. Gdy ciemność pokryła ziemię, udałem się na spoczynek, chociaż w mojem położeniu jasność panowała jeszcze przez wiele godzin. Zegar wodny spełniał swe funkcye punktualnie, to też spałem aż do rana smacznie z wyjątkiem peryodycznych przerw.

4-go kwietnia. Wstałem w zdrowiu z dobrym humorem zdziwiony szczególniejszą zmianą, jaka zaszła w wejrzeniu morza. Straciło ono w znacznej mierze głęboką barwę błękitną, jaką pierwotnie posiadało, stawszy się szarawo-białem i nabrawszy olśniewającego połysku. Wypukłość oceanu stała się tak wyraźną, że cała masa odległej wody zdawała się przelewać do otchłani poza ho-

ıyzontem, tak że mimowoli nasłuchiwałem echa szumu potężnego wodospadu.

Wysp nie było już więcej widać; czy to przeszły po za horyzont ku południo-wschodowi, czy też straciłem je z oczu, z powodu wzrastającego wzniesienia, nie mogę powiedzieć. Co do mnie przechylałem się na stronę tego drugiego wyjaśnienia. Brzeg lodu stawał się ku północy coraz wyraźniejszy. Zimno wcale nie tak znaczne. Nic ważnego się nie zdarzyło, to też spędziłem dzień na czytaniu, bo zaopatrzyłem się i w książki.

5-go kwietnia. Obserwowałem dziwne zjawisko wschodzącego słońca, podczas gdy cała widzialna powierzchnia ziemi znajdowała się jeszcze w ciemności. Powoli jednakże światło rozlało się wszędzie i znowu ujrzałem linię lodu ku północy. Była ona obecnie bardzo wyraźna i wiele ciemniejsza od wód oceanu. Wyraźnie zbliżałem się do niej z ogromną chyżością. Zdawało mi się, że mogłem odróżnić szmat lądu ku wschodowi, ale pewności nie miałem. Pogoda umiarkowana. Nic nie zaszło uwagi godnego w ciągu dnia. Położyłem się spać wcześnie.

6-go kwietnia. Ze zdumieniem spostrzegłem krawędź lodu w niedalekiej odległości, jakoteż

olbrzymie pole lodowe, rozciągające się na horyzoncie ku północy. Było rzeczą jasną, że jeżeli balon zatrzyma obecny kierunek, to niebawem znajdzie się nad zmarzłym Oceanem, a teraz nie wątpiłem, że widzę Biegun. W ciągu całego dnia zbliżałem się ustawicznie do lodu. Pod wieczór granice mego horyzontu rozszerzyły się nagle i znacznie, niezawodnie wskutek tego, że ziemia ma kształt spłaszczonego na biegunach sferoidu, i że znajdowałem się nad ową spłaszczoną częścią powierzchni w sąsiedztwie koła biegunowego. Gdy mnie wreszcie ciemność zaskoczyła, udałem się na spoczynek z obawą minięcia przedmiotu tak wielkiej ciekawości w warunkach, uniemożliwiających obserwacyę.

7-go kwietnia. Wstałem wcześnie i ku wielkiej radości ujrzałem to, co niewątpliwie musiało być Biegunem Północnym. Był to on niewątpliwie i to wprost pod memi stopami, ale niestety! wzniosłem się tak znacznie, że niczego dokładnie dojrzeć nie mogłem. Istotnie wnioskując z liczb wskazujących różne wysokości w różnych peryodach pomiędzy szóstą rano drugiego kwietnia a dwadzieścia minut przed dziewiątą rano tegoż samego dnia (kiedy to barometr opadł) można było sądzić, że balon dosięgnął teraz o czwartej godzinie rano siódmego kwietnia wysokości niemniejszej niż 7254 mil ponad powierzchnię morza. Wzniesienie to może wyda-

wać się ogromne, lecz ocena, na podstawie której obliczenia dokonałem, dała wedle wszelkiego prawdopodobieństwa wynik mniejszy od rzeczywistości.

W każdym razie widziałem niewątpliwie całą większą średnicę ziemi; cała półkula północna leżała podemną jak mapa ortograficznie projektowana, a wielkie koło równika tworzyło granicę mego horyzontu. Wasze Ekscelencye zdołają łatwo pojąć, że ograniczone kołem biegunowem a nie zbadane dotąd okolice, chociaż znajdowały się bezpośrednio podemną i wskutek tego widziane bez żadnego skrócenia, były same w sobie jeszcze względnie za drobne i zanadto odległe od wzroku, aby je można dokładnie zbadać. Mimo to, co dało się widzieć, było natury osobliwej i zdumiewającej. Na północ od owego wyżej wspomnianego olbrzymiego brzegu, który można nazwać granicą ludzkich odkryć w tej okolicy, rozciąga się jedno nieprzerwane lub prawie nieprzerwane pole lodowe.

Na przestrzeni pierwszych paru stopni powierzchnia jego wyraźnie jest przypłaszczona, potem przechodzi w płaszczyznę, wreszcie stawszy się dość znacznie wklęsłem kończy się na samym biegunie w kolistem centrum, ostro zarysowanem, którego ciemne zabarwienie zmiennego natężenia było ciemniejsze niżeli jakikolwiek inny widzialny punkt na całej półkuli, a czasami wpadało w zupełną czarność. Ponad to mało można było stwierdzić.

Około dwunastej koliste centrum powiększyło

się znacznie w obwodzie, a o siódmej wieczorem straciłem je z oczu całkowicie, balon przeszedł nad zachodnią połacią lodu i popłynął szybko w kierunku równika.

8-go kwietnia. Zauważyłem wyraźną zmianę zmniejszenia się pozornej średnicy ziemi, obok istotnej zmiany w jej barwie i wejrzeniu. Cała widzialna przestrzeń okazywała blado-żółty odcień w rozmaitym stopniu, w niektórych zaś częściach posiadała połysk wprost olśniewający. Patrzenie w doł zostało też w znacznym stopniu utrudnione przez gęstą *atmosferę*, która w sąsiedztwie powierzchni napełniła się chmurami, pomiędzy któremi tylko chwilami mogłem spostrzedz ziemię samą. Ta trudność patrzenia i widzenia ścigała mnie więcej lub mniej w ciągu ostatnich czterdziestu ośmiu godzin; obecne moje ogromne wzniesienie zbliżyło niejako unoszące się masy pary wodnej, a przeszkoda stawała się oczywiście coraz większą w miarę mego wznoszenia się.

Mimo to mogłem z łatwością spostrzedz, że balon unosił się obecnie nad krainą wielkich jezior w Północnej Ameryce i płynął ku południowi, wskutek czego niebawem musiałem się znaleźć nad równikiem. Okoliczność ta sprawiła mi nadzwyczajne zadowolenie, to też powitałem ją jako wróżbę mego ostatecznego powodzenia. Istotnie dotychczasowy

mój kierunek sprawiał mi niepokój; ponieważ było rzeczą jasną, że gdybym płynął tak dalej, straciłbym wprost możność dostania się na księżyc, którego orbita jest nachylona do ekliptyki pod małym kątem 5°8'48". Choć może się to wydawać rzeczą dziwną, jednakże dopiero tak późno zacząłem pojmować wielki błąd, jaki popełniłem przez to, że nie wzniosłem się z ziemi z punktu leżącego w płaszczyźnie elipsy księżyca.

9-go kwietnia. Dzisiaj średnica ziemi znacznie się zmniejszyła, a barwa powierzchni stawała się co godzina bardziej żółtą. Balon utrzymywał się stale w swym kierunku ku południowi i przybył o dziewiątej wieczorem nad północną krawędź zatoki meksykańskiej.

10-go kwietnia. Nagle zbudziłem się ze snu o piątej rano w skutek głośnego, trzeszczącego i strasznego dźwięku, którego sobie nie umiałem wyjaśnić. Trwał on bardzo krótko, ale jak długo trwał nie podobny był do niczego na świecie, co znałem i słyszałem. Nie potrzebuję mówić, że zostałem mocno zaalarmowany, przypisując dźwięk w pierwszej chwili pęknięciu balonu. Zbadałem atoli wszystkie moje przyrządy z wielką uwagą i nie mogłem odkryć żadnego nieporządku.

Strawiłem znaczną część dnia w medytacyi nad tak niezwykłem zdarzeniem, ale ostatecznie wyjaśnić go nie umiałem. Położyłem się spać niezadowolony, w stanie zakłopotania i niepokoju.

11-go kwietnia. Spostrzegłem uderzające zmniejszenie się pozornej średnicy ziemi, jakoteż znaczny wzrost, widziany teraz poraz pierwszy, samego księżyca, któremu brakowało jeno kilka dni do pełni. Zagęszczenie w balonie dostatecznej ilości powietrza atmosferycznego dla podtrzymania życia wymagało teraz długiej i usilnej pracy.

12-go kwietnia. Szczególniejszej zmianie podległ kierunek balonu, a chociaż spodziewałem się jej, mimo to doznałem nieporównanej rozkoszy. Dosięgnąwszy w poprzednim swym biegu dwudziestego równoleżnika południowej szerokości, skręcił się nagle pod ostrym kątem ku zachodowi i posuwał się w tymże kierunku przez cały dzień trzymając się prawie ściśle w płaszczyźnie elipsy księżyca. Co było godnem uwagi to to, że skutkiem zmiany w rucie było wyczuwalne drżenie kosza, drżenie trwające w mniejszym lub większym stopniu przez ciąg wielu godzin.

13-go kwietnia. Znowu zostałem zaalarmowany

przez powtórzenie się głośnego trzeszczącego dźwięku, ktory przestraszył mnie już 10-go.

Myślałem nad tem długo, ale nie mogłem wymyśleć nic zadowalniającego. Wielkie zmniejszenie się pozornej średnicy ziemi. Księżyca nie mogłem wcale widzieć, gdyż był on niemal w moim zenicie. Ciągle utrzymywałem się w płaszczyźnie elipsy, ale nie posuwałem się na wschód.

14-go kwietnia. Nadzwyczaj raptowne zmniejszenie się średnicy ziemi. Dzisiaj przyszła mi do głowy myśl, że balon zbliżał się obecnie ku punktowi najbliższemu ziemi — to znaczy, że trzymał się kierunku, w którym musiał dojść bezpośrednio do księżyca w części orbity najmniej od ziemi oddalonej.

Księżyc był mi wprost nad głową, to też nie widziałem go. Trzeba było wielkiej i długo trwającej pracy dla zagęszczenia atmosfery.

15-go kwietnia. Nie mogłem rozpoznać na ziemi nawet zarysów lądów i mórz. Około dwunastej zauważyłem po raz trzeci straszny dźwięk, który mnie poprzednio tak przeraził. Teraz trwał przez kilka chwil z wzrastającem natężeniem. W końcu gdy ogłupiały i przerażony stałem w oczekiwaniu, niewiem już jak strasznej destrukcyi, kosz zadrżał

z nadzwyczajną gwałtownością, a olbrzymia i płonąca masa jakiegoś materyału, którego nie umiałem rozpoznać, zbliżyła się z odgłosem tysiąca grzmotów, rycząc i hucząc obok balonu.

Gdy obawa i zdumienie zmniejszyły się, bez trudu wpadłem na myśl, że musi to być wulkaniczny fragment, wyrzucony ze świata, ku któremu zbliżałem się tak szybko i według wszelkiego prawdopodobieństwa, jeden z tych osobliwych przedmiotów, znajdowanych czasami na ziemi, a nazywanych w braku lepszego terminu, kamieniami meteorycznymi.

16-go kwietnia. Dzisiaj patrząc w górę jak mogłem najlepiej przez każde z bocznych okien po kolei, spostrzegłem ku mej wielkiej radości małą cząstkę tarczy księżyca, wystającą na wszystkich stronach po za olbrzymi obwód balonu. Wzruszenie moje było ogromne; obecnie już nie wątpiłem w szybkie ukończenie mej podróży.

Praca przy kondenzatorze wzrosła do niemałego natężenia i ledwie pozwalała mi na odpoczynek. Sen był prawie niemożliwy. Rozchorowałem się prawie i drżałem z wyczerpania. Ludzka natura nie mogła znieść dłużej stanu tak intenzywnego cierpienia.

W czasie krótkiego obecnie peryodu ciemności

meteoryczny kamień przeleciał znowu blisko mnie, a częstość zjawiska zaczęła mnie już niepokoić.

17-go kwietnia. Dzisiejszy ranek był epoką w mojej podróży. Przypominam, że trzynastego ziemia przedstawiała szerokość kątową dwudziestu pięciu stopni; czternastego kąt znacznie się zmniejszył, piętnastego zmniejszenie się postąpiło dalej; idąc spać szesnastego, zauważyłem kąt zaledwie siedmiu stopni i piętnastu minut. Jakież więc było moje zdumienie, gdy obudziwszy się z krótkiego i przerywanego snu, rano tegoż dnia siedmnastego, spostrzegłem pod sobą powierzchnię tak nagle i cudownie *powiększoną* w objętości, że kąt nie wynosił mniej niż trzydzieści dziewięć stopni.

Byłem jakby piorunem rażony! Żadne słowa nie mogą dać pojęcia o nadzwyczajnem przerażeniu i zdumieniu jakie mnie ogarnęły i całkowicie opanowały. Kolana drżały podemną, zęby szczękały — włosy stanęły mi na głowie. »Balon zatem musiał pęknąć!« Oto były pierwsze bezładne myśli, przebiegające przez mój mózg: »Balon niewątpliwie pękł!« — Spadałem — spadałem z największą chyżością. Sądząc z olbrzymiej przestrzeni, przebytej tak szybko, nie mogło upłynąć więcej jak dziesięć minut co najwyżej, nim nie zetknę się z powierzchnią ziemi i ulegnę zupełnemu unicestwieniu. Ale przecie zastanowienie przyszło mi na pomoc. Za-

cząłem rozważać; zacząłem wątpić. Rzecz była wprost niemożliwa.

Nie mogłem w żaden sposób opaść tak szybko. Zresztą chociaż wyraźnie zbliżałem się do powierzchni rozciągającej się podemną, to jednak nie z szybkością, jaką sobie wyobrażałem. To uspokoiło nieco wzburzenie mego umysłu, aż wreszcie zdołałem ujrzeć zjawisko w jego właściwem świetle. Zdumienie musiało mnie chyba zupełnie zmysłów pozbawić, skoro nie mogłem widzieć olbrzymiej różnicy w postaci pomiędzy powierzchnią znajdującą się podemną, a powierzchnią matki-ziemi, która była ponademną, zakryta balonem, podczas gdy księżyc — sam księżyc w całej okazałości, rozciągał się pod memi stopami.

Osłupienie i zdumienie wywołane w mym umyśle tą nadzwyczajną zmianą w postaci rzeczy, były może częścią przygody, nadającą się najmniej do wyjaśnienia.

Bouleversement samo w sobie było naturalne i nieuniknione, to też oczekiwałem go od dawna, jako okoliczności koniecznej w chwili dojścia do tego punktu mej wycieczki, w którym przyciąganie planety zostanie zastąpione przez przyciąganie satellity albo ściślej mówiąc, w której ciążenie balonu ku ziemi okaże się mniejsze, niżeli ciążenie ku księżycowi. Wstałem ze zdrowego snu ale z pewnem pomięszaniem dla kontemplacyi bardzo uderzającego zjawiska, którego w danej chwili nie

spodziewałem się. Obrót sam musiał się odbyć w sposób łagodny i stopniowy i nie zdaje się, że gdybym się nawet był obudził w trakcie zmiany, to bym zauważył coś nadzwyczajnego czy to w sobie, czy też w przyrządach.

Zbytecznem jest niemal wspominać, że, zrozumiawszy właściwe znaczenie mego położenia, i wybrnąwszy z obawy, która pochłonęła wszystkie władze mej duszy, uwaga moja w pierwszem miejscu zwróciła się przedewszystkiem ku rozważeniu ogólnego fizycznego wejrzenia księżyca.

Luna leżała podemną jak mapa — a chociaż sądziłem, iż jest jeszcze w znacznej odległości, zagłębienia powierzchni zarysowały się z uderzającą i całkowicie niewyjaśnioną dokładnością, zupełny brak oceanu lub morza, nawet jeziora lub rzeki, czy jakiejkolwiek wody w ogólności, uderzył mnie przedewszystkiem jak o najosobliwszy rys struktury geologicznej.

A jednak widziałem wielkie płaszczyzny charakteru niewątpliwie alluwjalnego, chociaż większą część półkuli pokrywały niezliczone góry wulkaniczne, stożkowatego kształtu, mające więcej pozory sztucznych niż naturalnych wypukłości. Najwyższa wsród nich nie przenosi trzech i trzech czwartych mili wysokości; ale mapa dystryktu wulkanicznego Campus Thlegraenst dostarczyłaby Waszym Ekscelencyom lepszego wyobrażenia o jego powierzchni,

niżeli niedołężny opis, który mógłbym tu przedstawić.

Większość gór wulkanicznych była wyraźnie czynna, dając mi odczuć swą furyę i potęgę za pomocą tak zwanych kamieni meteorycznych, które teraz strzelały w górę obok balonu coraz gęściej i częściej.

18-go kwietnia. Dzisiaj spostrzegłem ogromny przyrost pozornej masy księżyca — a wyraźnie przyspieszona szybkość mego opuszczania się, zaczęła mnie alarmować. Przypominam, że w najwcześniejszem stadyum moich spekulacyi na temat możliwości dostania się na księżyc, w rachunek mój weszło istnienie na jego powierzchni atmosfery proporcyonalnie gęstej do masy planety; i to pomimo wielu przeciwnych teoryi nawet wbrew ogólnej niewierze w istnienie jakiejkolwiek księżycowej atmosfery. Ale w dodatku do tego, co mówiłem w odniesieniu do komety Enke'go i światła zodiakalnego, utwierdziłem się w swej opinji wskutek spostrzeżeń Schroetera z Lilienthal.

Obserwował on księżyc trzeciego dnia pierwszej kwadry. Wieczorem wkrótce po zachodzie słońca, nim czarna część stała się widzialna i to tak długo, aż póki nie stała się widzialna. Dwa rogi księżyca zdawały się wybiegać w bardzo ostre, słabe przedłużenia, których najdalsze końce

były słabo oświetlone promieniami słonecznymi, nim jakakolwiek część ciemnej półkuli stała się widzialna.

Sądziłem, że to wydłużenie się rogów poza półkole musiało być wynikiem refrakcyi promieni słonecznych przez atmosferę księżyca, która mogła dostatecznie załamywać światło w ciemnej półkuli tak, aby stworzyć brzask jaśniejszy od światła, odbitego od ziemi, gdy księżyc jest blisko, 32° od nowiu; wydłużenie to mogło mieć 1356 stóp paryskich; a 5376 stóp uważałem za najznaczniejszą wysokość, zdolną do załamywania promieni słonecznych.

Idee moje na tym punkcie doznały poparcia w ustępie ośmdziesiątego drugiego tomu »Rozpraw Filozoficznych«, w którym czytamy, że podczas zaćmienia satellitów Jowisza, trzeci zniknął będąc nierozpoznawalnym przez jednę do dwóch sekund. Na oporze, a raczej na podporze atmosfery, istniejącej w stanie wystarczającego zagęszczenia, opierałem w zupełności możliwość bezpiecznego zejścia na księżyc.

Gdyby się okazało, że popełniłem omyłkę, nie mogłem spodziewać się niczego innego, jak finału mojej przygody i roztrzaskania o chropawą powierzchnię satellity.

Istotnie miałem wszelki powód doznawać tej obawy. Odległość moja od księżyca była względnie mała, podczas gdy praca przy kondenzatorze nie

zmniejszyła się i nie mogłem wykryć wcale zmniejszania się zrzedzenia się powietrza.

19-go kwietnia. Dzisiejszego rana (ku mej wielkiej radości) około godziny dziewiątej, gdy powierzchnia księżyca była przeraźliwie blisko, a obawy moje wzrosły do największego stopnia, pompa kondenzatora zaczęła zdradzać objawy zmiany w atmosferze.

O dziesiątej miałem podstawę przypuszczać, że gęstość znacznie wzrosła. O jedenastej, nie wiele pracy potrzebowałem zużyć przy aparacie; a o dwunastej, chociaż z wahaniem, pozwoliłem sobie odśrubować *Tourniquet,* a gdy to nie pociągnęło żadnego niemiłego następstwa, roztworzyłem ścianę mego kauczukowego pokoju i zdjąłem je z kosza. Spazmy i gwałtowny ból głowy, były jak się łatwo można domyśleć, następstwem tego eksperymentu, zarówno niebezpiecznego jak szybko wykonanego. Lecz gdy trudności przy oddechaniu wcale nie były tak wielkie, aby groziły memu życiu, postanowiłem je znieść jak umiałem najlepiej, w nadziei, że pozbędę się ich zaraz po wejściu w gęstsze pokłady atmosfery blisko księżyca. Zbliżenie się to jednakże było niesłychanie gwałtowne, to też wkrótce było rzeczą pewną, że chociaż nie omyliłem się, przypuszczając atmosferę gęstą proporcyonalnie do masy *satellity,* to jednak

popełniłem błąd, przypuszczając, że gęstość ta zdoła nawet przy samej powierzchni utrzymać wielki ciężar mego balonu. A jednakże tak było być powinno i to w równym stopniu jak na powierzchni ziemi, jeżeli istotnie ciążenie ciał na każdej planecie przyjmiemy w stosunku do atmosferycznego zagęszczenia.

Gwałtowny mój spadek świadczył atoli wymownie, że tak nie było; a dlaczego tak nie było, można wyjaśnić jeno powołując się na te prawdopodobne geologiczne zaburzenia, o których poprzednio wspomniałem.

W każdym razie nie byłem blisko planety, do której zbliżałem się z przerażającą chyżością. Nie traciłem ani chwili, lecz wyrzuciłem z kosza naprzód balast, potem baryłki z wodą, dalej aparat do zagęszczania, pokój kauczukowy, wreszcie wszystko co miałem w koszu. Ale to jeszcze nic nie pomogło. Ciągle opadałem z nadzwyczajną chyżością, a do powierzchni brakowało już tylko pół mili.

Ostatecznie więc, pozbywszy się surduta, kapelusza i trzewików, odciąłem od balonu sam kosz wcale ciężki i tak chwyciwszy się obiema rękami za siatkę, mogłem zaledwie obserwować, że cały kraj, jak okiem zasięgnąć, był pokryty drobnemi mieszkaniami, gdy wpadłem w sam środek fantastycznego miasta i w środek tłumu szpetnych małych ludzi, z których żaden nie wygłosił ani jednej

sylaby, ani też nie myślał o udzieleniu mi pomocy, wszyscy bowiem stali jak paczka idyotów, szczerząc zęby w komiczny sposób, a podparłszy się rękami pod boki patrzyli z podełba na mnie i mój balon. Odwróciłem się od nich z pogardą a spoglądając w górę ku ziemi, tak niedawno, a może na zawsze opuszczonej, ujrzałem ją w formie olbrzymiej tarczy miedzianej, mającej około dwa stopnie w średnicy, tkwiącej nieruchomo na firmamencie i opatrzonej na jednym z brzegów sierpem, złocisto świecącym. Nie można było widzieć śladów mórz lub lądów, a całość była zachmurzona zmiennemi plamami, jakoteż opasana strefą podrównikową.

Tak więc Wasze Ekscelencye, po szeregu wielkich trosk, niebywałych niebezpieczeństw i niezrównanych uniknień katastrofy, przybyłem nareszcie dziewiętnastego dnia po opuszczeniu Rotterdamu bezpiecznie do celu podróży, niewątpliwie najbardziej osobliwej, najdonioślejszej, jaką kiedykolwiek dokonano, przedsięwzięto, lub pomyślano na ziemi. Ale przygody moje muszą być jeszcze opowiedziane.

Wasze Ekscelencye mogą pojąć, że po pięcioletnim pobycie na planecie nie tylko mocno zajmującej samej w sobie, ale i przez swój związek z ziemią, posiadam wiadomości do prywatnego użytku Państwowego Kollegium Astronomów o wiele ważniejsze od szczegółów, jakkolwiek cudownych właśnie co ukończonej podróży. Jestto niezawodny fakt.

Mam wiele, bardzo wiele rzeczy, którebym z przyjemnością zakomunikował. Mam wiele do powiedzenia o klimacie planety; o jej zdumiewających zmianach w dziedzinie ciepła i zimna; o palącem słońcu przez jednych czternaście dni, o więcej niż polarnem zimnie przez drugich czternaście dni; o ciągłem przenoszeniu wilgoci, zapomocą destylacyi w próżni, od punktu pod słońcem do punktu najbardziej odległego; o zmiennej strefie bieżącej wody; o samychże mieszkańcach; o ich zwyczajach, obyczajach, konstytucyach politycznych; o ich szczególnej budowie fizycznej; o ich brzydocie; o braku uszu niepotrzebnych zupełnie w atmosferze tak dziwnie zmienionej.

Mam wiele do powiedzenia o ich niezdolności mówienia; o sposobie zastępowania mowy zapomocą osobliwej metody porozumiewania się; o niepojętem połączeniu każdego osobnika na księżycu z jakimś osobnikiem na ziemi — połączeniu analogicznem do kul planety i satellity, wskutek którego to związku życie i przeznaczenie mieszkańców pierwszej są splecione z życiem i przeznaczeniem mieszkańców drugiego; przedewszystkiem miałbym wiele do powiedzenia o tych ciemnych i strasznych zagadkach, znajdujących się w odwrotnych księżycowych okolicach, okolicach, które dzięki cudownej niemal zgodności między rotacyą satellity na około swej własnej osi z obrotem na około ziemi, nigdy nie były jeszcze wystawione i z łaski

Bożej nigdy nie zostaną wystawione na badania teleskopów ludzkich. Wszystko to i jeszcze więcej, o wiele więcej pragnąłbym opowiedzieć, ale muszę za to odebrać nagrodę.

Pragnę powrócić do mej rodziny, i do ojczyzny; jako nagrodę za wszelkie dalsze odkrycia z mej strony — zważywszy jakie światło mogę rzucić na wiele gałęzi wiedzy fizycznej i metafizycznej — proszę za pośrednictwem Waszej czcigodnej instytucyi o przebaczenie zbrodni, jakiej się dopuściłem wskutek zabicia mych wierzycieli w chwili opuszczania Rotterdamu i to jest cel obecnego pisania.

Posłaniec, który jest mieszkańcem księżyca i który zgodził się na podróż do ziemi, będzie oczekiwał łaskawej odpowiedzi Waszych Ekscelencyi i powróci do mnie ze wspomnianem przebaczeniem, jeżeli ono może być udzielone.

Tymczasem zostaję uniżonym sługą Waszych Ekscelencyi *Hans Pfaall.*

* * *

Skończywszy czytanie tego osobliwego dokumentu profesor Rubadud opuścił podobno fajkę na ziemię z nadmiaru zdziwienia, a Mynheer Superbus van Underduk zdjąwszy okulary, przetarł je, wsadził do kieszeni, poczem tak dalece zapomniał

o sobie i swojej godności, że obrócił się trzykrotnie na pięcie w dowód podziwu i uwielbienia. Rzecz nie podlegała żadnej wątpliwości — przebaczenie należało wyjednać. Tak przynajmniej przysiągł siarczyście profesor Rubadud, a tak też myślał czcigodny van Underduk, gdy ujął swego brata w nauce za ramię i nie mówiąc ani słowa, zaczął kierować swe kroki ku domowi, aby się zastanowić nad tem, co uczynić należy. Doszedłszy atoli do drzwi mieszkania burmistrza, profesor ośmielił się zauważyć, że skoro poseł uważał za stosowne zniknąć — niewątpliwie przeląkłszy się dzikich twarzy Rotterdamczyków — przebaczenie na nic by się nie przydało, bo nikt, jak tylko mieszkaniec księżyca, mógł się podjąć tak dalekiej podróży. Burmistrz potwierdził trafność spostrzeżenia i w ten sposób sprawa się skończyła. Ale nie skończyły się pogłoski i domysły. Gdy list opublikowano, powstały liczne plotki i opinje. Niektórzy mędrkowie ośmieszyli się nawet, uważając całą rzecz za prosty figiel.

Ale figiel u tych ludzi, jest — zdaje mi się — ogólnym terminem na wszystko, co przechodzi ich pojęcie. Co do mnie, to nie mogę pojąć, na czem opierali swoje oskarżenie. Zobaczymy, co oni mówią.

Po pierwsze, że pewni dowcipnisie Rotterdamscy mają specyalną antypatyę do pewnych burmistrzów i astronomów.

Po drugie, że mały, dziwny karzeł i zaklinacz butelek, którego oba uszy zostały mu tuż przy głowie obcięte za jakieś przekroczenie, zniknął od kilku dni z sąsiedniego miasta Bruges.

Po trzecie, że gazety, oblepione wokoło małego balonu, były pismami holenderskiemi, zatem nie mogły pochodzić z księżyca. Były to zabrudzone, bardzo zabrudzone gazety, a Gluck, drukarz przysięgał na biblję, że drukowano je w Rotterdamie.

Po czwarte, że Hans Pfaall, pijak i trzy próżniaki, zwane jego wierzycielami, byli nie więcej niż trzy dni przedtem widziani w jakiejś podmiejskiej knajpie, wróciwszy tylko co z pieniądzmi z wycieczki za morze.

W końcu, że ogólnie przyjęta opinia powiada, jako kolegium astronomów w mieście Rotterdamie, zarówno jak wszystkie inne kolegia we wszystkich częściach świata nie są ani odrobinę lepsze lub mądrzejsze, niż być powinny.